

WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom siedmdziesiąty piąty.

Viktor Gustav
ZYGZAKI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

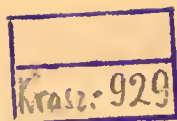
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1886.



Дозволено Цензурою
Варшава, 17 Июля 1886 года.



Warszawa. — W Druk. S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

1986 D 26

Donna e vino dolce la sera
E acido la mattina...

I.

Godzina była wieczorna, mrok padał. Przez trzy okna wychodzące na ogród, pełen zieloności i kwiatów, wpadały do salonu odbite blaski chmur jaskrawo zabarwionych... Jedno z nich otwarte było i razem ze światła ostatkiem wpuszczało woń drzew rosą wieczorną oblanych.

W tem półświecie, półcieniu, które dozwalało jeszcze dokładnie rozeznąć przedmioty, a nadawało im nrok jakiś tajemniczego obrazu w harmonijną zlane-go całość—pięknie się bardzo wydawała postać niewieścia, na tle bogato i smakownie przybranego salonu.

W wygodnym fotelu, niedaleko od okna, z książką na kolanach, tylko co rzuconą, wsparta na pięknym kształtów ręczce białej, bogatemi pierścieniami przystrojonej — siedziała kobieta, średniego wieku — której lata odgadnąć było trudno..... Wystrojona bardzo starannie, ale skromnie zarazem, widać było, że chciała niemal starszą się wydawać powagą swą, niż była. aby na te lata, jakie przybrała, wydawała się jeszcze świeżą i młodą. Był to typ Balzakowski niewiasty lat 40.

Widać było dobrowolne wyrzeczenie się młodości dla uroku, jaki daje w całym blasku występująca dojrzałość. Twarz bardzo regularnych rysów była dziwnie piękna i spokojna, na czole jasnem ani chmurki, usta łagodnie uśmiechnięte. Oczy patrzyły w tej chwili nie widząc nic, może w przyszłość, w przeszłość może, ale wzrok ich pełen blasku i ognia, a razem intelligencji i rozumu, znamionował siłę siebie pewną i samoistną... Nieznajomy nic by nie wyczytał z tej twarzy tajemniczej, która była tem czem chciała, bo na niej życie, co się na innym pisze tak dobitnie, nie zostawiło śladów żadnych. Była li szczęśliwą, czy cierpiała? odgadnąć stawało się niepodobieństwem; — to pewna, że czuła się w tej chwili panią siebie i swych losów, i że w poczuciu tem — królowała... Otaczał ją ten majestat niezależności, który dozwalał się domyślać, że ją oddawna zdobyła, że nic jej nie zagrażało.

Pomimo lat czterdziestu, była to piękność w całym tego wyrazu znaczenia, zachowana troskliwie, świeża, nie obawiająca się jasnego dnia, nie potrzebująca uciekać do środków, jakie daje sztuka, która nawodzi tych tylko, co zwiedzionemi być pragną.

Czarne oczy w powiekach kształtnych zawarte, jaśniały młodością, zaoszczędzoną, na twarzy nie było marszczek, tylko uśmiech umiarkowany, powtarzający się znać często, z dwu stron ust różowych, lekko zarysował dwie drożyny któremi przebiegał... Czarny włos gładko przyczesany na skroni, może gdzie już ze srebrnym się mieszał, ale bujny był i połyskujący. Skroni i czoło gładkie jak kość słoniowa, białe sinemi żyłki lekko zabarwione, miały w sobie dziwnie coś majestatycznego i wspaniałego... Owal lica wprawdzie pełny był, lecz nie raził zbyt niemi rozlaniem, i zachował linie pewne, którym cała budowa i postawa odpowiadała. Wiele wdzięku było w formach, których wiek skazić ani nadwężyć nie zdołał. Ślicznych kształtów ramiona białe, przeglądały przez

koronkową narzutkę, dłoń na której się opierała, z posągu zdała się odjętą.

Znać też wiedziała o tej piękności swej kobieta, bo choć była sama w salonie, choć zamysłona siedziała, instynktowo przybrała pozę malowniczą, nie wyszukaną, nie wymuszoną, a pełną wdzięku wrodzonego, które istoty wybrane przynoszą z sobą od kolebki, a zachowują—do grobn.

Od koronkowej narzutki począwszy, do wystającego z pod sukni trzewiczka, wszystko co okrywało ją, było najstaranniej dobrane i niezwykajnie nie spopolitowane... Strój pochodził z najwykwintniejszego źródła mody, choć surowo chciał być prostym i skromnym...

Salon i jego pani doskonale się godzili z sobą. Mieszkanie urządzone było ze smakiem, a bez blasku; piętno szczególne miał ten pokój, niepodobny do tych pospolitych i wszędzie jednych bawialni, które przypominają hotele wytwornością i trywialnością swoją.

Sprzęty w większej części były stare, na konsolach widać było ciekawe dzieła kunsztu. na ścianach obrazy w ramach nie błyszczących. W jednej stronie na ładnej sztaludze stał śliczny krajobraz, perła zbioru, ulubieniec pani zapewne. Złoto, którego dziś tak nadużywają dekoratorowie, tu świeciło swą nieobecnością. a drewniane rzeźby nie należały do tych wyrobów tandetnych, które już też spowszedniały. Na starożytniej szafie dwa japońskie wazony, w blasku wieczoru może najjaskrawiej występowały... U drzwi portiery, w oknach draperie. potrafiły także nie być podobne do tych, które tapicerowie zawieszają, była w nich fantazja artystyczna. która, czy pani czy komuś co dom urządzał, musiała być właściwą. Nawet kwiaty w koszu i u okien, i różnobarwnych liści rośliny,—ze staraniem i wyborem były ustawione... jakby mieszkańcy tego pieszczonogo salonu sami się o to troskali.

Kobieta sama jedna siedząca w fotelu, z książką na kolanach, zapatrzona gdzieś w dal, zdała się zapominać upływający czas,—myślała, dumiała, nieporuszona, a ani czoło białe i gładkie. ni usta półuśmiechnięte, nie zdradzały dum... W błogim spokoju spoczywała, napawając się życiem... Nagle, głębokie westchnienie wyrwało się z jej piersi, obudziła się, wyprostowała, pogładziła włosy, pochwyciła książkę, która się zsuwać zaczęła, i obejrzała po pustym salonie. Mrok nadchodzący dopiero teraz dał się jej czuć, bo maleńki zegareczek podniósłszy od pasa, poszukiwała na nim godziny...

W domu panowała cisza.

Na maleńkim stolicku obok, był piękny dzwonek brązowy; po namyśle njęła go ręką białą — potrzymała chwilę, i lekko, słabo zadzwoniła... Chód się dał słyszeć od przedpokoju, wszedł czarno ubrany kamerdyner, mężczyzna nie młody, surowego oblicza, w białej chustce na szyi.

Kobieta zwróciła z wolna twarz ku niemu...

— Nie wiesz, gdzie panna Julia?—spytała...

— Zdaje mi się że jest z panią St. Flour na przechadzce...

— I dotąd nie powróciły?

— Kamerdyner ruszył się, aby przekonać o tem....

— A Emil?

— Jeśli się nie mylę, wyjechał konno.

— Sam?

* — Wziął z sobą ze stajni kogoś.

— A ksiądz Maryan?...

— Musi być u siebie...

Wszystkie te pytania, powolnie, spokojnie były zadawane, kamerdyner odpowiadał na nie z uszanowaniem wielkiem i równym spokojem; a miał już, dla sprawdzenia tych wiadomości zapewne, wyjść, gdy we drzwiach od drugiego pokoju zaszeleściła suknia,

i w milczeniu weszła krokiem mierzonym młoda panienka, za którą w ślad postępowała nie młoda już osoba, wykwintnie ubrana, z resztkami piękności, niegdyś zapewne bardzo świetnej, dziś tylko wielkiem utrzymywanej staraniem.

Kamerdyner widząc je nadchodzące oddalił się powoli i drzwi za sobą zamknął po cichu.

Panienka była blada, dosyć ładna, onieśmielona jakoś, zmęczona, ubrana skromnie i prawie po dziecięcemu... Był to typ wcale do pięknej pani niepodobny, włosy jasne. oczy blade... rzęsy złote, usta bez barwy, policzki bez krwi, ręczki długie i chude... Wyprostowana podeszła do fotelu, na którym siedziała pani. przyklękła zlekka przed nią i pocałowała ją w rękę...

Matka (gdyż panna Julia córką jej była) żywo się wyprostowała i z czułością wymuszoną oddała pocałunek na czoło dziewczęcia. Poglądziła jej włosy... uśmiechnęła się... Pani St. Flour też następowała z uśmiechem wdzięcznym, choć nie bardzo naturalnym... i skłoniła się nisko...

Lice kobiety z zamyślonego natychmiast stało się wesołem, i uśmiech ten, którego ślady nawet wśród zupełnego uspokojenia na twarzy były widoczne, wystąpił jakby na rozkaz, zimny, wdzięczny— a nic nie mówiący.

— Byłyśmy z hrabianką Julią na przechadzce— odezwiała się sznurując usta pani St. Flour — wieczór przesłiczny... herboryzowałyśmy trochę... rysować już było późno...

— I nigdzie nie spotkałyście też Emila? co się z nim stało? — przerwała matka...

— Z dala widziałyśmy, że jechał ze służącym ku dąbrowie—odpowiedziała St. Flour.

— A nie dokazywał?...

— O! nie, koń szedł bardzo spokojnie.

W czasie tych pytań i odpowiedzi panienka stała, trochę się na bok usunąwszy, milcząca, z rękami prawidłowo ułożonemi, wyprostowana, patrząc blade-

mi oczyma obojętnie gdzieś, bez celu. Matka nieznacznie kilka razy zmierzyła ją wzrokiem...

Postawa pani St. Flour, niezmiernie pokorna, uśmiech jej—pochylenie, uwaga z jaką chwytiała wyrazy z ust hrabiny wychodzące, przekonywały o posłuszeństwie, powolności bez granic. i chęci przypodobania się.

Rozmowa nieco się wstrzymała, gdy drzwi od sieni otwarły się z kolei i ułemi, krokiem cichym, ostrożnym, dyskretnym, wsunął się małego wzrostu, w czarnej długiej sukni mężczyzna, okrągłuchny, z twarzą pełną, różową—dużemi oczyma—białemi pieszczonemi rączkami, z włosiem krótko ostrzyżonym... W jednej ręce trzymał batystową chusteczką. w drugiej czarny kapelusz miękki, z szerokimi skrzydłami...

Był to wspomniany ksiądz Maryan... który podszedłszy do hrabiny, z pewną gracyą, stanął i nie schylając ciała, uchylił głowę na piersi tylko, witając ją tym ukłonem wyuczonym... Potem kapelusz położywszy, ręce zatarł i dla harmonii znać, bo i hrabina i pani St. Flour miały uśmiechy na ustach, zaczął się w milczeniu sympatycznie uśmiechać.

Hrabina lekko zmrużyła oczy patrząc nań...

— Emila nie ma jeszcze? spytała.

— Lada chwila przybyć powinien... Ten kochany hrabia—jest regularny jak zegarek... obiecał powrócić przed zmierzchem...

— Moja droga St. Flour, każ że podać herbatę...

Ręką wskazała ks. Maryanowi krzesło... Hrabianka Julia usiadła też po cichu, w kątku, złożyła ręce na kolanach i zaczęła patrzeć w okno... W tem dziecku życie zdawało się jeszcze nie rozbudzone... patrząc na nią przypominały się postaci somnabuliczne... chodziła, obracała się, mówiła, jak senna ..

Ksiądz przybył — czy nie śmiał, czy nie umiał sam rozpocząć rozmowy, usiadłszy, patrzył na własne ręce białe, i bawił się świeżuteńką chusteczką. Hrabina też nie spieszyła z bawieniem domownika, i pani

St. Flour miała czas wrócić. nim się na nowo rozpoczęła rozmowa. Usiadła na taburecie opodal, szukając oczyma zwierciadła i poprawiając stroju, który był zamłody, zajaskrawy, a nie ładny... Mnóstwo świecidełek go krasowało... Ogromna kamea spinała wstążkę pod szyją. piękny łańcuszek utrzymywał zegarek u paska. na palcach, nie dosyć kształtnych, ale opracowanych znakomicie i z wielką sztuką. z glansowanymi paznogciami długimi, świeciły olbrzymich rozmiarów pierścionki.

Ksiądz Maryan z widocznem staraniem. które do zbytku było uderzającym, spuszczał oczy, unikając wejrzeń p. St. Flour, które żwawo biegaly, ale nie zdawały się grozić żadnem niebezpieczeństwem..

Blask, któremi połyskiwały. żywy wprawdzie. miał coś z natury tego ognia. którym próchno jaśnieje... świecił, a nie palił wcale.

Właśnie drzwi sali jadalnej, w której zastawiona była herbata, otwierał stary kamerdyner. gdy od sieni wszedł wyprostowany, w rajtroku, ubrany bardzo prawidłowo, z chusteczką w kieszonce na piersiach umieszczonej, spodziewany od dawna hrabia Emil...

Był to młody panicz, wybornie wystylizowany, sztywny, ukrochmalony. baczny na każdy ruch. aby, broń Boże, naturalnym nie był, niezmiernie przyzwoity,—twarzy młodej, ani ładnej, ani brzydkiej, trochę do siostry podobny, a nie a nie do matki... W nim może było więcej życia niż w hrabiance Julii, ale ono starannie się ukrywało i było pokryte takim werniksem nie przebitym. że się bardzo rzadko zdradzało.

Dosyć słusznego wzrostu, kształtny, hrabia Emil miał już w postawie i ruchach ten rodzaj pańskiej dumy, która. przy najpiękniejszych formach—wyszukanej grzeczności, odpycha i trzyma istoty drugorzędne w oddaleniu.

Zbliżając się jednak do matki, hrabia zmieknął jakoś, uśmiech był na porządku dziennym, i przyszedł ją w rękę pocałować. z czułością, która podobną by-

ła do wyuczonej. Hrabina się podniosła żywo, płacząc tąż samą monetą, jeszcze wyraziściej, ucałowała w głowę, pogłaskała po twarzy, rysom wszystkim starając się nadać wyraz macierzyńskiego zachwycenia.

— Mój drogi Milciu... ale czy nie za długo trwała ta przejażdżka. Czy koń nie brykał? Ja bo się zawsze boję, gdy jedziesz... Powiadam sobie że te meżkie eksercycye są de rigneur, a serce moje się trwoży! Nie darmo jestem matką.

— I jaką matką! — westchnęła St. Flour — a ksiądz ku niebiosom podniósł oczy, jakby je wzywał na świadectwo.

Emil mrknął coś tak niezrozumiałego pod nosem; uspakajając mamę, że chyba on jeden i jej macierzyńskie serce, zrozumieć to mogło.

Wszyscy wstali, aby przejść do herbaty, i pod przewodnictwem hrabiny, która wyprostowana poszła pierwsza, postępowali ku jadalnej sali, hrabianka z bratem, na ostatku pani St. Flour i ks. Maryan.

Para ta, która została na ostatku, skorzystała z osamotnienia; ks. Maryan spojrzał śmieiej na St. Flour, a ta odpowiedziała mu takim spojrzaniem i minką figlarną, że... ksiądz przerażony oczy spuścił. Ta wymiana wzroków zdawała się zupełnie potajemną, ale ją zdradziło zwierciadło wiszące na ścianie, które odbiło całą scenę w chwili, gdy hrabia Emil właśnie, na nieszczęście, spojrzał na nie.

Widać że go to zaciekawiło w najwyższym stopniu, gdyż mimo flegmatyczności swej—odwrócił głowę, aby dalszy ciąg zobaczyć—ale, jakby zwierciadło skłamało beczelnie, ksiądz szedł z głową skromnie spuszczoną, a St. Flour już w sufit patrzała. Na twarzy młodzieńca zawiedzionego w ciekawości niepotrzebnej, nie wyraziło się ani zdumienie ani żadne inne uczucie — powrócił natychmiast do sztywności swej zwykłej, i kroczył za hrabiną z powagą następcy tronu.

Herbata podana była z taką wytwornością i znajomością wszelkich prawideł, jak gdyby na nią gości oczekiwano... Ale tu tak być musiało codzienie, hrabina wiedziała co domowi i imieniowi była winna, i nie byłaby ścierpiała najmniejszego zaniedbania. Kryształ, srebra, bielizna, zachwycali świeżością i blaskiem... Serwetki były herbowne, masło herbowne, fotele także.

Pani zajęła fotel gospodyni, i towarzystwo rozsiadło się na miejscach zwykle sobie przeznaczonych... Przy Emilu ks. Maryan, za hrabianką pani St. Flour, która na wezwanie pani zajęła się nalaniem herbaty, już przygotowanej przez kamerdynera.

Sala jadalna z kredensem starym, ze srebrami okazowemi wytwornej roboty, miała naturalnie szereg portretów przodków na ścianach, i wyglądała w obiciu, naśladowującym skórę złoconą, bardzo poważnie i pięknie. Na postumencie w pośrodku długiej ściany, stała zbroja całkowita, przedstawiająca rycerza z hallabardą. Po nad nim w ramach czarnych rosło drzewo genealogiczne, wspaniałe, z niezliczonymi już konary... Stopy jego w zamierzchłej tkwiące starożytności... sięgały pono jakichś cudzoziemskich rodów książęcych, o których nikt nigdy nie słyszał, oprócz na tej ścianie.

Toż samo poważne—melancholiczne zamyślenie, które hrabina zachowała będąc samą, towarzyszyło jej tutaj, ubarwione tylko uśmiechem błogim,—którem to Julkę, to Emila, a nawet księdza i panią St. Flour obdarzała.

Każda z osób niem nieszczęśliwionych, odpowiadała natychmiast naśladowaniem tego samego uśmiechu, który na ustach Julii przemyskał się jak smutny odbłysek jakiś, u Emila nabierał charakteru poważnego, w księdzu namaszczał się pobożnością, u pani St. Flour okrywał poddaństwem i pokorą.

Hrabina wypwszy pierwszą filiżankę herbaty z gracyą, powolnością i pańską obojętnością jakąś, odchrząknęła do rozmowy. Spytała: Cher Emil'a

jak mu się gospodarstwo po drodze wydało, przypominając mu, że zwolna oswajać się z niem potrzeba— przypominała chère Juliette, aby kultywowała talenta... i nie zrażała się trudnościami rysunku z natury... gdyż panience te—talents d'agrément są niezbędne... Prawdę wygłoszoną Emilowi, potwierdził głową, uśmiechem i mruczeniem ks. Maryan, naukę daną panie Julii, podniosła admiracyjnym aplauzem dobra pani St. Flour, dodawszy do niej parafrazę, bardzo udatną...

Zagadnęła potem hrabina księdza o najnowsze dzieło O. Gratry, z panią St. Flour. o ostatni numer Correspondant. Rozmowa pomimo tak zajmujących przedmiotów, ożywić się w żaden sposób nie mogła. Z dzieci i domowników nikt nie śmiał ani pytać, ani przeczyć, ani samoistniejszego wyrazić zdania. Hrabina widocznie panowała despotycznie nad tym maleńkim światem, w którym opozycji nie dopuszczała. Badając jej spojrzenie, acz je wiekuisty uśmiech łagodził, natychmiast głowy zmuszało do uchylenia się z pokorą, oczy wbijało w talerze i szerzyło milczącą trwogę.

Herbata uroczysta była już na ukończeniu, i miała prawidłowo zamknąć się podaniem owoców, gdy kamerdyner, który był wyszedł na chwilę, wrócił z przedpokoju z listem, położył go na srebrnej tacce i podał kłaniając się hrabinie.

Zrazu spojrzała nań obojętnie, końcami paluszków, biorąc z pewną ostrożnością, ale rzuciwszy okiem na adres, wstała i postąpiła ku oknu. Żywo jakos rozerwała kopertę, poszukała w liście podpisu, i twarz jej, mimo panowania nad sobą, zmieniła się tak, iż St. Flour, która to dostrzegła, przerażoną została, w milczeniu podeszła do starego kamerdynera, szepnęła mu słów kilka, które on przyjął ze zwykłym uszanowaniem, i powróciła na swe miejsce.

Białą dłonią potarła czoło.

— A! te nieszczęśliwe interes! — odezwała się wracając do uśmiechu i powagi, na chwilę straconej—

te interesa, których trzeba bądź co bądź — pilnować!!
c'est assommant!

Zamilkła trochę — ktoś tam znowu z interesem...

— Możeby panią hrabinę Wilczki wyręczył —
szepnęła St. Flour.

— A! nie! nie! są sprawy, których się nie po-
wierza... nikomu.

Westchnęła i zamilkła... zapatrzyła się w okno.
schowała list do kieszeni i wnet wstała od herbaty.

Wszyscy natychmiast ruszyli się z krzeseł.

— Ale możecie zostać... czy tu, czy w salonie —
odezwała się — ja na jaką godzinę oddalić się muszę.
Możeby Julka zagrała co z Emilem, na cztery ręce?

Na to nie było innej odpowiedzi, oprócz pełnego
uszanowania i posłuszeństwa milczenia... Julka popa-
trzała na brata. Emil na nią. i ruszono się do salonu.

1

II.

Hrabina miała przy swym pokoju gabinet, a ra-
czej rodzaj małego saloniku, w którym gości poufa-
łych i osoby z interesami przybywające przyjmowała.
Tu jej gust artystyczny jeszcze w większym występo-
wał blasku, ze swobodniejszą fantazyą. Do koła nbie-
rały go stare szafy gdańskie przepyszne, na których
gęsto stały delfty, chińskie i japońskie naczynia, sta-
ra majolika i szkła weneckie. W dwóch oknach u gó-
ry powprawiane były piękne stare szybki z herbami
i scenami biblijnymi. W środku stojące biurko, istne
arcydzieło stolarskie, heban z kością słoniową, zarzu-

cone fraszkami ślicznymi. zdawało się służyć więcej do ozdoby niż do użytku. Na ścianach pompejańskiego koloru, kilka obrazów jaśniało kolorytem szkoły weneckiej i flamandzkiej. Były to kosztowne oryginały mistrzów, nie wiedzieć jakim trafem tu zbłąkane.

Krzesła wszystkie z wysokimi poręczami, były rzeźbione. a za siedzenia pod ścianami służyły również misternie ozdobne stare skrzynie poduszkami okryte.

Wszystkie aż do wschodniego dywanu na podłodze. świadczyło o guście wykształconym właścicielki. Stary pajak mosiężny, jakby z obrazu Teniersa zdjęty, błyszczał dziwaczniemi sploty i kręgami u sufitu.

Na biurku paliła się lampa, z chińskiej wazy przerobiona.

Hrabina weszła... lecz — między salonem, w którym zostawiła dzieci, a gabinetem tym, droga musiała dla niej być prawdziwie krzyżową. Śliczna jej twarz, tak uspokojona i promienna, zbladła trupio, wzrok stał się niemal obłąkanym, ręce drżały, we drzwiach złękniona spojrzawszy za siebie, czy ją kto nie ściga, padła na najbliższe krzeselko, załamała ręce i spuściła głowę.

Białe piersi poruszały się pod czarną koronką, jakby niemi burza rzucała wewnętrzna.

Dobyla po chwili z kieszeni list i poszła z nim do lampy... czytając drżała, przeczytawszy, zmięty wcisnęła do kieszeni. Najmniejszy szelest ją przerażał. Ręce białe, konwulsyjnie wyprężone, ścisnęły się i opadały. Oczyma kilka razy z trwogą rzuciła na drzwi. Z salonu dochodził tylko głos fortepianu. Posłuszne dzieci rozpoczynały w tej chwili kwintet Schumana ułożony na cztery ręce; nieszczęsne dzieło, które cały swój charakter namiętny i fantastyczny ntracić miało w bezmyślnem wykonaniu przez hrabiankę i hrabiego.

Oczekiwanie wydało się siedzącej pani długiem jak wiek, gdy u drzwi dały się nareszcie słyszeć kro-

ki, i kamerdyner otworzywszy je, wpuścił powolnie wchodzącego mężczyznę.

Hrabina porwała się z zaciśniętymi ustami, jakby śmierć nadchodziła. Nieśmiała podnieść oczów.

Gość nie miał w sobie nic takiego nadzwyczajnie przerażającego. Był to mężczyzna, lat może pięćdziesięciu, ubrany bardzo smakownie i wykwindnie, z cudzoziemską, angielską prostotą.

Wyłysiała głowa, rysy dość pospolite, twarz żółta, ogolona i pofałdowana, usta zaciśnięte, oczy szare i zmrużone, nadawały mu charakter jakiś zagadkowy. Można się było domyślać w nim kupca, bankiera, pensjonowanego urzędnika, tylko nie wiejskiego szlachcica naszego kraju.

Trzymał kapelusz i laskę w ręku, a oczy od progu skierowawszy na hrabinę, oderwać ich od niej nie mógł. Ona pobieżnie, szybko zmierzyszy go wzrokiem, zasłoniła twarz i padła na krzesło...

Milczeli oboje. Mężczyzna czekał widocznie uspokojenia hrabiny. Pomimo wzruszenia, które się pewnem drganiem w twarzy objawiło, był panem siebie... Oczy jego tymczasem biegały po pokoju.

Milczenie trwało już zanadto długo — hrabina przerwała je pierwszą chustkę odejmując od oczów.

— Na Boga! czegoż pan.. możesz chcieć ode mnie?

Pytanie to znać nieprzyjemnie odbić się musiało w przybyłym, bo się wzdrygnął. Uśmiech ironiczny przebiegł po ustach sinych. Siadł na krześle najbliższem.

— Tego się Maryo łatwo powinna domysleć — rzekł powoli głosem nieco ochrypłym.

Nie odbierając żadnej odpowiedzi, ciągnął sam dalej, coraz podnosząc głos i ozywając się w miarę jak mówił.

— Przyznasz mi, że pomimo praw, jakie miałem, nie byłem nigdy natrętnym... Milczałem długo... dopóki nie przekonałem się, że jesteś wolną, i pókim nie zdobył takiego stanowiska, które mi dozwala, ja-

ko równemu, upomnieć się o spełnienie obietnic przeszłości.

— Ależ ja wolną nie jestem — odezwała się żywo hrabina, ja mam dzieci, ja mam imię, któremu winna...

Nie dokończyła, twarz ukrywając w chustce. Mężczyzna siedział posępny, wpatrując się w nią bacznie, może starając zbadać o ile ta, którą miał przed sobą, była tą, jaką z przeszłości zapamiętał. Na jego licu nie łatwem do wyczytania, startem latami, cierpieniem może, nawykłem do okrywania się jakąś nieprzebitą zasłoną, ironia i gorycz wypiętnowały się na chwilę.

— Płacz i narzekania na mnie, na nic się nie przydały, rzekł zimno, — powtarzam że przychodzę upomnieć się o prawa... i sądzę że mi ich zaprzeczać nie będziecie. Musiałem się ich rzec czasowo, myślałem że potrafię nie odwoływać się do nich nigdy, ale człowiek, człowiek jest słaby i głupi.

Lat wiele upłynęło od tych przelotnego szczęścia mojego, sądziłem że o nich zapomnę, że sobie inne stworzę... Niestety! Marya nadto była piękną, serce moje nadto miękkie... poszukiwanie nowego szczęścia, próżne, musiałem wrócić, choćby po rozczarowanie?

— Ale—dodał— ażebyśmy się dobrze zrozumieli, abym nie był wzięty za człowieka, który przychodzi wyłudzić grosz jakiś, wyżebrać pomoc, pod groźbą, muszę się najprzód wytłomaczyć z mojego dzisiejszego położenia. Lat dwadzieścia kilka, piękny kawał czasu, zmieniły je całkowicie. Hołysz i biedak, poszedłem w świat, powracam milionowym panem...

Marya ruszyła ramionami. Poruszenie to nie uszło baczności opowiadającego, który dodał zaraz uśmiechając się:

— Jakkolwiek się to zdaje niepodobnem, jest prawdziwem... Z nauczyciela muzyki, który by był do śmierci chodził ooso, lub w butach ciasnych, zwłaszcza, że wirtuozem nie był, tylko, na nieszczęście, mu-

zykiem — zostałem skrybentem w domu handlowym. Buchalterya mi się poszczęściła, dostałem się do kasy, bom był za mądry, abym miał kraść, potem weszliśmy w spółkę, naostatek spekulowałem na własną rękę... Byłem ostrożny — szczęściło mi się, dorobiłem się kilku obrotami znacznego majątku. Mógłbym się być ożenić z ładną osiemnastoletnią gąską, ale ta nieszczęсна miłość młodzieńcza, siedziała jak sztylet w piersi mojej...

Nie zgłaszałem się do Maryi, chociaż ciągle, zawsze, o każdym jej kroku byłem zawiadomionym. Przeczekałem żałobę po hrabi... teraz nareszcie...

W ciągu tego opowiadania kobieta miała czas się namyśleć, ochłonąć... może też ono skutkowało jakimś sposobem tajemniczym. Przestrach, który ją był ogarnął, zmienił się w całkiem inne usposobienie, melancholiczne, łagodne, nieokreślonego charakteru, jakby na rozdrożu, z którego przejść mogło i do przeżycia tego, z jakiego powstało, i do czułości, do której się skłaniało nieco.

Z za chusteczki okiem jeszcze nieśmiało zmierzyla hrabina mówiącego...

— Ale ja nie jestem już — rzekła powoli — tą płochą Maryą z przed lat dwudziestu — jam przeżyła wiele, weszła w inne sfery towarzyskie, wcieliła się w nie; zaciągnęła obowiązki... Jestem ruiną wystygłą, która ani dać szczęścia, ani go mieć już nie może...

— A! Maryo — odezwał się przybyły, wspomnienia mają urok taki, że najsmutniejszą teraźniejszość złocą. I ja ostygłem może, a na myśl tych dni... tych wieczorów, tego szczęścia kradzionego i spożywanego z trwogą, we łzach, staje się innym człowiekiem. Młodość mi powraca...

— Mówmy chłodno, rozważnie, rozsądnie — przerwała hrabina odsłaniając z wolna piękną twarz, w którą z zachwytem zaczął się wpatrywać przybyły. Wrażenie to nie uszło uwagi hrabiny, zarumieniła się z lekka, udając że go nie widzi i nie wie o niem...

— Mów, jak chcesz — Maryo — rzekł gość, — zawsze szczęściem dla mnie będzie słuchać ciebie.

— Tak. miłem czy nie, będzie to co wam powiem, chciejcie mnie posłuchać. Ja mam zdobyte z wielkim mozołem stanowisko na świecie, winnam go wielkiej pracy, zabiegom niezliczonym, latom ofiary, które przeświadczyły żem go stała się godną. Żeniąc się ze mną hrabia, mój biedny mąż — popełnił megaljans, umiałam zatrzeć ślady i pamięć jego... Nie jestem tą nieświadomą świata i namiętną dziewczeczką, którąście znali, jestem hrabiną szanowaną, przyjmowaną, za wzór stawioną... mam dzieci... które kocham... nie ma w świecie siły, któraby mnie zmusiła do wyrzeczenia się położenia, do zmiany go na inne...

— Smutno to przyznać — szydersko odezwał się gość — ale widzę, że albo nie miałem nigdy jej serca...

— A! serce osiemnastoletniego dziecka... mój panie...

— Moje wszakże, choć wyszło, nie zestarzało tak, aby się z niego starły wrażenia pierwsze... mówił mężczyzna... Jadąc tu, śmiałem się sam z siebie... szydziłem, łajałem, a siła jakaś szatańska mnie tu ściągnęła... Wiem, że ja jej dla ciebie mieć dziś nie mogę — ale ty jesteś jeszcze uroczo piękną, zachwycającą...

Ruch, jakim mimowolnie, wyciągnawszy ręce. zbliżył się do hrabiny, przestraszył ją tak. że się z krzesłem cofnęła... On się uśmiechnął smutnie.

— W niedostatku innego uroku... — przynoszę ten, jaki ma złoto... I on coś znaczy... posłuchaj mnie, Maryo. Nadto mnie obchodziło wszystko, co się ciebie tyczyło, abym się najstaranniej nie wywiedziało o położeniu twem, wprzódym nim tu przyszedłem...

Uśmiechnął się gorzko i szydersko, hrabina z trwogą jakąś spojrzała nań, i usiłowała twarzy nadać wyraz spokojny.

— Majątek po hrabi Turskim jest znaczny na oko, ale zadłużony... Winnaś pani wielkiej pilności

około interesów, że się on trzyma, że kredyt zachowuje, i że nie runął dotąd...

Dodam, że i piękne jej oczy i słiczne jej usteczka, i cały wdzięk jej—może się także przyczynia...

Hrabina zżymnęła się.

— Proszę bez tych szyderstw niesmacznych, zawołała...

— Nie zaprzeczysz pani, iż względem niektórych kredytorów i uśmiechu użyć było potrzeba... Ja to wiem... Lecz... ratuje się każdy, jak może. W takim składzie rzeczy, wygodniej być by mogło, uśmiechać się jednemu mnie, i na moje barki zrzucić ciężar cały...

— Pan masz zupełnie fałszywe pojęcie o moich interesach — zawołała hrabina — to kłamstwa są! ale gdyby tak nawet było, jakimże prawem pan Alfred Zeller, miałby mnie pomagać? Nie myślisz pan przecie, abym mój tytuł zamienić mogła na jego nazwisko, i dla tych mniemaanych długów, rękę mu moją oddała...

— Więc pani to uważasz za — niepodobieństwo? rzekł Zeller; — niech się pani namysli dobrze. Ja byłem całe życie namiętnym, jestem nim do dziś dnia, kocham tę Maryę i gorączką uchodzącego życia i wspomnieniem przeszłości, pracowałem dla nadziei otrzymania jej.. Przywiedziony do rozpacz... mogę oszaleć... mogę się dopuścić rzeczy straszliwych!! Nie grożę jej, ale przedstawiam siebie jak jestem... Ja panią kocham!!!

Hrabina przelekła, cofnęła się...

— Niech się pan pomiarkuje, szepnęła zimno, groźby te nie prowadzą do niczego oprócz — pogardy i wstrętu.

Mężczyźnie oczy zapadłe błysnęły, usta się ścięły, zatarł ręce...

— Czy to ma być ostateczna odprawa?—zapytał ponuro.

— Ale chciejże mnie pan zrozumieć—rzekła—powstając i z dumną postawą, która jej dodała krasy

i blasku — z góry wpatrując się w przybysza. Błąd młodości odpokutowałam już dosyć — zatarły się jego wspomnienia... Serce moje wystygło... Pamięć tych lat wstydem mnie tylko napawa... Znasz pan położenie moje... mam wszystko do stracenia, nic do zyskania.

— Przepraszam — zawołał śmiejąc się Zeller — pani hrabina masz do zyskania wiele, możesz zdobyć spokój, i dostatek sztuczny. z dnia na dzień kunsztownie utrzymany, zmienić na bogactwo... na obfitość... na zbytek, w którym będziesz opływała.

— I. dodaj pan, na śmieszność, którą się okryję, gdy z chciwości dla mizernego grosza zgodzę się zostać panią Zellerową, tout court — szybko bardzo poczęła hrabina — gdy z towarzystwa do którego należę dziś, przejść będę musiała w te koła. w jakie byś mnie pan wprowadził...

Zeller się rozśmiał złośliwie.

— Dla mizernego grosza! podchwycił — ale to komunał XVIII-go wieku, który dziś jest śmieszny! Grosz wcale nie jest mizerum... mizerne są pretensye do dostatku bez niego... Grosz się zdobywa ciężko i ma wysokie znaczenie...

Trzeba być znakomitym łotrem, lub niepospolicym uczciwcem, aby go zrobić... Co się tyczy tych kół, w któreby weszła ze mną pani Zellerowa... nie zdaje mi się, by straciła na zamianie. Jedną komedję na drugą tylko by zmieniła... a rozmaitość bawi...

Mężczyzna stawał się uszczypliwym, hrabina spojrzała na niego i na zegarek...

— Ale czegoż pan chcesz odemnie? — spytała — o co idzie?

— Mam prawo sięgnąć po jej rękę, i — proszę o nią.

— A ja mam prawo jej odmówić — i — miała dokończyć, gdy Zeller przerwał nagle.

— Niech się pani namysli... dam czas do namysłu...

— Ja go nie potrzebuję!—szepnęła kobieta rzucając się na krzesło, na którem wprzód siedziała. Znam pana o tyle. iż ufam, że się nikczemności żadnej dla zemsty nie dopuścisz, — szkalować mnie nie będziesz, jeśli, jak mówisz, kochasz mnie, jeśli pana tu miłość prowadzi, a nie próżność, aby się pochwalić ożenieniem z hrabiną...

— Gdybyś pani była nie tą hrabiną... rzekł Zeller—ale zniesławioną i upadłą nawet... ożeniłbym się z nią, bom namiętności ku niej zwyciężyć nie mógł... Kocham panią. ale to miłość niebezpieczna...

— Pozwól mi pan sądzić, że ona mieszka w głowie jego nie w sercu — odezwała się hrabina. Jakim sposobem po tych latach dwudziestu... możesz pan... ja nie pojmuję...

— Tak, pani możesz tego nie pojmować — spędziłaś te lata w życiu, które tysiącem wrażeń pierwotne zatarło. Moje całkiem było inne. Jam pracował z dnia na dzień mechanicznie, ogłupiająco. myśląc o niej dzień i noc... lat dwadzieścia. Ideał mojej młodości miał czas urosnąć w olbrzymia... Myślałem przychodząc tu, że się rozczaruję — znalazłem go takim. jakim się... nawet nie spodziewałem. Z niedowierzaniem i trwogą spojrzała ku niemu hrabina...

— Ale ja — rzekła — zupełnie jestem wystygłą i radabym tę niedorzeczną skończyć rozmowę.

— Kończymy więc ją — rzekł Zeller smutnie—daję pani czas do namysłu... Proszę o jej rękę... nie potrzebujesz pani zmieniać tytułu — ślub może być sekretny... albo może nie być ślubu... Ja mogę być jej sekretarzem, rządzą, knzynem, czem pani zechcesz, a że, jak mi mówiono, stałaś się bardzo pobożną. gotowem przywdziać świątobliwą sukienkę... Kłamać, słowo daję, potrafię, dla pani!

Rozśmiał się ironicznie... Hrabina zarumieniała się, szarpnęła chusteczką, którą w ręku trzymała, i rozdarła ją.

— Jest to prześladowanie, na które niema... wyrażenia... jest to znęcanie się nad kobietą nieszcze-

śliwą, niegodne... Uwolń że mnie pan! Z gniewu łzy pociekły po twarzy, które, przypominając sobie, że będzie musiała wyjść do salonu, otarła żywo, i zwróciła się niespokojna do zwierciadła... aby przekonać się, czy to wzruszenie zostawiło po sobie ślady.

Zeller wziął kapelusz w rękę, oparł się o krzesło i, spuściwszy głowę ku ziemi, stał zamyślony.

— Jeśli pani sądzisz, że mnie tak pozbędziesz łatwo — rzekł — mylisz się — daję jej czas do namysłu, choć byś go nie chciała... Za tydzień przyjadę tu znowu. Odprawiony będę się snuł i czekał... będę pracował na to abym mój cel osiągnął...

— To znaczy że mi pan grozisz zemstą i prześladowaniem...

— Nie grozę, spowiadam się — rzekł Zeller. Całe życie zmarnować tak i u celu się rozbić... to niepodobna...

Chwilę stał jakby z sobą walczył, i dodał:

— Ten urok, jaki Marya ma dla mnie, jest mnie samemu niewytłumaczony... Sercem nie mogłaś mnie pani przywiązać do siebie, bo go nie masz... innych jej przymiotów, oprócz ambicyi — nie znam — a szaleję, dla tego wejrzenia, tych ust, tej postaci — tego zagadkowego wdzięku jaki masz dla mnie. Szał to może czysto cielesny... zwierzęcy, bydlęcy... nazwij go jak chcesz — ale z szałami nie ma ratunku, jak burza niszczą!! Nie jestem panem siebie, gdy na nią patrzę... Owa Marya z przed lat dwudziestu... zmieniona tylko rozkwitnieniem, stoi przedemną... Kocham się w niej szalenie.

W miarę jak mówił, hrabina się cofała zmieszana trochę — gniewna i posępna... Niedaleko od krzesła na biurku stał dzwonek, sięgnęła ręką po niego — i zadzwoniła.

Zeller jej nie wstrzymywał — kamerdyner ukazał się w progu. Z zupełnym spokojem, usłyszawszy go wchodzącego, hrabina, przybrawszy swój uśmiech powszedni — poczęła mówić żegnając Zellerą...

— Nie znam dobrze tego interesu... będę musiała się radzić — i, choć zdaje mi się, że żądaniom jego nie będę mogła uczynić zadość, proszę o czas do namysłu...

Nieboszczyk mąż mój, zostawił mi wiele spraw, z którymi stopniowo obeznawać się muszę i oświecać... Daruj pan...

Skłoniła się. Cały ten ustęp był widocznie przeznaczony dla kamerdynera. Zeller był nadto przyzwyczajonym człowiekiem, ażeby się nie umiał znaleźć w tym razie; nie odpowiedział nic, skłonił się nisko i wyszedł milczący...

Hrabina ocierała oczy i zadumana przypatrywała się sobie w zwierciadle, gdy stary sługa odprowadził gościa do ganku. Tu stał ekwipaż podróżny, po którym poznać było można dostatek tego co nim przyjechał. Służący, którego strój od pana nie różnił, czekał u drzwiczek.

Zeller nim siadł, dobył z kieszeni parę dukatów i zręcznie wcisnął je w dłoń kamerdynerowi hrabiny.

— Mój przyjacielu—szepnął mu do ucha—przybywam tu w dość nieprzyjemnym dla hrabiny interesie... Może mi jeszcze nieraz być tu wypadnie, zamawiam sobie grzeczność jego — abym mógł mieć chwilę rozmowy na osobności z panią, nie zwracając zbyt oczu obcych na siebie, aby to panią hrabinę nie żenoowało...

Dukaty takim były dobrym słoneczkiem dla starego sługi, iż doskonale wyrozumiawszy o co chodziło, skłonił się zapewniając o załatwieniu audyencji, w sposób jak najmniej zwracający oczy.

Długi i interesa zawikłane nieboszczyka hrabiego, czyniły prawdopodobną sprawę tajemniczą, o której mówił pan Zeller.

Powóz odszedł, a turkot jego przywrócił trochę spokoju hrabinie; jednak, gdy wróciła do salonu, ze swym wiekuistym półuśmiejchem, pani St. Flour czytała z pod niego troskę... i wiele się domyślać mogła... Ksiądz Maryan grał w warcaby z Emilem, wy-

prostowanym i znudzonym, panna Julia zaszywała dno na robocie kanwowej, jakby ostatkiem sił. Błade jej oczy podniosły się na matkę mechanicznie, jakby za pociągnięciem sznurka i spadły natychmiast na nieszczęśliwą robotę, która od lat dwóch służyła do zaszywania wieczorów bez końca.

III.

O mil dwie od rezydencji hrabiny, mieszkał przyjaciel serdeczny nieboszczyka hrabiego jej męża, pan Adam Wilski. Obcy zwali go także tytułem, którego on jednak urzędownie nie używał. Prawo do niego nadawały mu znaczne włości, znakomite wychowanie i wcielenie się od młodu do tego świata, który się karmi tytułami, jako świadectwem przynależenia do pewnej sfery towarzystwa.

Pomiędzy nieboszczykiem hrabią a Wilskimi, było jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo.

Zmarły był powierzchownie wykształconym, salonowym, miłym, dystygowanym człowiekiem, miał tylko słabość jedną. lubił żyć. Życiu, to jest, użyciu poświęcał wiele, prawie wszystko. Namiętność ku ubogiej a pięknej bardzo panience, której rodzice nie używali zbyt dobrej sławy—skłoniła go do ożenienia. Panna Marya nie chciała hrabiego, rodzice zmusili ją wyjść za niego. Po latach kilku, ubożuchna panienka tak się potrafiła zastosować do nowego otoczenia, z takim taktem postępowała, takie przymioty umysłu okazała, tak owładnęła mężem i rodziną, tak poślubiła wreszcie wszystkie przekonania i zasady tego koła,

w które weszła, iż zapomniano o jej pochodzeniu i za wzór ją stawiano. Wśród arystokracji potrafiła być arystokratyczniejszą od niej—przejmując formy nowe, doprowadziła je do wykończenia, do perfekcyi, do najostatniejszych następstw. Była też uwielbianą: comtesse Marie, stała się wyrocznią.

Jednym z pierwszych co jej sławę głosić zaczęli, był kuzyn ów męża, Adzio Wilski, wielbiciel hrabiny. Nikt w tem nic złego nie upatrywał, bo Adzio był żonatym, wzorowym mężem, ojcem pieczołowitym i człowiekiem wielce surowym a poważnym. Hrabia mianował go w testamencie opiekunem...

Człowiek był jeszcze młody, piękny niegdyś bardzo, dziś przystojny, i dbający o to, aby nie zestarzeć.

W salonie, zdala miał minę co najmniej — księżęcia. Postać była wybitnie arystokratyczna, imponująca, rysy twarzy szlachetne, wejrzenie rozumne. Wilski żył tylko z ludźmi swojej sfery, tego co zwał złem towarzystwem unikał starannie, odpychał chłodem nieco tych, których znać nie chciał, ale między swoimi był przyjemnym, dowcipnym złośliwym.

Uchodził za doskonałego gospodarza — za bardzo rządneho człowieka, chociaż — grywał trochę, a żył na bardzo pańskiej stopie. Życia tego strona zewnętrzna szczególnie pilnie była nadzorowaną, aby w oczy biła. Adzia ożenili rodzice bardzo młodo, jakby czuli, że go wprędce osierocą. Jakoż zmarł ojciec naprzód, a potem matka, która miała na jednym folwarku dożywocie. Pani Wilska z domu Hreczyna, jedyna dziedziczka znacznych dóbr o granicę, była nieładną, troszeczkę ułomną, słabowitą, spokojną niewiastą, której może jej wielkość ciążyła... lecz potrafiła się z nią oswoić. W salonie nie jaśniała, mówiła mało, ubierała się śmiesznie i bogato, a całą jej zabawą i pociechą było dziątek dwoje. Wielbiła męża, który obchodził się z nią jak opiekun, jak guwerner raczej niż mąż. O miłości wielkiej nigdy tam mowy nie było, lecz życie szło prawidłowo i zgodnie.

Żli ludzie z przekąsem się odzywali o wielkiej przyjaźni, jaka dwa domy sąsiedzkie łączyła, o uwielbieniu Adzia dla hrabiny, o przechadzkach jakichś podpatrzonych — lecz wiadomo powszechnie, jak ludzie tego rodzaju łatwo sobie tworzą dziwolągi, które złośliwsi od nich roznoszą po świecie... Pan Wilski, zwłaszcza zostawszy opiekunem hrabiny, żadnej tajemnicy nie czynił z częstych odwiedzin u niej, przesiedywał tam długo, niekiedy żonę przywoził, ale interesy zawikłane po hrabi wymagały tego starania.

Dom w Wielkim Wilsku był po pańsku urządzony, wygodnie, — lecz tego arystokratycznego wdzięku, jaki otaczał hrabinę, mu brakło. Adzio czasem coś kupił dla ozdoby, drogiego, przepysznego, osobliwego, na jakiej wystawie, całość wszakże nie była harmonijna, klóciła się tu proza z kunsztem i trywialność ze smakiem. Nie można było zgadnąć w Wilsku co gospodarz lubił, co mu nad inne było miłym. Potrosze krzątał się około ogrodu, było obrazów kilka, były kunsztowne fraszki, i książki ładne, wszystko to raczej dla pokazu niż przyjemności.

Sam pan w domu był gospodarzem zaciętym, drobnostkowym, w Warszawie grywał i należał do tych wesołych towarzystw, co się kąpią w szampanie, przybierał fizyognomie różne, a dla świata okrywał się powagą. Z rana właśnie siedział z cygarem i gazetą w gabinecie swoim, na kołyszającym się krześle, gdy służący wszedł z listem.

— Posłaniec od pani hrabiny czeka na odpowiedź...

Szybko rozpieczętował wonny i bardzo kształtny bilecik. Wilski. Stało w nim słów kilka, zapraszających pilno dla rozmowy w ważnym i poufnym interesie... Interes był podkreślony... W przypisku znajdował się ukłon dla pani...

Godzina była blisko jedenasta. Wilski namyśliwszy się, zaprzęgać kazał. Kamerdynier przyszedł go ubierać. Ubranie było aż do zbytku staranne i mło-

de... Zwierciadło, mimo przerzedzonych włosów, dosyć świeżemi rysy usprawiedliwiło tę tualetę.

Ubrany, w kapeluszu na głowie, nucąc, poszedł Wilski do żony, która była około dzieci.

— Muszę jechać do hrabiny — rzekł — nieszczęście z temi jej interesami, którym nie ma końca...

— Zmiluj się tylko, żebyś się i ty nie zaplątał...

— Allons donc! — odparł Wilski i zlekka rękę żony uściskawszy, wyszedł. Dzieci go dogoniły z pożegnaniem. Śliczna czwórka koni czekała przed gankiem. Liberya, powóz, uprząż, wszystko było nieposzlakowanej elegancji, choć podejrzanego trochę smaku. Świeciło się to i imponowało.

Od przyjazdu z Wilska, do rezydencji hrabiny, wiodła piękna, stara, lipami i klonami wysadzana ulica, starannie utrzymywana. Drzewa siedziały we cztery rzędy, po bokach stanowiąc drużyny dla przechadzki...

Wilski właśnie wjeżdżał w aleję, gdy z boku postrzegł chusteczką mu znak dającą hrabinę.

Ślicznie była ubrana w liliowy szlafroczek z białemi koronkami, który ją odmładzał. Para ładnych angielskich charcików, szczerkając biegła za nią. Wilski postrzegłszy ją zatrzymał się, wysiadł z uśmiechem podbiegając ku niej, konie i służącego odprawiono do dworu.

Przywitanie było przyjacielskie ale ceremonialne. Dopiero gdy powóz znikł pod gałęzmi lip zwieszonemi, hrabina powtórnie podała rękę Wilskiemu. Spojrzała mu w oczy z natarczywą czułością, i Wilski, obejrzawszy się do koła... pocałował ją w czoło...

— A! jakżem szczęśliwy, że wypadł ten jakiś interes, dla którego zostałem wezwany... Jesteś niewypowiedzianie dobrą! anielską istotą! Byłem stęskniony śmiertelnie i szukałem tylko pozoru, aby się tu dostać, gdzie życie... Przecież innego spodziewam się interesu nad interes serca... nie ma...

— A! mój drogi Adziu—westchnęła hrabina robiąc smutną i zafrasowaną minkę, z którą było jej

bardzo do twarzy—niestety! niestety! Spójrz na mnie. od wczoraj musiało mi przybyć lat dziesięć... jestem zawstydzona, upokorzona. znękana, przybita. pół-żywa...

Ratunku!!

— Cóż się stało! na Boga! rozśmiał się Wilski czule bardzo zbliżając się do niej...

Twarzyczka tak śliczna zawsze. tak świeża...

Hrabina zlekka go odepchnęła.

— Zmłuj się—jeszcze kto zobaczy! pełno w polu przesuwających się ludzi—musimy być ostrożni!

Proszę cię.

— To prawda! — potwierdził Wilski — ale zapomnieć się można.. Nie byłem panem mojego wrażenia... Jesteś dziś jak anioł piękną...

— Tak. anioł czterdziestoletni..

— Dziś masz lat dwadzieścia ..

Na wspomnienie lat hrabina sposepniała i westchnęła...

— Wiesz co—rzekła—potrzebujemy się tak rozmówić, aby nas nie podsłuchano. W domu lękam się zawsze... a nie chcę po kątach się kryć z tobą... i to nie dobre... Przejdźmy na ławkę kamienną pod krzyżem, zkąd pałac widać... musimy się rozmówić obszer- nie, a co mnie ta rozmowa kosztować będzie, jeden tylko Bóg wie.

Wilski się zgadzał na wszystko, zapowiedziana rozmowa, jak to widać było z twarzy. mocno go intrygowała. Hrabina szła w milczeniu aż do owej ławki zapowiedzianej.

Miejsce było bardzo piękne. Na małym wzgórku wznosił się wystawiony przez pobożną właścicielkę miejsca kamienny krzyż z ozdobami gotyckimi, z piękną ballustradą, otoczony bzami i różami.

Ona i dzieci przynosiły tu prawie codzień wieńce świeże. siadywano tu wieczorami. Na bokach wzgórza rozsypane krzewy różnolistne tworzyły grupy wdzięczne. Powoje, wino dzikie. klemetyty, snuły się czepiając ballustrady, krzyża i gałęzi.

Hrabina siadając westchnęła głęboko, zasłoniła oczy na chwilę i w milczeniu przygotowywała się do mówienia. Lecz jakby potrzebowała ze słuchaczem swym wejść wprzód w związek magnetyczny, któryby wzbudził zaufanie... ujęła go za rękę...

— Mój przyjacielu — rzekła — mój Adziu — ty, którego w życiu nkochałam jednego. dla którego poświęciłam tyle, którego serce z mojem było zawsze zgodnie... Adziu, słuchaj mnie i wierz mi, a nie obwiniaj!

Muszę ci opowiedzieć historię z mojej młodości, ażebyś zrozumiał to, co dziś przygnębia. Miałam lat ośmnaście, gdy ojciec mój, który nic nie żałował dla wychowania mojego, widząc we mnie talent do muzyki, który tylko skazówek jeszcze potrzebował, aby się w pełni rozwinął, powziął nieszczęśliwą myśl wzięcia nauczyciela do domu. Był to niejaki Zeller, naówczas chłopiec młody, brzydki, zarozumiały, nieznosny.

Muzyk doskonały, człowiekiem był gwałtownych namiętności i we mnie wstręt tylko obudzał. Nie cierpiałam go.

Spojrzała hrabina na Wilskiego, który słuchał z powagą i zupełną wiarą.

— Powiadam ci, Adziu,—nie cierpiałam go, powtórzyła.

— On się naturalnie zakochał.

— Niestety — szalenie... W końcu musiano go odprawić, bo mnie kompromitował... Nie dałam mu najmniejszego powodu do posądzenia o współczucie. Admirowałam muzykę, człowiek był dla mnie. mówię ci, wstrętliwy... obrzydły.. Wbił sobie jednak w głowę, nie wiedzieć co...

— Ale temu, jak sędzę, jest lat—lat—przerwał Wilski.

— No—lat... dużo... nie liczymy. Znikł mi z oczów. Odprawiono go, zrobił historię na wyjeździe... sceny... Wzbudzał we mnie wstręt i litość... Być może iż widząc go tak cierpiącym. rozpaczającym. rzuciłam

mu jakie słowo... nie pamiętam... Tyle lat... dosyć że wbił sobie w głowę jakieś bezsensowne nadzieje...

Westchnęła znowu hrabina. Wilski wpatrywał się w nią z jakimś wyrazem smutnym. Spowiedź ta widocznie nie była mu do smaku.

— Wczoraj — wyobraź sobie — kończyła pani — z największym moim przestraczem, ten npiór, którego imienia nawet nie słyszałam od lat tylu, zjawia się, stary, wynędzniały, zmieniony... milionowy, jak powiada, i napada mnie, w imię tej głupiej swojej miłości, z natarczywością, z groźbami... tak żem się go ledwie pozbyć mogła. Jestem przerażona. wylękała...

Oczy zakryła hrabina.

— Lecz przecież żadnych praw nie ma.

— Ale jakież by mógł mieć! zakrzyknęła hrabina—za kogoż mnie masz! zlituj się... byłam dzieckiem prawie!

— Ja w tem nie widzę nic strasznego—odezwał się Wilski—ale któż to jest? jak się zowie? Zdaje mi się żeś wspomniała o milionach...

— Bo mi o nich mówił — westchnęła Marya — z muzyka przeszedł na pomocnika i współnika w jakimś banku... nie wiem, dorobił się. Może kłamie... Wystawzę sobie, śmiał mi proponować ożenienie ze mną, pomoc w interesach! Ledwie się go pozbyła. Całą noc miałam gorączkę. nie masz wyobrażenia jak wygląda... coś ma w sobie strasznego, ironicznego.

— Jest to przygoda zapewna przykra—odezwał się Wilski—ale—mnie się zdaje—bez następstw żadnych. Drzwi mu zamknąć i po wszystkim...

Zeller! Zeller! powtórzył Wilski przypominając sobie—gdzieś się spotkałem z tem nazwiskiem, lecz to jedno z tych niemieckich banalnych nazwisk, których pełno.

— Co mi radzisz? mój jedyny, mój dobry przyjacielu, słodko odezwała się hrabina, zmrúżonemi nieco oczyma spoglądając na Adzia, który czy skutkiem spowiedzi, czy humoru — dosyć ochłódl i spoważniał.

— Najprostsza rzecz w świecie — odparł Wilski — mówiłem już — drzwi mu zamknąć...

— Ale proszę cię, Adziu, przerwała hrabina — ja ciągle będę niespokojną. Czybyś nie mógł się dowiedzieć, gdzie on się tu kryje, gdzie zaczajony siedzi. — Na wsi? u kogo? w Lublinie? nie wiem. Byłby jakiś sposób może pozbyć się go.

— Nie wiem — rzekł Wilski. — Do Lublina mil trzy — mógłbym pojechać wreszcie, lecz jak się dowiedzieć i co to pomoże. W sąsiedztwie? gdzieżby znowu mógł się ukrywać?

— A! bo ty nie masz pojęcia — dodała Marya, co to za gwałtowny człowiek... Tyle lat... taki na pozór stary, a wczoraj... powiadam ci — chwilami przerażał mnie!

— A... Maryo! — odezwał się Wilski — ja mu się nie dziwnię... choć na pozór chłodnym być muszę, równie jestem oczarowany i namiętnie przywiązany... Dom mi nie smakuje — obrzydło wszystko — tęsknię — za tobą myśl moja goni tylko...

— A! to było i jest co innego, nasze dusze się porozumiały od pierwszego wejrzenia... zapomnieliśmy obowiązków... jam dla ciebie poświęciła, co kobieta ma najdroższego. Nasze przywiązanie wyjątkowe...

W ganku pałacowym, który ztąd widać było, pokazał się Emil, matka go spostrzegła...

— Chodźmy — rzekła — obawiam się posądzeń — chodźmy i bądź, proszę cię, wesół... Namysł się co robić — ratuj mnie — pomóż mi...

Scisnęła jego rękę, wstali z ławki. Wyraz twarzy Wilekiego, coraz pochmurniejszy, niepokojem nabawiła hrabinę, uśmiechała mu się ciągle, aby rozpędzić te chmury. czuła w nich wykluwające się posądzenia, których się lękała, ndawała nadzwyczajną, nie naturalną wesołość. Kilkadziesiąt już tylko kroków dzieliło ich od ganku, tu stał hrabia Emil wyprostowany, a obok niego pulchniuchny ks. Maryan, zacieraając białe rączki. Jak tylko przemówić mogła, hrabina odezwała się żywo:

— Emilu, pozdrów że tego drogiego opiekuna swego, najlepszego przyjaciela twojego ojca i domu, jedyną naszą podpore...

Emil pospieszył się zejść ze wschodów, jak lalka idąc sztywnie, podał po angielsku rękę Wilskiemu, skłonił mu się niezgrabnie i w ramie go pocałował. Ks. Maryan czekał z pozdrowieniem w ganku, i tak samo jak wczoraj hrabinie, skłonił się uchYLENIEM głowy samej — nizkiem — a niewłaczającym stanowi, który zaprezentował. Było to widocznie wyrozumowaniem i obrachowaniem.

Kochany nasz opiekun — mówiła hrabina wchodząc do pałacu, sparta na jego ręce, kochany nasz opiekun, mimo tylu zajęć, tak jest niewysłownie dobrym dla nas, tak troskliwym, że nigdy nam przybycia i rady nie odmawia.

W salonie panna Julia właśnie grała, była to jej godzina exercycyi; zobaczywszy Wilskiego, wstała nagle, dygnęła mu, złożyła nuty uszczęśliwiona, że może się rozstać z etudami Henselt'a. których nie rozumiała, a musiała je klepać, i odeszła do swojego kątku.

Pani St. Flour, siedząca na straży tych studentów, już wystrojona równie jak wczoraj niesmacznie i jaskrawo, z niezmierną żywością i chęcią przypodobania się powitała pana Wilskiego.

Znając afekt hrabiny dla niego, daleko lepiej niż ona sądziła, bo decorum było jak najtroskliwiej zachowane, zręczna francuzka uwielbieniem opiekuna usiłowała wkraść się głębiej w łaski pani.

Na stoliku w salonie, w czasie niebytności hrabiny, złożył był właśnie służący gazety i listy, świeżo przywiezione. Przybywając do pokoju rzuciła na nie okiem, i poznała z łatwością, iż ciekawa St. Flour już je musiała przezierać. Pomiedzy listami był jeden, na którego widok zarumieniła się mimowolnie, poznała wreszcie rękę Zellera... Z najbliższej poczty wczoraj jeszcze musiał być pisanym. Udaając obojętność spojrzała na wyciśniony na nim stempel stacyi i, nie chcąc

ażeby uważano, iż do niego jakąś przywiązywała wagę, zostawiła go na stole, zasuwając go gazetami. Manewr ten, jakkolwiek bardzo zręczny, nie uszedł ani oka szpiegującej St. Flour, ani podejrzliwego wejścia Wilskiego.

Od wczora francuzka, ciekawa do zbytku, podejrzewająca bogobojną panią o różne światowe stosunki... była rozgorączkowaną żądzą dowiedzenia się czegoś o wieczornych odwiedzinach nieznajomego.

W czasie gdy hrabina rozmawiała z nim w gabinecie, St. Flour pod jakimś pozorem podkraǳła się na chwileczkę podedrzwi. Nie zrozumiała wprawdzie, ani mogła dosłyszeć dobrze co mówiono, ale ton obu głosów mocno ją uderzył. Była najpewniejszą, iż nie o interes pieniężny chodziło. Rozmowa była dramatyczną... tragiczną prawie, przerywaną płaczem, zaprawną szyderstwem.

St. Flour wiedziała, że ten niezmiernie surowy pozór domu, krył w sobie wiele tajemnic, to odkrycie nabawiło ją niewypowiedzianem pragnieniem wniknięcia do głębi... Domyślała się, że list wyprawiony do Wilskiego, był w związku z wczorajszą rozmową, bo rola opiekuna była jej dobrze znaną, domyślała się, że ten list z najbliższej stacyi, ręką obcą pisany... mógł także wiązać się z tajemniczą postacią wczorajszą.

Pani St. Flour nie udało się wprawdzie zobaczyć nieznajomego, ale kamerdyner stary, z którym była bardzo dobrze, opisał go jej dokładnie... Tysiączne wnioski roily się w główce niespokojnej.

Daleko zimniej i ostrożniej zajmował się także tą sprawą nauczyciel hr. Emila, ksiądz Maryan, kapelan domowy i dyrektor sumienia hrabiny. I on potrzebował wniknąć głębiej w sprawę zakrytą, choćby dla tego, ażeby się przekonać, że nie tyczyła się interesów pieniężnych, które go niepokoiły. Z pewnych oznak wywnioskował był, iż majątkowe sprawy hrabiny, mimo tej stopy na jakiej był utrzymywany—świetne nie były.

Szło mu o stwierdzenie tych domysłów. aby nie tracić czasu w domu i rodzinie, która przyszłości nie mając i daćby jej też nie mogła. Księżyna był ambityny, chciało mu się dobrego probostwa i kanonii, a z tej miał pewną nadzieję, przy swem wykształceniu i zręczności, dobić się do infuły. Już teraz, choć tak od niej oddalony, ks. Maryan uczył się i próbował, jak w niej miał chodzić. Poznać w nim było łatwo męża wielkich nadziei. gotowego do celu iść choćby najeżonymi cierniem drogami.

U hrabiny, przy jej synu, dobrze mu było, lecz— jeśli co groziło domowi? jeśli wpływ familii miał osłabnąć... wyrzekłby się tej Kapuy, którą oczyma swemi natrętnemi starała mu się bogobojna St. Flour uprzyjemnić.

Hrabina była więc przedmiotem pilnych badań i wejrzeń ciekawych wszystkich osób zgromadzonych, prócz Julii która w zwykłej apatii była pogrążoną. Nawet hr. Emil, na pozór zastygły i śpiący, ale przebieglejszy niż się wydawał, czegoś się domyslał, coś badał, mając powierzchowność najniewinniejszą w świecie. Nawyknienie do tego decorum i formy pewnej, uczyniło go skrytym i podstępny. Przy matce i starszych przybierał minę niewiniątka krochmalnego, ale oczy jego strzelały i myśl błdziła daleko poza szrankami, które jej były wyznaczone... Ks. Maryana całował w rękę nie cierpiąc go, Wilskiego w ramię, chociaż miał instynktowy wstręt do niego. Chłopak był niepozorny ale wielkich nadziei.

IV.

Miasteczko Parzygłowy o mil trzy od rezydencji hrabiny położone, podobnem było do wszystkich innych mięscin, których tytuł nie odpowiada znaczeniu. Jedna długa ulica dworków, obszerna targowica, parę żydowskich zajazdów, kościół parafialny. rodzaj ratusza opuszczonego, klitki drewniane nazwane kramami, składały cały ten gród. nie dawniej ze wsi przeistoczony nad koniec XVIII-go wieku. Kilka razy do roku zbierały się tu jarmarki, życia nieco dawał pocztowy gościniec. Już w ostatnich czasach, kilku emerytów i ludzi nie mających zajęcia umieszczało się w małych domkach. które po za główną rozpierchły się ulicą.

Całe towarzystwo miejscowe składało się z księdza proboszcza, honorowego lubelskiego kanonika Hamerskiego, który od lat kilku spodziewał się jakiejś infułacyi i doczekać się jej nie mógł; przy nim żyła siostra, owdowiała z Hamerskich Burska. z synem, który to się ukazywał, to niknął, i dosyć zły używał famy. Dalej, do honoracyorów należał pocztalter, człowiek mający znakomite stosunki w Warszawie, pewien siebie, zamożny i nie ceremoniujący się z passażerami. Pan Paździerski nosił się bardzo elegancko, dewizki szczególnie i na palcach pierścienie miał bijące w oczy, gadał głośno i poznać było można po nim, że jeśli raczył zajmować podrzędne owo stanowisko pocztaltera w Parzygłowach, to tylko dla fantazyi, bo, gdyby chciał — łatwo mu było pójść wyżej.

Pani Paździerska, znakomita piękność, miała salopę zimową z tumakami, i suknię aksamitną, o tem

wiedzieli wszyscy. Młodzież miejscowa składała jej hołdy, które przyjmowała z pogardą, ale one ją bawiły, i nie gniewała się za nie. W domu ich życie było zbyt kłopotliwe, na powszedni dzień nawet wino i bez sztukamięsy a pieczystego nie obchodziło się nigdy.

Burmistrz miasteczka, chociaż majątny, chodził w kapocie, i był, jak się wyrażał Paździerski o nim — człek ordynaryjny, jednakże dwie córki miał na pensyi w Warszawie i w domu fortepian wiedeński. Sama jejmość często chodziła z głową związaną chustką, i zajmowała się drobiem, a nawet karmieniem tych zwierząt, o których przyzwoitość w salonie mówić nie dozwala, dla tego, że rogów nie mają.

Oprócz tych, niejako oficjalne mających stanowisko osób, znajdowało się w Parzygłowach parę jeszcze osiadłych po dworach dla przyjemności i wygody. Stary jeden z ogrodem domek, o dachu wysokim, przed którym dwa ogromne stały kasztany, od bardzo dawna zamieszkiwała rodzina Zellerów, o której rozmaite chodziły wieści. Stary Zeller był niegdy jakimś oficjalistą u Zamoyskich, ojciec jego także. Skutkiem pewnych nieporozumień czasowo potem osiadł, służbę rzuciwszy, w Parzygłowach. ale że innej nie znalazł, pozostał w niej po dziś dzień.

Z czego ci Zellerowie żyli, było to zadaniem, którego rozwiązywaniu poświęcało się już, w ciągu długiego przeciągu czasu, osób wiele, niepospolitą przebiegłością obdarzonych. jednakże nikt tego spenetrować nie mógł.

Ubogo było koło nich, a kredytu nie potrzebowali, i tak się to jakoś ciągnęło.

Zeller czasem wyjeżdżał z domu. Dzieci kilkorokowe, które wychować było trzeba, zmuszały do wielkiej oszczędności, później się to po świecie rozpierzchło, i starzy zostali sami, z jedną sługą i sierotką, chodzącym w dzień powszednie boso. Za domem był ogród warzywny dostatni, chowano krów dwie, drobiu dosyć; sprzedawano jesienią owoce... zresztą musieli mieć jakieś dochody, bo niedostatku nie cierpieli,

a ubóstwo znosili nie skarżąc się. Stary Zeller chadzał po dawnemu w kapocie, w czapce, był mężczyzną słusznego wzrostu, zawiędły, milczący, zażywał tabakę i sływał ze zdolności do rachunku.

Na pamięć mógł znaczne summy mnożyć i odciągać. W warcaby, a nawet w szachy grywał arte. Czytywał też książki stare, powoli — z rozmysłem... Ludzi ani unikał, ani gonił za nimi, do domu nie zapraszał nikogo. Jejmość żona jego, cierpiąca na reumatyzm (a i dworek był wilgotny), nie wstawiała z krzeselka. Mówiono że była osobą wykształconą i kilku językami wyrażającą się z łatwością. Najstarszy syn Zellerów, mający zdolność do muzyki, rozpoczął był od nauczycielstwa w jednym domu obywatelskim, potem znikł i dawno od niego nie było wiadomości. Drugi biedę klepał na nauczycielstwie w Lublinie, był już poddeptanym kawalerem, żenić się nie myślał; wykładał jeometrię i algebrę. Ten czasem do rodziców u święta przybywał. Jedna z córek, piękna panna niegdy, poszła za rządcę dóbr i wyniosła się w Podlasie, druga była pono guwernantką.

Cała więc rodzina wałęsała się po świecie, a starszuskowie dożywali dni swoich w zaciszu. Mało z nich było pociechy dla ks. kanonika i pocztaltera, którzy z góry na Zellerów patrzali.

Na ostatek w drugim końcu miasteczka, piękny dom nowy z dużym ogrodem, kawalem gruntu i rodzajem małego folwarczku, posiadał były sędzia pan Mieczysław Abdank, wdowiec, który znaczne dobra przepuściwszy, oddawszy dzieciom i wierzycielom ostatki, sam nabył tu ziemię, i żył dosyć wesoło, przyjmując dawnych znajomych, czasem spraszając pochwyconych podróżnych.

Był to już człowiek lat blisko sześćdziesięciu, ale się nie mógł pozbyć fantazyi młodzieńczych, i to jego nieszczęście stanowiło: nie mógł zapomnieć, że był panem dóbr i obywatelem... na ostatek i kolligacyi familijnych i antenatów w dworku na przedmieściu ulokował, aby ludzie znali z kim mieli do czynie-

nia. Zresztą z kośćcami pocziwy, uczynny, przy wielkich panach a magnatach demokrata okrutny, z mieszczanami szlachcic zakuty, przy paniach galant śmieszny, Micio ów podobny był do tak wielkiej liczby u nas trafiających się typów, iż może go bliżej określać byłoby zbyt czynnem.

Zaraz obok poczty stał, tak zwany hotel Warszawski, który z powodu nazwiska właściciela pospolicie mianowano — u Kurzejpiętki. Kurzapiętka izraelita był w nim gospodarzem i nie bardzo się starał o postawienie go na stopie wytwornej, gdyż współzawodnika żadnego nie miał, a o dwa domy dalej znajdująca się karczma, nie słusznie zajazdem lubelskim nazwana — była w istocie szynkiem tylko.

U Kurzejpiętki zaś były dwa pokoje dla pasażerów, rodzaj restauracyi, w której czasem dostać było można jakiegoś mięsa, a zawsze trunków. Trunki stały na wywieszonej tablicy. Właściciel, zajmujący się oprócz tego handlem zbożowym, faktorstwem i różnemi przemysłami, miał się dobrze, a hotel był dlań tylko rzeczą dodatkową.

Był to izraelita już zupełnie wyemancypowany, chodzący, jak wszyscy ludzie, w cylindrze i paletocie, i nie noszący na głowie żadnego zbyt czynnego okrycia, vulgo jarmułki.

Miał imię Henryka, nie lubiąc przezwiska Kurzejpiętki, które po ojcu odziedziczył.

W zajeździe służba była nader zaniedbana, rzadko się tu kto zatrzymywał dłużej a nie było prawie praktyki, ażeby podróżny zamieszkał dni kilka. Zwyczajnie przyczyną przymusowego pobytu w Parzygłowach, bywało zepsucie się powozu. Naówczas kowal leniwo się brał do reperacyi, i nieszczęsny człek, którego pocztalter wyprawił do hotelu, musiał w nim się męczyć, dopóki koło lub oś nie była przyprowadzona do stanu pierwotnego.

Niezmierne było zdziwienie ludności miasteczka, gdy jednego wieczora powóz cały, niepopsuty, bardzo pańsko wyglądający, z kamerdynerem na koźle, wje-

chał pod ciemne wrota hotelu, i zażądano pokoju dla pana.

Pana Henryka w domu nie było, myszures z rynku przyleciał pędem, i podróżny, człek już niezbyt młody, choć nosem mocno kręcił, bo pokój mu przeznaczony miał ów specyficzny zapach pustki i brudu, który nasze zajazdy odznacza—musiał się wszakże nim zaspokoić. Myszures rad był spenetrować co to za państwo zajechało i jak długo zabawić mogło, ale z nim się w rozmowę nie wdawano.

Poważne tłumoki wniesiono na górę... nie zażądano nic... przybyły wydał jakieś rozkazy, i pozostawiając służącego, sam, nie zapytawszy nawet o nic—wyszedł na miasto. Myszures nazwiska się chciał dowiedzieć — zbyto go niczem... W pół godziny potem, różnemi kanałami po mieście rozeszła się wiadomość, iż jakiś pan zajechał do Kurzejpiętki... Dowiedział się o tem pocztalter Październy, pani Burska na probostwie, a nawet stary Micio, który nudząc się rad był schwytąć jaką ofiarę na herbatę i do wiścika z dziadkiem choćby.

Cóż z tego—zajechał—ale znikł—jak w wodę wpadł. Widziano go idącego w rynek, niepodobna się było domysleć co się z nim stało, nikt ani przypuszczał, aby ktoś tak porządnym powozem przybywszy, udał się do tak ordynaryjnego człowieka jak burmistrz.

W istocie przybyły poszedł gdzieindziej.

Zdawał się doskonale znać miasteczko, nie spytał nikogo o drogę, z rynku wziął się wprawo na wąską uliczkę—i stanął wkrótce u bramki domku pod kasztanami, który zajmowali Zellerowie. Tu nikogo nie zastał; w pewnem oddaleniu, pod szopką, stara sługa, którą nie wiedzieć dla czego nazywano Hollendrową, skubała kurę, nie wiadomo modląc się czy śpiąc... U nóg jej leżał stary, kudłaty, na pół szersci już pozbawiony, pies Bursztyn. Stara byłaby przychodzącego nie widziała, gdyby stróż z obowiązku, podniosłszy głowy, nie szczeknął. Z kurą w ręku, bo

zostawiać ją na pokuszenie Bursztynowi, nie było bezpiecznie, zwłaszcza że się kilkakroć dopuścił nadużyć, a raz nawet tłustą gęś w niwecz obrócił — poszła opieszale sługa spytać rzadkiego gościa czegooby sobie życzył.

Spytał o Zellerów.

— A są—odpowiedziała przypatrując się — albo co?

— Chciałbym się widzieć z nimi.

— To może jegomości wywołać? spytała gospodyni.

— A gdzie są?

— No—pewnie w izbie na prawo... ale...

Słudze się zdawało, że nieznanego tak wpuścić może nie wypadało.

— Jeżeli w domu są—rzekł spokojuie przybyły, to ja już sobie dam radę...

I postąpił krokiem dalej. Gospodyni z kurą niespokojnem okiem powiodła za nim ciekawie — nie mogła go już wstrzymać.

Na podwórzu było jeszcze jasno, ale w sionce dworku, już mrok padał. Przyczyniały się do tego i stojące przed nim kasztany, których gałęzie na dachu się opierały i osłaniały okna.

Gdy się drzwi otwały na prawo, ukazała się izba dosyć duża i czysta, z sufitem z belek, ze sprzętem prostym, w której także już mrok panował. Mężczyzna słusznego wzrostu, w kapocie, z chustką kolorową w ręką, przechadzał się po izbie, a postrzegłszy kogoś wchodzącego — wstrzymał się widocznie zadziwiony.

W drugim końcu, u okna, którem od ogrodu więcej światła wpadało, siedziała staruszka przegnębiona, okryta chustką szeroką, z nogami na stołeczku spartemi, robiąc pończochę. Stary zegar klekotał powoli w kątku.

Izba miała prostą podłogę, piec kaflowy zielony, u okien firaneczki skromne... mało zresztą sprzętu, a nic coby jakiś dostatek lub byt lepszy okazywało.

Gospodarz stał czekając co mu powie przybyły — zdumiony i zmieszany prawie tem wtargnięciem do jego schronienia. do którego rzadko kto obcy zaglądał. Na spokojnej twarzy starego widać było, iż to uważał za omyłkę.

W milczeniu gość podszedł ku niemu. nie przemówił słowa. wpatrzył się mocno... i czekał.

Stary zmieszał się bardzo. wlepił w przybyłego wzrok — drgnął... ręce podniósł, a w ostatku krótko wykrzyknął...

— Alfred!!!

Pod oknem imię to wymówione usłyszała matka, z rąk jej wypadła pończocha, i powtórzyła prawie z krzykiem...

— Alfred!!

Zawahał się jakoś stary, czy ma otworzyć ręce i uściskać.

— Ojcze! — odezwał się wzruszonym głosem przybyły, czyż jeszcze gniewać się będziesz na mnie, czyż się nie dasz przebłagać — ojcze... ale nim tych słów domówił, zaczął go ściskać stary i rozplakał się. Wyrывая się od niego Alfred, pobiegł paść do nóg matce. której wzruszenie mówić nie dawało. Drżała i trzęsła się cała... W głębokiem milczeniu odbyła się ta scena przebaczenia i powitania.

Wreszcie Alfred wstał.

Przy świetle okna, oboje starzy ciekawie mu się przypatrywali... nie mówili nic, a twarze ich wyrażały smutne zdumienie. Ten Alfred, który z ich domu wyszedł młodym i świeżym chłopakiem. wracał doń zwiędłym, zestarzałym przed czasem. Nie takim się go widzieć spodziewali.

— Biedne dziecko! — szepnęła matka.

— Gdzież reszta rodzeństwa? — spytał siadając obok matki i ojca Alfred.

— A. po świecie, za chlebem — odezwał się ojciec. Natalia za mężem... Kostusia na służbie... guwernantką, Paweł profesorem w Lublinie... a ty? cóż się działo z tobą?

— Długa by spowiedź była — smutno począł przybyły... Gdym na gniew wasz zasłużył, gdyście się mnie wyrzekli i zakazali mi nawet dawać znać o sobie, wam i rodzeństwu, cóż miałem robić?... uciekać ztąd musiałem! W świat!

— Słuchaj Alfredzie — począł ojciec poważnie i surowo — nie wyrzucaj mi obejścia się z tobą. Wiem com uczynił i nic sobie nie mam do wyrzucenia. Umieściłem cię sam, w domu obywatelskim pokładając w tobie zaufanie. Zawiodłeś je wdając się w romans nieszczęśliwy z córką domu. Wszakże cię schwytało... musiałem, karząc płochość i zmuszając cię do pracy nad samym sobą, zamknąć ci drzwi moje... Dziś wszystko zapomniane przeżyte...

— Tak przeżyte, ale nie zapomniane. rozpoczął Alfred, spuszczać głowę. Moja miłość dla tej kobiety, wywołana przez nią samą, boby się do niej nie osmielił inaczej — została w mem sercu — po latach dwudziestu — żyje w niem.

Usłyszawszy że owdowiała, dla was ale i dla niej tu przybyłem.

Matka słuchając — krzyknęła boleśnie... ale wnet spuściła oczy i głowę..

— Więc cię to szaleństwo nie opuściło — dodał ojciec — a to — po prostu, szaleństwo... Cóż się przecież działo z tobą?

— Rzuciłem muzykę, z którejbym nie miał być chleba... Przewędrowawszy kawał kraju jako skrzypek z kapelą, która się mogła ledwie wyżywić — w rozpacz stłukłem o ścianę skrzypki moje, poszedłem się uczyć buchalteryi, rzuciłem do handlu. Miałem wolę silną — uznano mnie użytecznym — zasłużyłem na zaufanie. dostałem się do domu bankierskiego w Hamburgu. Byłem w nim buchalterem, kasyerem, spółnikiem, dopóki nie mogłem stanąć o własnej sile. Chciałem zostać bogatym, odejmowałem sobie od ust. Los mi sprzyjał w tem jakby na szyderstwo... dorobiłem się znacznego majątku. Jestem bogaty, bardzo bogaty — ale nie będę szczęśliwym nigdy.

Gdy skończył, milczenie panowało, ojciec i matka to oznajmienie o bogactwie przyjęli zimno. a przyznanie się do niewygasłego szalu młodości—widocznie ich zmartwiło...

— Mój Alfredzie—rzekł w końcu stary—to co mi mówisz, boleśnie, smutno mnie dotyka. Wolałbym cię widzieć wracającego ubogo—a spokojnym w duszy i uleczonym. Wiesz o losach tej kobiety?

— Wiedziałem o nich od pierwszej chwili. Wiem, że ją za mąż wydano, i że nasze stosunki nie wyszły na świat... potrafią ją utaić.

Poszła za hrabiego Turskiego, owdowiała. jest wolną!.. wiem to, i dla tego tu przybyłem.

— Ale, mój drogi — przerwała matka cichym i drżącym głosem—to kobieta — która na taką miłość nie zasługuje...

Przybyły zmilczał — jakby przybity spuszczać wzrok ku ziemi.

— Matka ma słuszność—dodał ojciec powoli—nie mamy co taić przed tobą. Może się jej zdawać że cały świat oszukała, tak jak potrafiła oszukać dobrodusznego męża, ale wszyscy wiedzą, że mu nie dochowała wiary. Jest płochą... choć pozorami chce to okryć surowemi... jest dumną... na serce tam rachować nie podobna! a! Boże daj, aby cię odepchnęła... bo połączenie z nią byłoby nieszczęściem—klęską.

— Ona mnie odepchnąć nie może—dodał jakby nie słysząc co mówił ojciec—przybyły; mam moje prawa... jestem bogaty, jestem może bogatszy od niej. bo wiem, że to co po hrabi pozostało, pozornie tylko zdaje się wielkiem...

Są długi, interesa...

Obie ręce złożywszy, ojciec po nad głową wstrzął niemi.

— Daj mi pokój! daj pokój! nie mów o tem. Jesteś dziś człowiekiem, mężczyzną nie dzieckiem, nie mam już prawa powiedzieć: czyn podług woli mojej—lecz nie chcę wiedzieć o niczem...

Oboje rodzice zamilkli... Alfred posmutniał.

— Bądź co bądź — odezwał się wyczekawszy czas jakiś, jakby się spodziewał pocieszającego słowa—przywożę wam z sobą lepszy byt—wygodniejszą, spokojną przyszłość — wyciągnę z tego nędznego dworku.

Stary Zeller zerwał się z krzesła.

— Bóg zapłać!—zawołał—ale ani matka ani ja, nie wyjdziemy już z pod tego dachu, do któregośmy przyrosli jak grzyby. Mój drogi, nam tu dobrze. nam tu lepiej...

Tu są wszystkie wspomnienia nasze, pociech i boleści przebytych... my byśmy się ztąd do pałaców nie ruszyli. Dziękujemy ci, na starość, ani kąta ani obyczaju zmienić nie czas... Dożyjemy pod kasztanami.

To powiedziawszy uściśnął Alfreda... i zmienił rozmowę.

— Szczęśliwy dzień—odezwał się—dziś spodziewamy się Pawła z Lublina. Przyrzekł nas odwiedzić. Nieborak mało ma czasu. a chce mu się niekiedy odetchnąć świeżem powietrzem... Szczęściem ktoś go tam parę dni zastąpi może... i Pawlisko się przywlecze...

— A! czy też mnie pozna? zapytał przybyły... Jak mu się wiedzie?

— Biednie! trzyma uczniów—daje lekcye matematyki—wszystko to razem chleb robi, a na jutro odłożyć co trudno... Z Kostusią gorzej, bo się musi włóczyć od dworu do dworu, a piękna jest, a żywa . a położenie guwernantki nie do zazdrości...

Westchnęli—Natalia ma dzieci troje... dostatek w domu, męża poczciwego. Czasem nam tu zaszumi przyjechawszy z dziatwą... na chwilę domek odżyje, a potem milczenie i pustka dotkliwsza jeszcze. Cóż robić!

Mrok nie dawał się dobrze przypatrzyć Alfredowi, ale oczy ojca i matki nie schodziły z niego. badali twarz wyschlą, starą i zmęczoną, na której wyczy-

tać było można ile trosk zdobycie majątku ją kosztowało...

Już po urywanej rozmowie, ciemno się robić zaczęło, i sługa też sama, którą gość spotkał w podwórku, wniosła starą, pokrzywioną lampkę zieloną do pokoju, gdy w przedpokoju zasztukały buty podkute i rażno wpadł nowy gość—pan profesor Paweł...

Alfred trochę na bok ustąpił. Brat ten ani mógł poznać brata, którego ledwie zapamiętał; rzuciwszy nań okiem, Paweł pobiegł wesoło witać matkę i ojca—a nieznajomemu skłoniwszy się z daleka—pytał ich oczyma—coby to był za natręt.

Natenczas milcząc. Alfred podszedł ku niemu, uśmiechnięty, i nim tamten opamiętał się co to znać może, pochwycił go za szyję...

— Bracie Pawle...

To chyba—Alfred!—krzyknął profesor.—być że by to mogło?

— Tak jest... zmartwychwstałem, aby przybyć do was... raz jeszcze.

Uściskali się bracia, stary łzę ocierał.

— Jakże ci się poszczęściła muzyka?—zapytał Paweł—jeżeli tak jak mnie matematyka, nie mam ci co winszować?

— Z muzyką zerwałem dawno—rzekł Alfred—widzisz mnie poważnego bankiera z Hamburga, który tylko co odstąpił swą klientellę i firmę innemu, zrealizowawszy nabytki...

Paweł odstąpił i skłonił się z uszanowaniem.

— Do licha—rzekł—lepszą praktyką rachunkową niż teorią... Ja doskonale liczę i rozwiązuję zadania algebraiczne jakiego chcesz stopnia, a do niczego tem nie doszedłem! a ty...

— Nie masz mi czego zazdrościć!—sucho zakończył Alfred...

Spojrzeli na siebie—można się tego było domyśleć i z lica. Paweł wyglądał rumiano, śmiały mu się oczy błyszczące, czoło było nie zachmurzone,

uśmiech biegał po ustach, zdrów był, silny i żył wszystkimi władzami swemi... a miał ochotę do życia.

Przybycie też jego rozweseliło dworek, wniosło doń promień jasny. Rozpogodziła się twarz matki, ojciec rozchmurzył—nawet Alfred poczuł na sobie działanie zaraźliwe młodzieńczego humoru brata... Paweł mówił wiele. swobodnie i po dziecinnemu prawie cieszył się ubogą strzechą rodziców i niemi...

Po długich latach niewidzenia—ileż to jest do opowiadania! ani się spostrzegli jak czas upłynął, a Alfred spojrzawszy na zegarek, do jutra pożegnał rodziców, zabierając z sobą Pawła, choć dla niego ojciec był u siebie łóżko przygotował.

Ale bracia też mieli z sobą wiele do mówienia.

Poszli więc do Kurzejpiętki, gdzie na Alfreda oczekiwał sługa i ciekawy myszures, nie mogący do badać się tajemnicy, gdzie się ów nieznajomy podział podróżny.

Gdy go ujrzano wracającego pod rękę z panem Pawłem, w najlepszej komitywie, z Pawłem, którego całe znało miasteczko i nawet pocztalter dosyć konsyderował, żydek coś się zaczął domyslać...

Coś było Zellerowskiego w nim.

Ale o Alfredzie tak zupełnie zapomniano w miasteczku, że dopiero pan Henryk wpadł na myśl że to on. Wyszedłszy pieszo, mógł po dwudziestu latach wracać powozem tak paradnym, z jeszcze paradniejszym kamerdynerem.

Nie tracąc czasu, dla wyjścia z niepewności, pan Henryk, jako gospodarz domu—choć zwykle tego nie czynił—chyba w nadzwyczajnych okolicznościach—poszedł osobiście powitać podróznego.

We drzwiach usłyszawszy przez Pawła wymówione—kochany bracie—był już w domu... Wszedł jednak ofiarując swe usługi, przypatrzyć się mógł ex-muzykowi, i nie wydając się z tem, iż go poznał—wrócił z wielką nowiną, dumny swą przenikliwością.

Ponieważ u pocztaltera naprzeciwnie jeszcze się świeciło, w dowód szacunku, bez kapelusza nawet,

pobiegł pan Henryk, podzielić się z nim wiadomością tak wysoce ciekawą.

Październik pił poncz i czytał gazety gdy wszedł Kurzapiętka.

Zdziwił się mocno spóźnionej wizycie, wszystko się przecież wytłumaczyło, gdy, cichym głosem, opowiedział pan Henryk jakiego miał w domu gościa i jak paradnie on wyglądał, ten syn Zellerów—niegdyś wypędzony z domu, jako marnotrawne dziecko.

Wszystko zwiastowało że się dorobił majątku—jak? to było jeszcze zagadką... a majątek blaskiem takim okrywa ludzi, że już dlań miano uszanowanie...

— To dopiero Zellerowie pójdą górą! a nosy zadrze ta hołota!—rzekł pocztalter... Piękne tu jeszcze rzeczy widzieć będziemy!! ha! ha!

Pan Henryk dwuznacznie pokiwałszy głową, uklonił się i wyszedł. Tegoż wieczora wiedziała o panu Alfredzie z koczem piękna pani Paździerska, Micio, ksiądz kanonik i Burska. W miasteczku mało kto zasnął spokojnie.

•

V.

Tydzień upływał od pierwszej bytności Zellera u hrabiny. Narady z panem Wilskim do niczego nie doprowadziły, życzył on wprost zamknąć przybłędzie drzwi przed nosem.

Hrabina się go lękała... Przeszłość, którą pamiętała, ostatnie z nim widzenie się—nie dozwalały się ludzi... charakter jego był gwałtownym i namiętnym, wola niezłomna—któż mógł przewidzieć czego

się taki człowiek dopuścić potrafi? Przez cały tydzień na licu hrabiny czytała St. Flour tajony niepokój, i troskę.. Potwierdzało ją to w przekonaniu, że jakaś kryzys nadeszła, lecz jakiej była ona natury, odgadnąć nie umiała.

Przeszłość hrabiny była jej znaną, ale zebrane o niej wiadomości nie sięgały po za ślub hrabiego. Ciekawość biednej niewiasty, zgłodniałej plotek i intrygi, paliła ją niesłychanie.

Ks. Maryan, któremu powierzyła swe domysły nic nie wiedział... jego trwożyło jedno tylko—a nuż ruina? a nuż interesa są tak złe... że lata przebyte stracone zostaną??

Z instynktem niewieścim St. Flour prawie była pewną, że tu nie szło o pieniądze, że coś osobistego nękało piękną hrabinę. Lecz, dzień za dniem upływały, najmniejszy znak nie potwierdził domysłów... wszystko zdawało się już skończonem, sama troska tylko została.

Tydzień minął, i o tej samej godzinie, nad wieczorem, hrabina widocznie zaczęła być coraz niespokojniejszą, a gdy powóz zaturkotał—zbladła—mimo wysiłku, aby trwogi nie okazać po sobie.

St. Flour nie spuszczała jej z oka. Kamerdyner coś przyszedł szepnąć—hrabina poskarżyła się na te — nieszczęśliwe interesa — Julek z Emilką siedli grać na cztery ręce — tym razem kwartet Mendelsohna, a oczy guwernantki pogoniły za odchodzącą...

W tym samym gabinecie zastał hrabinę Alfred... równie prawie poruszoną, choć lepiej na to drugie spotkanie przygotowaną.

Spojrzała śmieiej na wchodzącego.

Skłonił się milczący.

— Choć bez najmniejszej nadziei—rzekł—przybywam tu raz jeszcze.—Pozwól mi pani powtórzyć... że nie żądam ani zrzeczenia się tytułu, ani ofiary żadnej... chcę serca i ręki, choćby potajemnie... Będę jej służył jak pani każesz... umieszczę mnie na swym dworze, jak się jej podoba...

— To prawdziwe szaleństwo — odezwała się hrabina. — Waćpana tu znano i poznają go łatwo.

Wiadomo już w okolicy, żeś przybył do rodziców. Ludzie mogliby sobie przypomnieć żeś był nauczycielem muzyki u moich rodziców.

— A ja tak jestem niegodzien jej... syknął wtrącając Alfred...

— Waćpan tego nie widzisz, że między nami jest przepaść. której nawet jego miliony zapełnić nie potrafią... Waćpana siostra jest za jakimś ekonomem, czy rządcą u kuzynów mojego nieboszczyka męża... druga guwernantką... brat jakimś profesorem w szkółce... Rodzice...

— Rodzice moi są ubodzy — przerwał groźnie prawie Alfred — ale im nic zarzucić nie można.. nikt się ich nie powstydzi.

Hrabina pomiarkowała dopiero, że żywość ją zanadto uniosła, i że, zamiast łagodzić rozdrażnienie, mogła je do najwyższego stopnia podnieść. Zamilkła więc zmieszana, nie wiedząc dobrze, jak naprawić omyłkę...

Zmieniła ton — westchnęła.

I pan to nazywasz miłością — odezwała się przechodząc nagle z gwałtownych wyrzutów, do prawie słodkich wymówek... pan to nazywasz miłością dla mnie!

Jest że to przywiązaniem dla kobiety, chcieć zatruć jej spokój, poniżyć ją w oczach własnych dzieci, odebrać szacunek ludzi.. A to wszystko w imię tego, że niegdyś dziewczę, nieświadome życia, w chwili obałamucenia, dało mu jakiegoś szczęścia nadzieję?

— A! gdybyś pan mnie kochał, w istocie postąpiłbyś inaczej! miałbyś szacunek i poważanie, byłbyś mi posłusznym... W panu żyje namiętność, któraby zgasiła, gdybym była tak szaloną i chciała dla dogodzenia jej, siebie i rodzinę poświęcić, to — to nie ma nazwiska w przyzwoitym języku.

Znowu się uniosłszy, pobieżnem wejrzeniem na

namarszczoną twarz przestraszona, uspokoiła się wkrótce.

Chciała być panią siebie i nie mogła.

— Panie Alfredzie — odezwała się ukazując mu krzesło — siadaj pan, mówmy chłodno i rozsądnie! To, czego pan wymagasz po mnie, jest niepodobieństwem.

Będziesz-że się mścić na kobiecie... nie masz-że litości nademną!

Żadna siła w świecie nie zmusi mnie do skompromitowania się przed światem, sława moja droższa mi jest nad wszystko. Proszę was, proszę o miłosierdzie... a! choćby w imię tej przeszłości, — którą pan przeciwko mnie wyzywasz...

Złożyła ręce. Była w téj chwili tak piękną, że przypomniała jedną z tych pokutujących Magdalen dawnych szkół włoskich. wystrojonych — utrefionych, ubielonych i uróżowanych... które raczej zdają się przebłagiwać kochanka niż Boga...

Alfred patrzył na nią z zachwyceniem — zapomniawszy o wszystkim, o tem z czem przyszedł, i o tem co ona mu mówiła... Napawał się tą twarzą, niewidzianą lat tyle, odżywioną w pamięci ostatniem widzeniem, — twarzą, która ludziła jakiemiś niebiańskimi przymioty i szatańskimi razem ludziła pokusami...

Hrabina nczuła uwielbienie jakie wzbudziła... zdało się jej że jest na drodze zwycięstwa. Alfred zapomniał się, osłupiał, milczał. Trzeba tylko było dobić już związanego nieprzyjaciela!..

— Pani jesteś jak anioł piękną, — odezwał się z westchnieniem...

Człowiek któryby popełnił występki dla niej, mógłby być uniewinnionym, gdyby w tej chwili ujrzała ją sędziowie...

Zmieszła się hrabina...

— Zlituj się pan nademną — zawołała spuszcza-
jąc ręce — na wpół przełęka — wpół dumaa — swoim tryumfem — daj mi pan dowód, że jego miłość była

tem czystem i świętem uczniem, które mi poprzysięgałeś, a nie brudną namiętnością...

Milczał Zeller, trudno było wyrozumieć z twarzy jego, jaki skutek miało za sobą pociągnąć uwielbienie.

— Błagam go! -szepnęła hrabina.

— Posłuchaj mnie pani—przerwał jakby zamyślony... Sądziś może, że mój majątek nie odpowie jej stanowisku w świecie, i nie wart będzie ofiary—niestety—nie nie mam oprócz majątku... muszę go położyć na szalę... oto pani masz świadectwo banku angielskiego, iż w nim złożyłem ośmdziesiąt tysięcy funtów. Oprócz tego znajdzie się coś jeszcze.

Wydobył papier i położył go przed hrabiną, która odpychając, rzuciła przecie nań okiem ciekawem.

— Nie tykając się summy, baronostwo kupić mogę. Jest familia Zellerów stara, która może przyjąć i uzna swym członkiem. Świat jest w takich razach wyrozumiałym... chciej tylko pani...

— Tak—ale ja nie mogę chcieć!—zawołała hrabina. Wierz mi pan, ta jego miłość tak stała, pochlebia mi, przejmuje wdzięcznością—ale ja mam imię, pozycję, dzieci...

— I—kochanka—rzekł powoli chowając papiery i zapinając skniew Zeller...

Hrabina zbladła, brwi się zmarszczyły, cofnęła się z gniewem...

— Pan śmiesz ..

— Tak jest, śmiem to powtórzyć, co tu wszyscy wiedzą, i czego ani kłamana dla dzieci czułość, ani gruba po mężu żaloba, ani świętobliwość jej i surowość dla drugich — pokryć nie mogły... Kochałaś go pani za życia męża, miałaś uczynić opiekunem dzieci, wszystko to są rzeczy powszechnie wiadome.

— Powszechnie wiadome!! zawołała z jękiem hrabina.

— I tym — pozwólmy potwarzom, uchodzącym za prawdę—mówił dalej Zeller—zadałabyś pani kłam

—oczyściła się wychodząc za mnie. Dla dzieci byłoby to dobrodziejstwem. O stosunkach naszych nikt nie wie. dwadzieścia lat wspomnienie ich zatarło... Ja tak dalece jestem dziecinny, szalony, nikczemny, że wiedząc o Wilskim,—kładę jej pod nogi imię, majątek — życie — wszystko...

— Powszechnie wiadome!!—powtarzała łkając i oczy zasłaniając hrabina, którą najmocniej nbodło to, że została odkrytą...

— To kłamstwo—to fałsz. to potwarz, to najnikczemniejsze oszustwo — mówiła wybuchając. Ludzie podli wymyślili to—nie mogąc znaleźć plamy na życie mojem, przez zazdrość ochydną.

Alfred ruszył ramionami tylko.

— Skończmy tę rozmowę, na miłość Bożą, skończmy ją—odejdz pan—zawołała—napiłeś mnie żółcią, struleś mój spokój—wstręt obudzasz we mnie. Nie rozumiem go—brzydzę się...

Jak przybity pod temi wyrzutami stał Zeller, nie mówiąc słowa; wszystko co mógł powiedzieć w obronie swej namiętności, wyczerpane zostało—nie pozostawało mu nic. Inaczej. jadąc tu, wyobrażał sobie tę walkę, którą przeczuwał, i kobietę, którą znał inną... zwyciężyła go wstrętem i pogardą...

Zbierając myśli stał jeszcze, skupiony w sobie i roztargniony zarazem. bo mu obecne położenie stało się obcem,—chciał już odejść—gdy milczenie to i rezygnacya przeraziły hrabinę... nie chciała go tak wypuścić skaleczonego, z pragnieniem zemsty. której się lękała. Pozostawały jako środek ostateczny, rozbrajający, łzy—przyłożyła chustkę do oczów i zaczęła szlochać, zanosząc się od płaczu. Jęk ten doszedł do uszów Zellera i rozbudził go. Był w takim usposobieniu ducha... znękanem, że wszelki żal i gniew stłumione w nim zostały.

Spojrzał na hrabinę, która w malowniczej pozie, na pół leżała, w fotelu, białą ręką przy twarzy trzymając chustkę, uczuł litość...

Staął wryty...

— Przebacz pani—odezwał się po cichu—jestem winien, jestem podły i wstydzę się mojego kroku. Namietność całem mojem tłumaczeniem... Chciej pani zapomnieć com mówił... nie wiedziałem, nie rachowałem nic... Bądź spokojną, nie zakłócę jej szczęścia — jakież dziś do tego miałbym prawo?... Postępowanie moje było najniedorzeczniejsze... winienem... Daję słowo, że ten szal się nie odnowi... ale błagam o przebaczenie! To był szal — zawstydyłaś mnie... daruj... odchodzę i nie powrócę więcej...

Zwolna chustka, którą hrabina trzymała na oczach, podniosła się, spojrzała, jakby wątpiąc czy mówił szczerze, głos drżący i przejęty najlepiej tego dowodził.

— Przebaczę, zapomnę, rzekła — ale ulituj się pan nademną... zakończmy tę smutną scenę... którą mnie Pan Bóg karze za chwilę płochości. Rozstańmy się bez nienawiści... bez żalu... Wyciągnęła doń rękę białą...

Na widok jej Zeller jakby strwożony cofnął się, lecz natychmiast pochwycił ją namietnie, przycisnął do ust i zakrywszy sobie oczy, uciekł nieprzytomny bez pożegnania.

Hrabina siedziała jeszcze w fotelu, zdziwiona tak łatwo otrzymanem zwycięstwem. Oddychała swobodniej... była wolną — pozbyła się nieprzyjaciela. Uchodząc jednak zwyciężony, pozostawił w ranie pocisk, który miał w niej tkwić długo. Hrabina uspokojona, przypomniawszy sobie to wyrażenie:—Powszechnie wiadome! które ją przerażało. Więc najzręczniejsze postępowanie, kłamstwo całego życia, unikanie pozorów, osłonięcie się surowością i bogobojuścią, nic nie pomogło—nic!

Świat wiedział, sądził i potępiał... Zeller nie mógł tego wymyśleć. słyszał w okolicy, której ona była pośmiewiskiem, zgorszeniem... Na to potrzeba było szukać ratunku... Usunąć się—nie byłoby podobieństwem — odepchnąć człowieka, który sam bronił ją i osłaniał od ruiny.. na którym może większe na

przyszłość pokładała nadzieje?... byżoż można. Powiedzieć mu o tem? mogło spowodować poróżnienie, bo Wilski dbał był także o decorum.

Hrabina rozmyślała zmieszana w pierwszej chwili nie widząc środka. Wzgardzić... Tak! musiała udawać pogardę...

Oddalenie się gościa powoływało ją do salonu. Przypomniawszy to sobie poszła do zwierciadła, aby zbadać twarz i ułożyć ją do spokoju. W duszy jednak pozostała wlana w nią trucizna.

Zeller siadł roztargniony do powozu, oczekującego nań przed gankiem, konie ruszyły. Całą niemal drogę, odbył razem z bratem, któremu się zwierzył ze wszystkiego, i który mu aż do blizkiego lasu towarzyszył, mając w nim na powrót oczekiwać. Bolesć kazała o nim zapomnieć. Zdziwił się i nastraszył niemal, gdy Paweł, kazawszy koniom stanąć, do drzwi czek się zbliżył. Zobaczywszy go, Alfred wysiadł, koniom kazano iść powoli, dwaj bracia zostali sami. Paweł patrzył mu w oczy i pytać go nie potrzebował, widział w nich, że wracał bez nadziei, upokorzony i nieszczęśliwy.

Ścisnęli ręce w milczeniu..

Wszystko więc skończone — odezwał się smutnie Alfred — wracam upokorzony, zawstydzony, bez nadziei...

— Użyłem wszelkich środków, które mnie samego oburzają — nie pomogło nic.. Nie mam w życiu celu, do życia smaku.. trupem wyszedłem za próg tego domu...

Matematyk słuchał z politowaniem.

— Pan Bóg mnie chronił od egzaltowanego uczucia—rzekł wysłuchawszy, — nie rozumiem ciebie, więc i sądzić mi się nie godzi..

— Widzę że jesteś szczerym... że cierpisz. żal mi cię... Ratunku nie widzę, to choroba, a że trwa dwadzieścia lat. przeszła w chroniczną.

— W szal—dodał Alfred,—jestem jak człowiek obłąkany, który sobie zdaje sprawę z tego że zwaryo-

wał, a nie ma mocy wrócić do rozumu... Szczęściem—ta co mnie odepchnęła ocaliła razem od tego cobym mógł, poddając się szaleństwu, popełnić... muszę pracować nad tem, aby je zwyciężyć.

— Nie powiem ci nic — odrzekł professor — chciałbym jednak abys pamiętał o jednym, że nawet szacunku dla niej mieć nie możesz. To cię może uleczy... kobieta jest niegodna przywiązania... Wdzięków tej aspazyi nie przeczę, ale—na Boga—wolę w takim razie posąg piękny, bo nie potrzebuję dla marmuru mieć szacunku...

Kochany Alfredzie—ochłoń—zapomnij, odbolej... i jedźmy do domu.

Rodzicom ani słowa o tem wszystkim — rzekł stary—nie potrzebują wiedzieć by się gryźli...

— Wrócisz do pracy i zapomnisz...

— Ja? do pracy? nie mam celu żadnego... nie wrócę nigdzie... pozostanę przynajmniej tu, w okolicy... To będzie dla mnie jakąś pociechę.

Professor zamilkł.

— Gdzież? jak? nie w miasteczku przynajmniej.

— Zdaje mi się, że my się nie rozdzielimy — odezwał się Alfred — tobie to professorstwo dokuczyć musiało... możesz je porzucić, mieszkać będziemy razem...

Paweł się uśmiechnął.

— Dziękuję ci—to nie może być. Wszedłem raz na drogę, do której nawykłem już — obrałem stan, i żyłem się z nim — będę przy tobie o ile możliwości, ale, wierz mi, nie każ na nowo rozpoczynać życia.

Za stary na to jestem. Zresztą, do młodości też się przyrasta sercem, jakbym ja żył bez moich studentów??

— Oni by się obeszli bezemnie — a ja! byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi — mnie ciągle otacza ten młody świat, rosnący, rozkwitający, w którym—bądź co bądź—najszlachetniejsze się spotyka prądy i uczucia...

— Jakże nie nawyknąć do tej atmosfery, i jak się z niej wyrwać bez żalu?

Profesor ścisnął rękę brata.

— Kochany Alfredzie — kończył — nie ty mnie powinienesz wyrwać z mojego koła, ale ja ciebie mógłbym wprowadzić w inne jakieś!

Tys dotąd żył w świecie sztucznie, przez siebie stworzonym, z passyą zachowaną od młodości, z oczyma i sercem w nią wlepionemi, nie widząc nic i wszystko poświęcając dla niej.

Tobie potrzeba nowego celu, nowych zajęć, czegoś co by cię wytrzeźwiło...

— Może masz słusność — rzekł starszy — ale zostawmy coś losowi — nie obmyślajmy lekarstw. Instynkt może je wskazać, tak jak chore zwierzę prowadzi do ziela, co je ma uzdrowić.

I westchnąwszy, zamyślił się głęboko.

— Paweł szedł z nim to patrząc mu w oczy, to słówkiem jakimś usiłując go wyciągnąć z tej zadumy.

— Najlepiej będzie, mając tu zostać — odezwał się Alfred... osiąść gdzieś na wsi... okupić się... niedaleko od miasteczka...

Cóż mam robić z pieniędzmi? Nie nawykłem do ich używania... Majątek, gospodarstwo, wieś, rzeczy których nie znam prawie. dadzą mi zajęcie, dystrakcyę..! przytułek. Będę się uczył...

— Rób co chcesz, dobrze że zostaniesz się z nami — odezwał się Paweł, chociaż i to ma swe niedogodności. Będziesz w sąsiedztwie tej kobiety, która ma tak dziwny urok dla ciebie... Oddalenie...

— Nie mów o tem — zamknął Alfred — zostań tu.

— Któż wie? może mnie właśnie wpatwienie się zbliska rozczaruje i oswobodzi...

— Zapewne, i to być może... ja się tylko cieszę, że rodzice i my cię tu mieć będziemy...

— Żart na bok — podrośniemy wszyscy w konsy-

deracyi, gdy zobaczą, że mamy w rodzie człowieka, co się czegoś dorobić potrafił.

Dotąd biedni Zellerowie, dla swojego ubóstwa, musieli w kątku siedzieć. Kostusia, która męczy się nad cudzemi dziećmi, mogłaby ci wyśmienicie służyć za gospodynię domu. Biedne stworzenie, które chwili swobodnej w życiu nie miało, od dzieciństwa ucząc się, aby potem uczyć drugich, zawsze pod czyjąś władzą, na czyichś rozkazach... odetchnęłaby przy tobie.

— Kostusie przywołamy — rzekł Alfred — byle sama tego chciała... ale najprzód obmyślimy ką, znajdziemy się gdzie umieścić...

Konie szły zwolna przed nimi, bracia rozmawiali długo — zmierzchło, ściemniało, a kawał drogi jeszcze ich dzielił od Przygłowów; musieli więc się wreszcie do powozu i przyspieszyć powrót do miasteczka...

Paweł był jakby opatrnościowo zesłanym dla brata, nie dawał mu myślami się dręczyć, mówił wiele. wracał ciągle do swej wesołości szczęśliwej, do której go natura usposobiła.

Tragiczny nastrój biednego Alfreda, rozbijał się o tę ironię, a raczej humor profesora, który ze wszystkiego żartował. choć w duszy był człowiekiem wielkiego serca i sumienia. Uśmiech ten dobroduszny pokrywał w nim uczucie głębokie i myśl poważną.

Im rozpaczliwiej dźwięczały narzekania Alfreda, tem Paweł puszczał swobodniej cugle swej wesołości, obchodząc się z nim jakby z rozplakanyim studentem drugiej klasy, a jednak — to skutkowało!



VI.

Hrabina nie wiele osób przyjmowała u siebie, w wyborze towarzystwa była niesłychanie surową. Jeśli na kim z sąsiadów ciążyło choćby podejrzenie jakiego niezbyt prawidłowego życia, nawet w dalekiej i już odpokutowanej przeszłości, jeśli osoby rodzinę składające — wychowaniem, zasadami, przekonaniami nie zupełnie się godziły z wyznawanemi głośno przez panią Maryę, jeżeli wreszcie nie znajdowała przyjemności, i nie mogła wyciągnąć chluby z jakichś stosunków, pozbywała się ich bardzo grzecznie, ale tak stanowczo, że się nikt apelować od wyroku nie ważył.

Chociaż dekreta te nie zawsze były sprawiedliwe, nie zawsze niesprawiedliwione, przecież nawykli ludzie w końcu je szanować, i każdy sobie miał za zaszczyt, za szczęście, być przyjmowanym w domu, od którego tyłu odepchniętych było

Sąsiedztwo nie zbyt liczne zresztą, nie naprzykrzało się hrabinie.

Z jednym tylko jegomością miała trochę kłopotu. Był to kuzynek Wilskiego, zaprezentowany przez niego, a zatem już na pewne zasługujący względy. Wilski miał dlań słabość niewytłomaczoną, nie rozumiałą, zagadkową, bo pan Oleś Berdan, oprócz wychowania starannego, niczem się nie odznaczał, chyba niesłychaną płochością, lekkomyślnością, rozrzutnością i bałamuctwem. Był pędziwiatr. Lubił się bawić, grał, pił, miał wszystkie wady młodości, która nie chciała ustąpić, choć Oleś zbliżał się do lat trzydziestu, i majątek prawie całkiem utracił. Wesół był, miły, nie dbał o jutro, zabawiał i zajmował, miał dowci-

pu wiele, dosyć czytania i wiadomości, ale statku. ani za grosz!

Sam się śmiał z siebie, przyznawał do błędów i nie poprawiał.

Jedną dobrą stroną tego charakteru i temperamentu było, że nałogów nie miał. Pił okrutnie, ale potem miesiącami nic w gębę nie wziął; grał szalenie, ale gdy mu się trafiło wpaść między graczy... Przychodziła mu fantazyja czasem do jakichś studyów, zamykał się na kilka miesięcy w domu z książkami i ślezczał, a jak Lafontaine, naówczas nie umiał już o niczem myśleć, mówić o niczem, tylko o Boruchu — fantastyk był jednym słowem.

Niewiem jakiemu wpływowi niezbadanemu winniśmy, że się u nas temperamenta podobne wyradzają bardzo często. Olesiów takich mamy wielu. Berdan należał do lepszych egzemplarzy swojego rodzaju, serce miał pocziwe, popędy szlachetne, i zdolności niepospolite. Idąc systematycznie jakąkolwiek drogą, doparłby niechybnie do rezultatów szczęśliwych, waleśając się tak po różnych polach, stracił młodość, nadwreżył majątek, i przeżył się — nudziło go życie...

Hrabina posądzała Wilskiego, że mógł mieć na myśli wydać hrabiankę Julię za niego, ale uważała projekt ten (gdyby on w istocie istniał, czego nie była pewną) za zupełnie niedorzeczny. Hrabianka Julia mogła mieć posag problematyczny, matka zwolna inaczej jej przyszłość przygotowywała.

Oleś majątek miał zrujnowany, i żadnej ekspektatywy spadku.

Ubóstwo nawykłszy uważać za największą klęskę... za zaporę do wszystkiego, hrabina ani mogła pomyśleć o takim małżeństwie.

Oleś bywał w jej domu... pozbyć go się nie wypadało, a nadewszystko dla Emila — matka uważała go za niebezpiecznego towarzysza.

Ile razy Berdan zasiadał w salonie, Emila z księdzem pod jakimś pozorem wyprawiano.

Hrabinę gość zabawił jak wszystkich. St. Flour

przepadała za nim... wnosił z sobą humor, swobodę, a był dobrego tonu, i miał stosunki arystokratyczne, przerywał nudy rezydencyi, w sposób bardzo przyjemny. Witano go więc z radością widoczną, choć hrabina później zawsze to sobie wyrzucała. Bała się o Emila!

O Julkę nie miała obawy najmniejszej, najprzód dla tego, że to było jeszcze dziecko... (według matki) powtóre, że popsuty Oleś na to stworzenie biedne i zahukane ani patrzył i Julka nań też oczów podnieść nie śmiała.

Ile razy Wilskiemu wypowiadała się ze swych wątpliwości i trosk co do wpływu jaki Berdan mógł wywrzeć na Emila, opiekun w śmiech to obracał.

— Wierz mi—mówił,—Oleś jest w gruncie najlepszy chłopak w świecie, a między nim a surowo wychowanym Emilem, tak ogromna różnica wieku, usposobień, że on na niego najmniejszego wpływu wywrzeć nie może.

Hrabina nie odpowiadała zwykle, ale ją to nie przekonywało. Oleś zaś straciwszy dużo, znudzony, nie mogąc tak często, jakby chciał, szukać rozrywki w Warszawie, mieszkając o milkę małą, nie mając innego przyzwoitego towarzystwa, jakoś, jakby na złość, często ukazywał się u hrabiny.

W parę tygodni po opisanych wypadkach, jednego poobiedzia, ujrano go przybywającego konno.

W ganku od dziedzińca nikogo nie było, oprócz p. St. Flour, która go powitała nadzwyczaj uprzejmie i wesoło. Byli z sobą bardzo dobrze.

— Wszakże hrabinę zastałem — odezwał się wchodząc na ganek Oleś:

— A gdzieżbyśmy się my podziąć mogli!—zawołała francuzka—my jesteśmy skazani przecie na zakopanie tu... i na wieczne więzienie.

Pan Berdan, który ruszeniem ramion, rezygnacyę doradzającem, odpowiedział na tę uwagę francuzce, był całę pięknym mężczyzną, wzrostu słusznego, krzepkim. choć życie na twarzy, w oczach, nawet w ruchach jakichś leniwych razem a pieszczonych, od-

bijało się widocznie. Miał minę znudzoną i przywiedłą, ale gdy się ożywił czemś, a zapalać się umiał łatwo, naówczas oczy nabierały nadzwyczajnego blasku, wracała młodość stracona, rumieniec, siła i wdzięk.

Twarz arystokratycznie piękna, z trochę dumy i lekceważenia, z trochę fantazyi i buty, miała ten nrok, jaki daje dobroć serca. Bywał szorstkim, a wszyscy do niego lgnęli, czuć w nim było człowieka co kochać nmiął. Słndzy przepadali za nim. w jego wsi kochano go aż do namiętności niemal, ale Oleś też raz rzucił się w staw. żeby biedne dziecko włościańskie ratować, a gdy się karczma paliła, dziewczeczkę żydowską wyniósł z płomieni z kołyską.

Ostatni pieniądz oddał nbogiemu, a nazajutrz pożyczwszy zgrał się do koszuli. Często gwałtowny, mimo dobroci. w życiu miał kilka pojedynków, odniósł kilka ran... awantur kilka ciążyło na nim, o których w salonie niepodobna było mówić inaczej jak na ucho.

Hrabina choć się nim bawiła, ale zgrozą była przejęta i litością, gdy o nim za oczy mówiono.

— Zgubiony człowiek... szeptała — aucun esprit de conduite...

Oleś zatrzymał się trochę w ganku z St. Flour, która się rada była wypaplać z nim wesoło, bo w salonie nie śmiała. Wejrzenie hrabiuy surowe, zamykało jej usta.

— Nie byłeś pan tak dawno?—mówiła St. Flour.

— Prawdziwie, nie wiem jak dawno... przez ten czas napadła mnie fantazyja botanizowania... zakopa-ny byłem w królestwie roślin.

— O! oh! — cicho szepnęła na nosie grożąc Ole-siowi, rączką swą nieładną, ale strojną i wykamery-zowaną, byle te kwiatki nie były — des fleurs a n i m é e s...

— Pani nie uwierzysz jak ja jestem stary! — westchnął Oleś—nic już mnie nie zajmuje.

— Rozumiem, chyba coś nadzwyczaj młodego! — c'est connu!

— Nawet i to nie.

Ruszywszy ramionami, Oleś drogę wskazał przed sobą francuzce, któraby rada była dłużej jeszcze rozmawiać—i weszli do salonu.

Hrabina miała książkę w ręku, oblicze smutne bardzo i snrowe... powitała wchodzącego tym uśmiechem niby grzecznym, który nic nie mówi i wskazała mu krzesło. Panna Julia siedziała z robótką za nią, matka więc nie mogła widzieć, że nagle podniosła oczy, spotkała wejrzenie Olesia, zarumieniła się i zmieszła okropnie i zanurzyła w kanwie.., dopiero nierychło oddając mu ukłon ceremonialny.

Francuzka coś pochwyciła przy tej zamianie wejrzeń, ale nie ze strony uczennicy swej, bo tej nie posądzała o taką dojrzałość, by już w oczy swe coś włożyć i wzrokiem coś posłać mogła. Zdumiała się temu raczej, że Oleś strzelił parę razy na tę bladą, biedną dziewczyninę, która — przecież — zając go na żaden sposób nie mogła...

Matka też zafrasowała się w myśli o Emila, żeby zbyt prędko nie nadszedł, ale o córkę bynajmniej. Niepostrzeżone więc przeszło zmieszanie się panny Julii, drżenie jej rąk białych i wychudłych, ruchy żywsze niż zwykle, rumieniec zupełnie nie bywały. W robocie kanwowej zaszła, skutkiem tej chwileczki pomieszania, jakaś katastrofa... Coś spadło, nici się poplątały... igły powywlekały... ale tego nikt nie widział, bo panna Julia udała znów flegmatyczną i nad zwyczaj na wszystko co ją otaczało—obojętną...

Oleś usiadł poufale przy hrabinie i choć dostrzegł zaraz jej zły humor, udał, że go nie widzi.

— Co hrabina porabiała? jakże zdrowie? co słychać? wiek jak nie byłem...

— Nas i pytać się nie trzeba—odezwwała się gospodyni, prowadzimy życie prawie klasztorne...

Wychowanie Emila, zajęcia Julii, moje usposobienie własne, wdowie obowiązki, czynią mi z tego konieczność, a potem... kiedy mi to starczy zupełnie i jestem... z tem... szczęśliwą! O mój Boże! z dziećmi

kochanemi... z myślą własną... z Bogiem i modlitwą... możnaż żądać więcej...

Bóg i modlitwa były zwrotką bardzo częstą.

Oleś już zgóry wiedział, że o nich posłyszysz i z uszanowaniem skłonił głowę.

— Zazdrościć pani należy!—rzekł.

Hrabina Marya miała w tej chwili twarz tak ubłogosławioną, przejętą, jakby w istocie czuła to co mówiła. St. Flour siedząca z tyłu i w cieniu, brwi czarne podniosła do góry, ale tego też nikt nie widział.

— Ja śmiertelnie się nudziłem temi czasy—mówił Oleś,—musiałem ucieczki szukać w kwiatkach i jakiś czas po szyję byłem w botanice. Naostatek rzuciłem ją w kącie.

— Proszę sobie wystawić do jakiej byłem przywiedziony ostateczności, gdy jednego dnia pojechałem — flaner w Parzygłowach... Było to lekarstwo heroiczne. notabene w dzień skwarny, gdy nawet w takim miasteczku patryarchalnym jak nasze, oprócz psów z wywieszonymi językami i żydziaków bosych... a prawda! dwóch kóz—nikogo nie było... pustynia! Musiałem się przypomnieć dawnej nieco znajomości poszthaltera i pani poczthalterowej... osobie tak ładnej, że gdyby się umywała...

Hrabina ruszeniem ramion i wyduciem ust okazała, że ton rozmowy jej się nie podobał.

W istocie Julka siedziała nieopodal.

Gość obejrzał się rozśmiał i trochę zmieniwszy ton, mówił dalej:

— Przesiedziałem na poczcie godzin kilka. Wie pani, że pozazdrościłem temu Październemu jego egzystencji. Ten człowiek może się gniewać, martwić, niecierpliwieć, ale—nudzić! nigdy.

Co chwila nowe fizyognomie, ludzie z różnych końców świata. Nic tak ożywionego jak stacya pocztowa. Wszystkie nowiny ze stolic, stoliczek, miasteczek... zbiegają się tu... Il a la primeur wszystkich plotek...

— Ale jakże się tam bawić można? spytała hrabina.

— Widzi pani — zapewne! mówił Oleś z powagą—to zależy! Tak samo zapytujemy siebie, jak pewne stworzenia trawą żyć mogą? Jabyłm nią nie wyżył, jednakże krowy, nawet tyrolskie...

Hrabina z wymówką jakąś zwróciła oczy na Olesia, który ziewnął.

— Ale cóż pan dziś pleciesz!—szepnęła.

— Prawda — bez sensu! Trawa! myśli botaniczne! To są resztki moich nndów... Pardon. Tem winniejszy jestem, że mógłbym łatwo znaleźć daleko ciekawszy przedmiot do rozmowy, bo w Parzygłowach... formalną rewolucję wywołała historia, jakiegoś domorosłego... A! — przerwał — jakże się to ten angielski chłopak nazywa... co się dorobił fortuny i Lordem Mayorem został... John? Wittington? Ale mniejsza o to! Coś podobnego zaszło w Parzygłowach.

Hrabina niespokojnie spojrzała.

— Słowo pani daję—ciągnął dalej Oleś.

Przed laty dwndziestn wypędzili ztamąd rodzice, za jakąś zbrodnię... musiał kraść jabłka w ogrodzie, niejakiego Zellera czy Cylera... czy Zejlera... Nazwisk nigdy nie pamiętam, zwłaszcza tych plebejuszowskich. Nieszczęśliwy chłopak, boso... poszedł prosto... w świat... nie wiem gdzie, dwadzieścia lat nikt o nim nie słyshał; rodzice żyli ubogo... pogrzebali go w sercach swoich. Nagle zjawia się Nababem... milionerem...

— Ale to jakaś bajka chyba, dziwnie zmienionym głosem, którego prawie jej brakło—szepnęła hrabina, oczów nawet nie podnosząc.

— Najprawdziwsza prawda... i to tak dalece, że ów Wittington z Parzygłowów, już targuje klucz Owsiański, Bóbrkę i Szóstaki... Klucz, którego w całej okolicy kupić nikt nie był w stanie... Trzeba milion gotówką na stole położyć, a to, na dzisiejsze czasy, summa bajeczna, drugie tyle towarzystwa i zapisów... Majątek książęcy!!

Oboje państwo pocztalterswo jak zaczęli mnie karmić tym Zellerem, od progu, tak nieustannie aż do odjazdu mnie nim żywili... Historyi jego już dobrze nie pamiętam, pomieszała mi się z Wittingtonem... ale coś sobie przypominam, że był muzykiem... że służył u bankiera... że jest jakiś dziwak, fantastyk...

— Klucz Owsiański mieli kupić hr. Potoccy, przerwała hrabina.

— Złękli się wydatków nań, bo majątek opuszczony i kupi go Wittington.. i będziemy mieli ciekawego sąsiada. Co do mnie, słowo daję, choćby dla tego, aby mieć przyjemność oglądać człowieka, który ma miliony... pierwszy pojedę do Owsin i zabiorę z nim znajomość. U nas tych co potracili majątki, widać co krok, ale takich co robią je, ze świecą we dnie trzeba szukać.

— Nadtośmy szlachetni—odezwała się hrabina. Oleś się uśmiechnął.

— Tak, mamy rozum... z dnia na dzień, to życie... a wędzić się aby potem lada gorączka owoc nam z przed ust wyrwała... cóż znowu!!

Hrabina, której zrobiło się gorąco w czasie rozmowy, wzięła wachlarz ze stołu i gwałtownie się zaczęła nim ochładzać... Obejrzała się... St. Flour i Julia były w salonie.

— Przepraszam bardzo — odezwała się — to gorąco mi tak szkodzi — muszę.. natychmiast powrócić...

Wstała i szybkim krokiem wysunęła się z salonu.

Oleś, który pozostał, zwrócił się zwolna ku hrabiance, która zapewne przeczuwając to. głowę i oczy zanurzyła w robocie, i niezmiernie się spiesząc, szła na stronie odwrotnej kanwy, coś hieroglyficznego...

— Panna Julia — odezwał się cicho oglądając obojętnie ku St. Flour—tak zawsze pracnje...

Panienka podniosła główkę szybko, spojrzała bystro, wyraziście, śmieiej może niżby się po niej można było spodziewać, i nie rzekłszy słowa, szła dalej.

— Wie pani, że to nudna rzecz ta kanwa... to chyba na spowiedzi za pokutę się zadaje?

— Do wszystkiego się można przyzwyczaić! — szepnęła gorączkowo się spiesząc ze strachu panna Julia.

— I do kanwy? tego nie wiedziałem, mówił cicho Oleś. Pani bo nadto jesteś posłuszną. a hrabina zbyt wymagającą. Jabym kanwę porzucił w ką. a poszedł biegać. śpiewać, śmiać się.

Julia z obawą spojrzała ku St. Flour, ale ta siedziała daleko i była zajęta jakąś książką, a do rozmowy Julki nie przywiązywała najmniejszego znaczenia.

Wzrok hrabianki skierował się potem na Olesia, i poczęła cicho:

— A kiedy kto biegać nie umie, bo zawsze chodził... na pasku — śpiewać się boi, oprócz w kościele, śmiać się mu zakazano i nie ma czego? Cóż ma robić? szyje na kanwie.

Oleś popatrzał na nią smutnie...

— Nie chce mi się pani buntować, boby mnie ztąd wypędzono... ale...

— Niech się pan nie daje wypędzać — żywo odezwała się hrabianka — mnieby żal było go nie widzieć...

Dokończywszy spuściła oczy... St. Flour wstała i zbliżała się, Oleś siedział zdumiony i jakby przełękły.

Julia wydawała się dziewczątkiem, które dwóch słów sprządz nie potrafi. Zbliżenie się p. St. Flour miało też na celu, aby przyjść w pomoc nieszczęśliwej Julii, o której bojaźliwości guwernantka była najmocniej przekonaną. Chęć starczyła za skutek, bo prawie w tej samej chwili otworzyły się drzwi i ksiądz Maryan wszedł z hr. Emilem.

Nie wiedział on o przybyciu gościa, którego konia odprowadzono od ganku, i to jedno tłumaczyło, raz na zawsze bowiem hrabina go prosiła, aby unikał towarzystwa Olesia.. dla jej syna...

Teraz już cofnąć się nie było podobna. Emil, zwykle bardzo sztywny, zobaczywszy sąsiada, a nie widząc matki, posunął się ku niemu z niesłychaną żywością, uśmiechnął się, ale z prawdziwej radości że go widział.

— Jak się masz, kochany Emilu, rzekł Oleś — myślałem że wyjechałeś do Ameryki, do uniwersytetu w Filadelfii, dla pozyskania stopnia doktora... bo przecie, tyle razy zapraszany, powinienes raz być mnie odwiedzić.

Emil oczyma wskazał księdza i dał do zrozumienia, iż mówić nie może.

Oleś rozśmiał się i zwrócił do ks. Maryana.

— I waćpana dobrodzieja oczekiwałem u mnie — nie łaskawi jesteście... a słowo daję, obu bym potrafił zabawić.

Figlarz pochylił się księdzu do ucha i coś mu szeptać zaczął; zarumienił się guwerner i zlekka go odtrącił, ruszając ramionami, a oczyma wskazując Emila.

— Kochany przyszedł kanoniku — szepnął Oleś, słowo ci daję, że młodzieniec jest daleko wyżej wykształcony w rzeczach życia... i tajemnicach natury... niż sądzisz. Ma ochotę do pracy... a przejażdżki konne wieczorami...

Emil jakby się domyślał że o nim mówiono, i że mu sławę naprawiano, uśmiechał się ciągle i widocznie był rozradowany — ksiądz z przerażeniem wodził do koła oczyma.

— Pan jesteś — nielitościwym szydercą...

— Nie — ale prawdę lubię bez łupinek... a wy wolicie ją w łupinkach, albo nawet same łupinki bez niej. To — jak kto lubi — kartofle jedni jedzą tak — drudzy...

Weszła hrabina blada, zmieszana jakby cierpiąca.

— Pani coś jest? zapytała St. Flour troskliwie.

— Mnie — głowa tylko trochę boli od gorąca, to przejdzie.

Przytomność Emila, który natychmiast korzystając ze zręczności przyłgnał do Olesia, nie poprawiła humoru hrabinie, już popsutego początkiem rozmowy. Pan Aleksander widział to, ale nie zdawał się przywiązywać wagi.

W kątku pod piecem toczyła się rozmowa między nim a Emilem, zapewne wielce nanczająca, bo Oles żywo mu coś rozповідаł, a lice chłopaka promieniało szczęściem... Dobrze tylko, że nie miał czasu spojrzeć na matkę, której wejrzenia byłyby go ostudziły...

Na znak dany przez hrabinę, ks. Maryan wniósł się trzeci do rozmowy tej poufnej i potrafił odciągnąć niebezpiecznego nauczyciela od chciwego ucznia.

Nigdy może bystrość Olesia, tak nie była przykrą dla hrabiny jak dzisiaj, i nigdy takiego zamieszania i nieładu nie wprowadzała do jej salonu...

Karność, porządek, wszystko się zachwiało pod wpływem człowieka, który wszystko lekceważył a nie nie szanował. Hrabina byłaby zapewne skarciła syna, nie oszczędzając gościa, gdyby rozmowa początkowa z Olesiem nie wprawiła jej samej w rozstrój i podrażnienie, z których dotąd do siebie przyjsć nie mogła.

Cnciałaby się była dowiedzieć coś więcej o tych Zellerach... o nabyciu klucza, o wieściach chodzących po miasteczku, ale się obawiała badać przy dzieciach, i w prawdziwej gorączce przebywszy do herbaty, odetchnęła dopiero, gdy Oles zabrał się do pożegnania. Nikt nie widział jak szukając kapelnsza, zbliżył się ku pannie Julii, zasłaniając ją sobą, i wzrokiem pełnym wyrazu, na który mu odpowiedziała równie znacząco—pożegnał hrabiankę.

Emil wyprowadził go do ganku.

Ks. Maryan tłumaczył się tymczasem dla czego wszedł do salonu z uczniem, nie wiedząc wcale o przybyciu gościa.

VII.

Nazajutrz przybywający Wilski potwierdził wczorajszą pana Aleksandra wiadomość, o targu kłucza Owsńskiego, Bóbrki i Szóstaków przez Zellera i o prawdopodobnem ich nabyciu przez niego.

Zwykle gdy opiekun przyjeżdżał, ponieważ mówiono o interesach, St. Flour wyprowadzała zaraz pannę Julię. a ksiądz Maryan z równym taktem wychodził z Emilem, tak że wdowa mogła swobodnie naradzać się z panem Wilskim, i nigdy im nie przerywano.

Było to przyjętym zwyczajem, a hrabina po odjeździe narzekała na te nieszczęśliwe rachunki i papiery, któremi Wilski ją nudził, chociaż—ani jednych ani drugich nie przeglądała nigdy.

I tą razą więc sami zostali.

Hrabina opowiedziała o tem co słyszała od trzpiota Olesia... nie dowierzając.

— Ale tak jest! tak jest! — rzekł Wilski — nie ma wątpliwości że dobra te kupi. Spadkobiercy i wierzyciele muszą je sprzedać, o nabywcę trudno... weźmie je za bezcen...

— Ale jakże pozwolić możecie, ażeby człowiek, niewiedzieć kto — bez imienia — bez przeszłości — wchodził w obywatelstwo! — zawołała Marya.

— Nie możemy temu przeszkodzić! niestety! nie jestto rzecz miła — lecz — cóż począć?

— Jestem kobietą — odparła Marya cała zarumieniona i poruszona — lecz przyznam ci się, że gdybym jednym z was była. znalazłabym środki pozbycia się takiego przybłądy!..

Wilski spojrzał trochę zdziwiony; gniew hrabiny rosnąć się zdawał; tem że go opiekun nie podzielał, rumieniała się coraz mocniej, drżała...

— Przecież—dodała żywo — komuś takiemu co się wciska tu... obywatele mogliby grzecznie i zręcznie dać do zrozumienia że go sobie nie życzą... że go z między siebie wyłączą, że...

— Ja jestem całkiem przeciwnego zdania, spokojnie odparł Wilski. Najprzód środek ten wątpię by skutkował, bo prawdopodobnie jegomość ten w widokach spekulacji nabywa majątność, o zysk mu chodzi... toby go nie ustraszyło. Owszem, należy się z nim poznać, spoufalić, poznać słabości i korzystać z nich dla pozbycia się go daleko skuteczniej. Tacy dorobkiewiczze zwykle nie znają wcale co to są ciężary życia wiejskiego i obowiązki, są próżni, chcą się odznaczać.

Większa ich część traci jeszcze prędzej niż nabyła, dostawszy się w sferę nową. Zostaw nam obserwowanie człowieka i pozbycie go się.

To mówiąc Wilski z pewnością siebie, którego charakteryzowała, i którą się odznaczał, rozśmiał się chytrze.

Marya spojrzała nań nieco uspokojona, wierzyła w niego...

— Bo pozbyć się go należy... potrzeba—dodała z przyciskiem.

— C'est selon—dodał Wilski—albo się go pozbyć, albo go opanować, zawładnąć nim. i uczynić nieszkodliwym... Nie znam człowieka—ale—zobaczmy... zobaczmy...

Tego dnia po wstępie o Zellerze, w istocie przyszedł na stół interesa hrabiny. Wilski, pomimo najczulszych stosunków, dźwigał ich ciężar z trudnością. Wkładał prawie ciągle w majątek, bez żadnej nadziei odzyskania summ. które poświęcał, ratując hrabinę. Marya była wymagającą,—unosila się i rozrzewniała nad ofiarnością „tego szlachetnego, dobrego, anielskiego serca Adzia“ ale nieustannie wymagała no-

wych poświęceń... Wilski, który musiał się taić z tem i przed żoną i przed własnym plenipotentem. zaczynał się namyslać, jakby się mógł jeśli nie uwolnić, to ograniczyć wymagania...

Wyznał więc wzdychając hrabinie, iż jego własne interesa nie były zbyt świetne, i że należałoby jakiś plan obmyśleć na przyszłość.

— Mój drogi—zawołała wzdychając nieszczęśliwa wdowa... ja się ograniczam jak tylko umiem i mogę, ale zejść z tej stopy, na jakiej żyliśmy wprzód, nie podobna. Toby obudziło podejrzenia... Emil, spodziewam się, z jego wychowaniem i imieniem, zrobi świetną partyę... Ty mu będziesz pomocą, w tobie wszystkie moje nadzieje... Co się tyczy Julki...

Tu zamilkła i posmutniała...

— Tak... posag Julki...

— Ona żadnego nie będzie potrzebowała—przerwała matka.—Ściska mi się serce, ale ci nareszcie to odkryć muszę, bo nie mam tajemnic dla ciebie.. walczyłam długo z tem jej usposobieniem, starałam się je moim wpływem, usunąć. Julka — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — ma powołanie do życia zakonnego... Ona nie śmie tylko się z tem objawić, wiedząc jaki to by mnie cios zadało,—ale—wiem—że chce wstąpić do klasztoru.

Wilski aż odskoczył zdziwiony.

— Julka? do klasztoru? ale to być nie może?

— Tak jest, ja ci powiadam—potwierdziła hrabina. Ja dzieci moje znam, bo ich na chwilę nie spuszcza z oka, bo czuwam nad niemi, bo śledzę każdy ruch i słowo... Julka może sobie sama nie zdaje z tego sprawy... może nie wie sama.. ja w niej czytam od dzieciństwa to powołanie. Przypatrz się jej proszę! ona ma układ zakonnicy... nieśmiałość, wszystko... Noce i dnie się modli... pości... moryfikuje .. mnie łzy w oczach stają patrząc na to, moje serce macierzyńskie kraje się na myśl rozstania się z nią. stracenia jej—ale tak jest!—tak jest!

Nie będę mogła, nie potrafię oprzeć się istotnemu powołaniu! byłoby to z mej strony egoizmem, okrucieństwem... Uczyniłabym ją najnieszczęśliwszą.

Hrabina załamała ręce. Wilski słuchał osłupiały, słuchał i uszom nie wierzył własnym. Znał dzieci te oddawna, nigdy nic podobnego w nich się nie objawiało. Julka była zabukana, ale sama hrabina nie wspomniała słowem najmniejszym, aby to powołanie postrzegła.—Wilski nie śmiał przeczyć— a nie mógł potakiwać.

— Jest to wyraźna wola Boża—dodała matka wdychając—jakby opatrność chciała Emilowi jego ojczysty majątek dać cały—zachować mu go niepodzielnym i przyszłość jego zabezpieczyć...

Ożenienie, wyjście z interesów, wszystko nam pójdzie łatwiej.

— Lecz poświęcić Julkę!—rzekł Wilski nieśmiało.

— Jak możesz coś podobnego powiedzieć?—zawołała żywo. wstając z krzesła hrabina—proszę cię! jak możesz pomyśleć nawet, że ja—co żyję dla tych dzieci, co się dla nich rozpadam, miałabym jedno z nich—poświęcać! Uczyniłabym wszystko co mogę. aby Julce to wyperswadować, ale to jest powołanie— z którym ja, jak przeciwko woli Boga—walczyć nie mogę. Zwierzam ci się jednemu z tem, bo ani z nią ani z nikim nie mówiłam słowa... patrzyłam, płakałam. starałam się to odwrócić... Wiesz jakie odebrała wychowanie? nic nie pomogło!

Milczenie, którem to zwierzenie przyjął Wilski, zaniepokoiło znać hrabinę, gdyż na nowo i dosyć rozwlekłe poczęła się tłumaczyć i dowodzić. że jej oko i serce się nie myliło. Z pewną trwogą postrzegła, że jej nie potakiwał—użyła więc słodyczy—pochlebstwa, czułości, dobyła łez nawet, aby opiekuna przekonać, iż sama czuła na tem wielce... lecz uległa konieczności.

Wilski nareszcie przystał na to, że jeżeli Julka

w istocie stanowczo tego zażąda, niepodobna będzie sprzeciwić się jej woli.

Cały ranek upłynął na tej rozmowie, a po obiedzie opiekun odjechał, gdyż pani Wilska od dwóch dni była chorą i nie mógł oddalać się na długo.

— Ale tej drogiej Zosi—przecież nic nie jest?

Zwykle jej nerwowe cierpienia? spytała czule hrabina.

— Tak, ale się to zmniejszało i zreumatyzmem, i z gastrytą, tak, że doktor nakazał największą baczność.

— Jabym pojechała ją pilnować?—wniosła hrabina nieśmiało...

— Odwiedzić — jeśli chcesz... ale się odrywać od domu i dzieci...

— No! to przyjadę jutro...

Rozmowa skończyła się. Wilski odjechał. Hrabina chodziła jak nigdy zamysłona. Ku wieczorowi wezwała do gabinetu St. Flour.

Rzadko się to trafiało i francuzka z początku trochę była niespokojną, nie poczuwała się jednak do żadnego grzechu nowego, a stare dosyć zręcznie były zamaskowane, by się ich odkrycia nieobawiała.

Hrabinę zastała w fotelu, spartą na rękę i melancholicznie zamysloną..

— Moja droga St. Flour—poczęła—siadaj, proszę... Wiem, że jesteś szczerą przyjaciółką naszego domu, wierzę w twoje serce dla nas... Wezwałam cię abyś mi otworzyła... Mów ze mną szczerze, proszę cię. Musiałaś widzieć, poznać po mnie niepokój, który mnie trawi...

St. Flour zaczęła od zaręczeń uroczystych swego poświęcenia i miłości...

— Moja droga... obserwowałaś ty bacznie Julkę?

Francuzka oczy otworzyła, nie mogła się domyśleć do czego to prowadzi...

— Ja, macierzyńską przenikliwością ją badam od dzieciństwa... Uważałaś jej bojaźliwość, upodoba-

nie w samotności, milczenie, skromność i tę nadzwyczajną pobożność?

St. Flour wszystkim tym cnotom zaprzeczyć nie mogła.

— Czy też ci nigdy na myśl nie przyszło, że ona się tai z powołaniem, którego objawić nie śmie, a ku któremu ciągnie ją serce od dzieciństwa?

Guwernantka milczała...

— Ale tak jest, ja mam bystre oko... Od kolebki niemal śni się jej szczęście i pokój zakonny. Oplakałam to, milczałam, starałam się zmienić...

St. Flour chciała uspokoić matkę, zaręczając iż nic podobnego nigdy nie uważała, lecz hrabina mówić jej nie dała.

— A! moja droga!—westchnęła... oczy matki! serce matki! Milcząc płakałam. na ostatek oswoiłam się z tą myślą, zrezygnowałam...

Proszę cię, staraj się—bo ona przedemną nigdy nie będzie śmiała tego objawić—staraj się z niej wydobyć to wyznanie... niech się nie tai... Mówiąc to hrabina wstała aby uściskać St. Flour, na stoliku leżała bransoleta kosztowna, już przygotowana, wcisnęła ją jej w rękę.

Przyjm tę małą pamiątkę przyjacielską—proszę cię. Nie chcę aby się dziewczę przestraszyło—działaj powoli—ostrożnie, lecz skłoń ją aby się z tem nie taiła. Powiedz jej że spodziewasz się, iż ja na to zezwolę... W istocie dla Julki—ja to teraz widzę sama, niema jak klasztor — nie jest bardzo ładna—zdrowie słabe... charakter bojaźliwy, potrzebuje spokoju... Modliłaby się cały dzień...

Teraz St. Flour potwierdzała już w zupełności sposób widzenia matki i przyznawała jej słusność, zaręczając, że użyje wszelkich środków, aby obudzić zaufanie w hrabiance i skłonić ją do wyznania.

Długo jeszcze bolała nad swym losem hrabina, malując ile na tem n cierpi, a zarazem tłómacząc się z konieczności ulegnięcia wyraźnej woli Boga, który od niej wymagał tej ofiary.

St. Flour wyszła z gabinetu chowając bransoletkę, niepospolicie zafrasowana.

Zrozumiała dobrze włożony na nią obowiązek i zadanie, a nie wiedziała dobrze jak się potrafi z nich wywiązać. Julkę znała od lat kilku, najmniejszej w niej nie dostrzegłszy tęsknicy za klasztorem, ani powołania do tego stanu... Zamknięta w sobie, obawiająca się matki, milcząca, skryta, według St. Flour, Julia miała usposobienia do intrygi raczej, do namiętnego pojęcia życia, do marzeń—niż do świątobliwej kontemplacji.

Francuzka udawała że nie widzi i tolerowała chwywanie romansów, które chowała pod poduszkę. *tolerowała* i ~~przerażała~~ rankami i wieczorami.

Lecz, że całe jej wychowanie było sztucznem, że ją od dzieciństwa uczono kłamać i tać się.—Julia nieśmiałością, milczeniem pokrywała temperament tem niebezpieczniejszy, że zwalczony pozornie, a palący wnętrza duszy.

St. Flour domyslała się wiele, nieraz przewidywała przyszłość, uśmiechając się do siebie—ale klasztor! nie powstał w jej myśli tak samo, jak Julii nie śnił się nigdy.

Trzeba więc było — z przebiegłością, do której mało się czuła zdolną. wpłynąć na usposobienie pannenki już rozwiniętej—rozmarzonej potajemnie, i—jak się jej zdawało—życia chciwej...

St. Flour siadła w swoim pokoju prawie smutna. bransoletkę rzuciła do szkatułki, nie wiedziała sama co pocnie... Przez cały wieczór rozmyślała nad tem, jak ma swą misję rozpocząć?

Na pierwszem piętrze w pałacu, były obok siebie dwa pokoje, które hrabianka Julia i p. St. Flour zajmowały. Francuzka, dosyć płocha, ale serce mająca dobre i litościwe, nie mówiąc nigdy otwarcie ze swoją uczennicą, bo otwartość w tym domu była niemożliwą, starała się tak ułożyć z nią, aby jej jak najmniej zawadzała, a nie naraziła się matce. Było jej nie źle u hrabiny — nie wtrącano się zbyt

w szczegóły, zajęcie nie ciążyło, ksiądz Maryan stanowiął dosyć miłe towarzystwo i nie unikał francuzki —choć przy ludziach, zdala się trzymał od niej. Zachować więc to stanowisko, które w dodatku zabawnym karmiło widokiem—bardzo zręcznie odgrywanej komedyi życia—St. Flour bardzo sobie życzyła; ale zachować je kosztem i ofiarą nieszczęśliwej hrabianki, oburzało ją.

W pierwszej chwili, gdy ją hrabina niespodzianie zaskoczyła tą rezolucją, nie umiała się ani sprzeciwić, ani oprzeć; teraz zostawiona sama sobie, poczuła w piersi ludzkie uczucie, łza się jej zakręciła w oku.

— Biedne dziecko.—myślała, wyrok więc wydany! musi więc dla zbogacenia brata wstąpić do klasztoru! A matka, dla ulżenia swojemu sumieniu, wmawia w nią i siebie, że ma powołanie?!

Francuzka nie wiedziała o tem, że w godzinę po rozmowie z nią, wezwanym był do hrabiny ks. Maryan, któremu się zwierzyła również, prawie w tych samych wyrazach, ze swego odkrycia, polecając mu (ponieważ była taka wola Boga), aby skłaniał Julię do otwartego objawienia swych chęci... i postanowienia o losie — któremu matka sprzeciwiać się nie śmiała.

Ksiądz Maryan przyjął zwierzenie równie zdumiony, co najmniej, jak francuzka. Lepszy od niej postrzegacz, widział w Julii wcale inne usposobienie i temperament, który okrywał się chłodem i obojętnością, bo się lękał być odgadniętym.

Pod taką powłoką lodowatą, w tem dziecku na pół uśpionem, roiły się marzenia, pragnienia, grała wyobraźnia... serce biło. Ks. Maryanowi zresztą wszystko było jedno, czy hrabianka pójdzie czy nie do klasztoru, byle on sam stanowisko swe polepszył, i coś na tem zyskał. Zakon, dla niego, nie wydawał się znowu tak wielkiem nieszczęściem.

— Panna nie bogata—mówił sobie—jak ma zostać starą i nudną wśród świata. lepiej niech za krętą spokojną Boga chwali.

St. Flour brała to nierównie gorącej... nie spojrziała nawet na bransoletkę—i powiedziała sobie, że jej nie włoży nigdy... Pilno jej było rozmówić się z Julią, z którą dotąd rzadko wymieniały słowa. Zwykle jedna i druga zamykały się w swoich pokojach, aby sobie jak najmniej przeszkadzać. Pewne lekcye czytania, roboty, szły swym porządkiem, więcej dla formy niż istotnej wiary w ich skuteczność; Julia brała książki ukradkiem, czytała, robiła wyciągi, dumiała, nudziła się, marzyła, samotnie. St. Flour miała czas wyszukać sobie kogoś do paplania i rozerwać. Zwykle spacerowały dozwalały spotkać ks. Maryana... czasem kogoś z gości. Francuzka była żywego temperamentu, potrzebowała ludzi—lecz na parę lat, jak mówiła—il fallait faire de nécessité vertu...

Gdy około jedenastej z salonu się wszyscy rozeszli, guwernantka i hrabianka razem, wedle zwyczaju, weszły na wschody. Z korytarza dwoje drzwi prowadziło do pokoju francuzki i hrabianki. Były one niegdyś z sobą połączone drzwiami i te stały zawsze nie zamknięte, lecz że ich nigdy prawie nie otwierano... zarzucono je pudełkami od kapeluszków i tym podobnemi gratami.

Julia oddawszy ciche dobranoc guwernantce, miała wejść do siebie, gdy St. Flour się do niej zbliżyła....

— Kochana hrabianko — rzekła—muszę ci dziś być natrętną... potrzebuję pomówić—poufnie!

Z początku nie dobrze to zrozumiała panna Julia, i patrzyła na nią zdumiona—a tymczasem St. Flour drzwi otworzyła i weszła. Panienci pokoi — już sam—sposobem w jaki był urządzony, malował do pewnego stopnia charakter i usposobienie tej co w nim zamieszkiwała.

Panował w nim nieład najfantastyczniejszy w świecie. Wprawdzie łóżeczko i ubiory służące przez litość jakoś uporządkowały, lecz Julia nie pozwalała tknąć ani papierów, ani książek, ani rysunków, ani zresztą nic... Na stolikach więc albumy,

kwiatki powiędłe, bukiety zapomniane, nuty porozrywane, książki pozakładane, papier podarty, farby pozasychałe... gromadziły się kupami. Inne tego rodzaju przedmioty ponatykane były na kanapce, po krzesłach.

Na staludze do malowania wisiała chustka... wszystko było poprzewracane po studencku. Julia się zarumieniła, widząc wchodzącą St. Flour, której posadzić nawet nie miała gdzie; pośpieszyła uwolnić fotel w milczeniu, i badając ją oczyma, a usiłując zgadnąć, jaki do niej mogła mieć interes, wskazała jaknajwygodniejsze miejsce.

Francuzce gorączkowej, niecierpliwej serce od rana wzbierało. niepodobieństwem jej było prawie utrzymać dłużej w sobie tajemnicy, i nie wydać się z nią, badać stopniowo i szpiegować. Nie było to w jej naturze. Grzeczna, lekka i ułomna istota... miała serce zbyt miękkie i pojęcia honoru nadto delikatne, żeby długo komedję, choć najprostsza, odegrać potrafiła. Julka się krzątała jeszcze. około nieporządku swego, wstydząc się go trochę, gdy St. Flour — rzuciła się ją ścisnąć... Łzy miała w oczach... Hrabianka. która ją zawsze uśmiechającą się, żywą, szyderską, trzpiotową widywała — zdumiona. prawie się zlekła.

— Słuchaj. moja ty dobra... Julko... — zawołała impetycznie guwernantka — wiem że mnie nie zdradzisz... chcę z tobą być otwartą... odpłać mi podobnie... Siadaj... Tu, naprzeciw mnie, spójrz mi w oczy śmiało i mów prawdę.

To nagłe zaufanie i poufałość francuzki, której nigdy przykładu nie było, wybuch tak nieprzygotowany niczem, przestraszył bardziej jeszcze Julię. która oczy blade podniosła i jak obłąkana poglądała nie mi na St. Flour.

— Jesteśmy już lat kilka razem mówiła francuzka... zdawało mi się że cię znam... patrzę na twoje życie, zajęcia, gusta. Powiedz mi prawdę, czy...

czy w istocie czujesz jakie powołanie do klasztoru i życia zakonnego?

Julia nie zrozumiała zrazu...

— Ja? ja?—spytała.

— Tak, ty, twoi najbliżsi, mówmy otwarcie. hrabina to utrzymuje. Zdaje się jej że to dostrzegła w tobie, że się z tem kryjesz...

Zamyśliła się hrabianka, rumieniec na twarz jej wystąpił, podparła bladą główkę na rękę, i dwa strumienie łez puściły się jej z oczów, wprzódym nim przemówić mogła. Nie była przywykłą do otwartej rozmowy, tylko pod naciskiem uczucia—jak w salonie przy Olesiu—wrywały się jej słowa. Zaskoczona pytaniem, oniemiała...

St. Flour mówiła ciągle...

— Nie przestraszaj się—dodała—bądź śmiałą ze mną... mów, mów, ja potrzebuję wiedzieć... Zwolna, jakby rozważać poczęła Julia... potrzeba jej było pewnego wysiłku, aby po życiu długiem, samotnem, samej z sobą—przyjść do zwierzeń i spowiadania się ze stanu serca.

— Ja tego nie rozumiem—rzekła—ja nigdy podobnej nie miałam myśli...

— Mnie serdecznie cię żal—dodała francuzka, szukając drogi, któraby, nie uwłaczając matce, mogła córce usłużyć—twojej matce się tak zdało! zdaje! Może sądzi, że ci to da szczęście... Chce pewnie dla ciebie wszelkiego dobra, a może się mylić...

Julii twarz się zachmurzyła, potrząsała główką...

— Mama mnie nie lubi—rzekła — Emila woli—ja to wiem. Gdy mnie całuje tak czule, rano i wieczorem, czuję że to czyni dla tych co na to patrzą, nie dla mnie. Mama mnie nie lubi... nikt mnie nie lubi... dodała smutnie... chcąc abym poszła do klasztoru...

Spuściła głowę.

— A ty?—zapytała francuzka.

— Ja?—odparła Julia — ja...? ja nie pójdę... Ostatnie wyrazy wymówiła stanowczo, sucho, energicznie.

cznie, tak że się francuzka zdumiała. I powtórzyła jeszcze raz po chwili:

— Ja nie pójdę...

Francuzka lżej odetchnęła...

— Ale potrafisz-że się ty. posłuszne i ciche dziecko.— Obronić naleganiom, wpływom...

Potrafie...—odpowiedziała Julia.

St. Flour wstała i pocałowała ją w czoło.

— Więc nigdy ani myśli, ani powołania nie miałaś?

Julia ramionami ruszyła tylko i zmilczała...

— Z mojej strony — ja ci zaręczam wszelką pomoc—dodała St. Flour — chociażbym miejsce miała stracić. Otwarcie powiem hrabinie, że nie wybrałam w pannie Julii nic podobnego... Nie wydaj mnie tylko, proszę, z sekretu, żem ci odkryła wszystko—niech przestroga zostanie między nami.

Julia wstała żywiej niż kiedy—rzuciła się francuzce na szyję, popłakała trochę, otarła łzy szybko i stanęła przed nią, jakby z metamorfozowana. St. Flour nigdy ją taką nie widziała. Miała rumieńce na twarzy, oczy błyszczały. poruszała się swobodnie, wyraz siły i energii zastąpił zaniechanie i senna.

— Nigdy w świecie nie zmuszą mnie do tego.. do czego mam wstręt i obawę.. Może są kobiety, które potrzebują spokoju, ciszy i martwego zdania swój woli.. ja! nie. Ja chcę—żyć, ja potrzebuję cierpieć —doznać.. kosztować — płakać.. być nieszczęśliwą bodaj, ale wolną.. Ja niepójdę do klasztoru.. Ja, nie jestem dziecko... ja tu chodzę okuta, dopóki kajdan skruszyć nie znajdę zrzeczności.

St. Flour słuchała, niemal z zachwyceniem, uczucia te i myśli tak odpowiadały jej własnym, iż się nie mogła wstrzymać, by dziewczęcia nie ucałowała... a oczy miała ze wzruszenia łez pełne...

Taki był rozmowy początek... Julia wypowiedawszy się po długim milczeniu, z popędlivością dziecięcia.. odkryła całą duszę przyjaciółce tej nowej, z którą tyle lat przeżyła, nie znając jej. Jakież

było zdumienie guwernantki, gdy wśród tej rozmowy, postrzegła i przekonała się, że ta, którą miała za nie-dojrzałe dziecko, rozumiała świat, stosunki, ludzi, — choć tylko z książek i własnych spostrzeżeń, ale więcej niż zwykle panienki jej wieku — znają ich i rozumieją... Do późnej nocy, a raczej do dnia prawie, przesiadywały tak szepcząc... St. Flour opowiedziała jej historię wszystkich doznanych w świecie zawodów... wszystkich przegorzałych miłości... Pozostały się w najlepszej przyjaźni, i drzwi zawałone pudełkami, otworzyły się szeroko.

W kilka dni potem, sąsiedztwo zdumione, otrzymało listy zapraszające na pogrzeb ś. p. Wilskiéj. Nikt tak dalece o chorobie jej nie słyszał, nieboszczka oddawna była nie zdrową, lecz nic się jej nie zdawało zagrażać. W domu nawet, mąż i dzieci, nie mieli tej choroby za niebezpieczną, lekarz z Parzylłowów, człowiek który miał zaufanie całej arystokracji sąsiedniej, bo był niezmiernie w towarzystwie miły, i leczył każdego jak kto sobie życzył, nie przypuszczał, ażeby się to tak smutnie skończyć miało.

W wigilię zgonu: zażądał — dla wszelkiego bezpieczeństwa — drugiego lekarza, ale nim tego sprowadzono z Lublina, pani Wilska, posławszy po ks. Maryana, który ją wyspowiadał, przyjęła ostatnie Sakramenta, i spokojnie dosyć życie skończyła...

Wieść ta jak piorun padła na hrabinę... Przyśłał z nią Wilski, nie mogąc pisać — prosząc o pomoc i o ks. Maryana, dla zajęcia się pogrzebem. Przez kilka chwil hrabina Marya siedziała w swym gabinecie, zadumana, nie mogąc zebrać rozpiętrzonych myśli...

Starala się z góry przewidzieć następstwa tego wypadku możliwe i ich znaczenie... Nie przypuszczała nigdy tak nagłej śmierci pani Wilskiej. Cóż teraz on miał począć z sobą? Był dosyć młodym, aby pomyśleć o ożenieniu. Ona była wdową... miał względem niej obowiązki.

Gdyby zażądał jej ręki miałaby mu ją oddać czy

odmówić?? Połączenie z nim byłoby wszystkie dawne posądzenia i plotki usprawiedliwiło? Serce mówiło za nim... ale serce hrabiny ustępowało zawsze przed rozumowaniem i chłodnym rozmysłem, którym się na-
wykła we wszystkim kierować.

Ciekawą była spotkać teraz Wilskiego i zapowiedziała sobie, że nie wyzwie żadnym objawem czułości, że go zupełnie zostawi swobodnym. Chciała na losy — na wypadek... dać kierunek tej sprawy, lecz, mimo rezygnacyi pozornej, nie mogła ani ukryć niepokoju, jaki nią owładnął, ani go zwyciężyć... Tę zmianę humoru, śmierć zresztą tak blizkiej przyjaciółki zupełnie usprawiedliwiała...

Zamęt jaki powołał w domu z tej przyczyny, nie dozwolił ani się rozmówić z francuzką, ani księdza wyrozumieć co do Julii.

Matka wysłała ją do spowiedzi do księdza Maryana, i ułożyła to umyślnie, aby miał zrzeczność wybadać przygotowując do niej. Ksiądz wystąpił z długimi przygotowawczymi w istocie uwagami, w których nalegał na to, jak hrabianka Julia była pobożną... i jak mu się zdawała, przeznaczoną do życia ustronnego i zatopienia w kontemplacyi.

Julia zrozumiała już co to znaczy — St. Flour ostrzeżenie czyniło ją ostrożną, zebrała się więc na odważną odpowiedź — iż ksiądz miał zbyt o niej pochlebne wyobrażenie, że wcale się nie czuje godną ani do tego powołania, ani do tego rodzaju życia usposobioną. Ksiądz tłómaczył to skromnością i pokorą.

— Nie, mój ojciec — odpowiedziała Julia — mylicie się przypisując mi myśli podobne... ja mam ochotę do życia... i — wcale sobie klasztoru nie życzę; nietylko żem niegodną jego, ale że zamknięta w czterech murach — nie wytrzymałabym.

Tak stanowcze oświadczenie, którego ks. Maryan wcale się nie spodziewał, nie dozwalało już ciągnąć dalej, ani namawiać, ani przygotowywać... Struna się zerwała i pękła odrazu...

Ks Maryan zasepił się, chciał o tem zaraz dać znać hrabinie, ale właśnie przyszła śmierć Wilskiej, pogrzeb, i już nie miał zřeczności.

Matka, która jakoś nagle przyszła do poznania usposobień córki, trochę gorączkowo, pod wrażeniem własnego pomysłu, postąpiła sobie.

Nie tylko bowiem zwierzyła się z tego St. Flour, księdu, ale w rozmowie w Emilem, pieszcząc kochanego jedynaka. i jemu do ucha szepnęła, że Julka myśli o klasztorze...

Stosunki siostry z bratem były, poza oczyma matki, bardzo poufne. Rodzeństwo się kochało. W salonie sztywui oboje, bo się oboje matki lękali, na osobności nie mieli prawie dla siebie tajemnic. Emil był daleko mniej od natry wyposażony niż siostra, umysł miał tpy, ale namiętności i uczucia niezmiernie rozwinięte... Taił się z tem przed matką, dla Julki nie robił tajemnic, nawet z takich rzeczy, z których, ściśle biorąc, nie powinien się być przed nią spowiadać.

Naiwnym był, aż do—głupoty niemal, a że nie miał się przed kim zwierzać ze swych tajemnic z prób emancypacyi. karmił siostrę niemi, która się nieraz rumienić musiała i burzyć a łajać brata...

On się śmiał, całował ją w ręce—wiedział, że go nie zdradzi i, gdy do salonu wracali. on wyglądał jak lalka, ona jak trusia biedna, nie umiejąca przemówić słowa...

Właśnie wszyscy w domu zajęci byli szyciem i przygotowywaniem żałoby na pogrzeb pani Wilskiej -- gdy Emil, pod wrażeniem tego co matka o siostrze powiedziała. poraz pierwszy się z nią spotkał w ogrodzie przed gankiem. Julka szła z książką w ręku—brat właśnie wracał z przejażdżki.. i pochwycił ją nim doszła do salonu.

— Czekałże — mam ci coś powiedzieć— zawołał.

A to pięknie! co to ja słyszę? Coś ty się taiła przedemną? Ja ci mówię wszystko a wszystko... a ty...

— Cóżem ja utaiła przed tobą?

— Wszak ty, słyszę, chcesz iść do klasztoru?
Julia rozśmiała się gorzko, i ruszyła ramionami.

— Któż ci to mówił? Emil nie chciał wyznać, że wiedział o tem od matki.

— No — co tam—kto mówił, dość że wiem pewno...

Rozśmiał się.

— Czy ty się w kim zakochałaś i z desperacyi? Wymawiając te słowa zakazane, bo o kochaniu dzieciom nie wolno było wiedzieć jeszcze... Emil się obejrzał.

— Co ci się śni Milku? co ci się śni.

— Ale bo ja wiem, słuchaj — rzekł Emil — że z desperacyi idę do klasztoru... Choć ja? ja—to nie!

Ja takiego kochania nie rozumiem...

Tu nachylił się do ucha Julii.

— A! a! żebyś ty wiedziała, jaka u leśniczego śliczna córka! A! jak Boga kocham... jeszcze takiej dziewczyny nie widział. Tylko sroga... razem ją pocałował, narobiła krzyku takiego.

— Co pleciesz? surowo odezwała się siostra—wstydź-że się.

— Czego ja się będę wstydził? albo to ja smarkacz? mnie przecie wąsy rosną? wszyscy się kochają ..

Zbliżył się do ucha siostry znowu.

— Ty myślisz że ja taki głupi. i że ja nie widzę nic? Otóż zobaczysz, opiekun Wilski, jak mu ta jego żona umarła, z mamcią się ożeni. bo ją dawno kocha...

— Emill co pleciesz!—oburzyła się siostra...

— No—to ja ci powiem, że widziałem z klombu, jak mamę w szyję całował.

Julia zaczerwieniła się okrutnie i chciała odejść, ale Emil ją zatrzymał prawie gwałtem.

— Nawet ks. Maryan się mizdrzy do St. Flour...

Wszyscy się kochają, i ja się muszę kochać—ale nie mam w kim jeszcze... Co robić! Leśniczego córka... na początek... Ale to tak... tak robić—bo juści się z nią nie ożenię.

— Milku—dajże ty mi pokój z temi paskudnymi i niedorzecznymi zwierzeniami, lepiej mi powiedz, kto ci o tym klasztorze mówił.

— E— o tem już wszyscy w domu mówią—zaczął naiwny Emil—ale, czy to prawda?

— Nigdy o tem nie pomyślała!—bądź pewien!

— To lepiej—odezwał się Emil—jak Boga kocham... Pójdiesz za męż... będą u ciebie ładne pokojówki... to się do nich będą umizgał...

Począł się śmiać. Julia patrzyła groźnie na niego.

— Mama taka ostra... że u niej wszystko w garderobie poczwary... a najmłodsza z nich czterdzieści lat.

— Milciu! zlituj się nie pleć...

Emilowi z zaawansowanemi pojęciami potrzeba się było pochwalić. Wyznał jeszcze przed siostrą, że raz wyjechawszy na przejażdżkę do Parzygłowów, i u Knrzejpiętki wypił butelkę szampańskiego.

Mówiąc to miał postać tryumfatora. Siostranań poglądała z politowaniem jakimś.

W salonie trzech nie umiał zliczyć, i oczy spuszczał jak dwunastoletnia dziewczka...

— Więc to wierutna bajka—odezwał się głupkowaty Emil, mimowolnie wydając z sekretu—a któż o tem mamie powiedział?

— Czy ci to ona powtórzyła?

Emil się zmieszał i uderzał po ustach...

— Ale, nie, nie—zawołał—nie mama... tylko...

Mając już dosyć tej rozmowy, i lękając zwierzeń nowych, Julia zwróciła się ku domowi.

— Pamiętaj, Milciu—rzekła cicho—gdybyś znowu kiedy był spytany przez mamę, i miał zręczność jej o tem powiedzieć—pamiętaj, zaręcz—że ja nigdy podobnej myśli nie miałam, nie mam i mieć nie będę.

— Bądź spokojna—szepnął Emil—a ty o leśnika córce—sza... ma imię Kasia! ale oczy... niech ją...

Weszli do salonu—Emila owiała jego atmosf-

ra, wyprostował się, zesnurował usta, zasepił, zeszywnił, stał się innym człowiekiem...

Była to godzina studyów fortepianowych, siedli na cztery ręce grać. Na pulpicie, znać hrabina. postawiła—siedm słów Haydna.

Od dni kilku tak same oratoria i muzyka kościelna, się im nastroczała—a wiedzieli że matka, sama muzykalna bardzo, zwykle wybór do grania. zrana przygotowywała.

Wilski, czy tak pogrzebem zajęty, strapiony czy chory—dosyć że się nie pokazał wcale u hrabiny.

Spodziewała się go troszkę. zdziwiło ją może, iż z nią nie przybył bólem się swoim podzielić. napisała do niego słiczny list kondolencyjny... i—czekano pogrzebu...

Ten się miał odbyć w parafialnym kościele, gdzie były Wilskich groby familijne... Czyniono doń ogromne przygotowania, które potrzebniejsze są żyjącym, niż umarłym.

Im mniej z sobą małżeństwo czułem było za życia, tem Wilski potrzebował wystąpić wspanialej z objawem żalu i boleści po tej stracie.

Spraszano rodzinę oddaloną, sprowadzono duchowieństwo aż z Lublina, zakupiono świec ilość nadzwyczajną; dwie mowy, z których jedna przez sławnego z elokwencyi dominikana. miały być wygłoszone w kościele i przy spuszczeniu trumny do grobu.

Program cały, z dziwną umysłu przytomnością ułożony przez strapionego małżonka, wypełniony został jak najściślej. Dla duchowieństwa chleb żałobny urządzono na probostwie.

Hrabina z całą rodziną i drużyną, w grubej żałobie, ukazała się za karawanem. Tu przybywszy, poraz pierwszy zobaczyła Wilskiego od śmierci żony. Smutny był, milczący, przejęty... Ścisnęła jego rękę, mówić nic nie było można. Po odbytych ceremoniach, hrabina odjechała do domu natychmiast... Naturalnie w pierwszych dniach, Wilski jeszcze nadto miał na głowie, aby mógł przybyć do hrabiny! Upłynęło ich

kilka bez wieści. Choć się to tłumaczyło jeszcze, niepokoiło trochę hrabinę; czuła się niemal obrażoną i zazdrosną o nieboszczkę, choć za życia nie obudziła w niej tego uczucia.

W parę dni posłała Emila z ks. Maryanem, dowiedzieć się o zdrowie opiekuna... Było to niejako wyzwaniem do odwiedzin... Ksiądz Maryan miał polecenie powiedzieć, iż hrabina niemal odchorowała śmierć najlepszej swej przyjaciółki, że była jeszcze przybitą i mocno cierpiącą.

Oczekiwano prawie na pewno Wilskiego, gdy—dowiedziano się że interesa familijne powołały go na dni kilka do Warszawy. Zamiast niego, przybył nieznośny dla hrabiny Oleś, z jego poleceniem wytłómaczenia, iż dotąd podziękować nie mógł.

Pocziwy ów Oleś, uczuł sam mocno śmierć kuzynki ..

Przybył smutny i ziewający, w usposobieniu niezwykajnem.

— Wie hrabina - rzekł z otwartością swą gburowaną czasem—mnie tej kobiety bardzo żal. Była w istocie pocziwą, dobrą, kochała męża serdecznie, najlepszą była matką dla dzieci—a nigdy w życiu nie była szczęśliwą.

Hrabina spuściła oczy.

— Kocham bardzo Wilskiego, dałbym się za niego posiekać, ale—co prawda to prawda... trochę bałamut! Ile się on razy w życiu kochał! mój Boże... nieboszczka ładną nie była.

— Ale cóż bo mówisz, panie Aleksandrze—ruszając ramionami i ukazując mu Julkę i Emia oczyma—rzekła hrabina... Czy to się godzi.

Oleś brwi podniósł, usta wydał, popatrzał na Emila, który mu się z pewnym rodzajem porozumienia uśmiechnął. Z drugiej strony panna Julia spojrzała z za pleców matki na pana Aleksandra... także z wyrazem ironii jakiegś.

St. Flour robiła miny straszne.

Nastąpiło milczenie. Ks. Maryan skorzystał z niego, i skreślił z namaszczeniem wielkiem obraz cnót nieboszczki i prawdziwego żalu, jaki po jej zgonie okazał małżonek.

Oleś słuchając patrzył w sufit... Odwiedziny jego przeciągnęły się jakoś, bo mu się do domu wracać nie chciało, lecz posępniejszy był, bardziej milczący, więcej zamyślony niż zwyczajnie. Spoglądał z ukosa na pannę Julię, a że umieszczenie się jej i jego tak było szczęśliwe, iż wejrzeń po drodze łapać nikomu nie dozwalało, latały one nieustannie. Julia śmielszą nawet była niż zwyczajnie i oczy jej mówiły daleko więcej, wyraziściej niż dawniej.

Oleś też może trochę więcej niemi podrażniony niż kiedy, dowiadywał próbując czy mu się jak do niej zbliżyć nie uda. To było wielce trudnem i chyba przypadek mógł zbliżenie ułatwić. Nawet gdyby hrabina wyszła chwilowo, ks. Maryan, Emil i pani St. Flour zostawali i utrudniliby przemówienie poufne. Oleś siedział uparcie... ale na pozbycie się świadków nie było sposobu. Hrabina zdawała się czekać z utęsznieniem na pozbycie gościa i była małowówną i chłodną.

Ściągnęło się tak do herbaty, na którą Oleś sam się zaprosił.

W pochodzie do niej znowu kilka zagadkowych wejrzeń zostało zamienionych. Julia zdawała się mówić niemi—zostań pan... Stary, znudzony młodzieniec (starym był na sercu) czuł się jakoś dziwnie pociągniętym ku tej istocie milczącej, obleczonej taką powierzchownością nierozbudzoną, a mówiącej oczyma różne rzeczy... które wyżyłgo nawet—poruszały...

Przed samą herbatą, hrabina się zaczęła skarżyć na ból głowy, przy niej już dostała migreny, przeprosiła gościa i wyszła... Oleś miał odjechać zaraz potem... Po odejściu gospodyni domu następowała zawsze pewnego rodzaju emancypacya.

Wszystko się jakoś rażniej, swobodniej poruszało. St. Flour nie wahała się wdać w ożywioną rozmowę.

wę z ks. Maryanem. Emil skorzystał z gości i wyrwał się, gdzieś ku folwarkowi... Oleś więc, niespodziewanie wcale, doczekał się chwili, gdy rozmowę z Julią mógł począć... Nikt ich o nic nie posądzał i nie myślał podsłuchiwać...

— Jakże idzie owa... robota kanwowa—odezwał się, nie wiedząc czem zagać.

Julia odpowiedziała mu wzrokiem tak śmiałym i inteligentnym, że Oleś osłupiał i zawstydził się.

— Przepraszam panią—rzekł poprawiając się.—Nieprawdaż że to barbarzyństwo z mojej strony, dręczyć panią wspomnieniem tego narzuconego jej utra-pienia? Uczyniłem to, Bóg widzi, przez współczucie... Ubolewam nad losem istot, które pewien system wychowania skazuje na takie egzercycye, dla wypróbowania ich cierpliwości...

— A my—odezwała się Julia—cierpliwości, jako kobiety, potrzebujemy bardzo wiele... więc to nie idzie marnie...

Po chwili znów główkę podnosząc, dodała.

— Tylko to wątpliwa: czy kanwa uczy cierpliwości, czy ją wyczerpuje...

— Masz pani słuszność?...

Wejrzenia dopełniały rozmowy, a raczej stano-wiły do niej jako akompaniament. który ją nieskoń-czenie czynił wyrazistszą.

— Wie pani — odezwał się pochylając ku niej Oleś — że przez długi czas, patrząc na nią... i słuchając jej milczenia... nigdy nie sądził...

— Żebym mówić umiała? — dodała nśmiejając się smutnie Julia. Ja sama się sobie dziwuję, że nie zapomniała mówić i myśleć... ale...

I nie dokończyła...

Pani mnie intrygujesz ogromnie.

— Doprawdy? — a zatem przyznam się że i pan mnie—także...

Oleś się skłonił.

— Czem szczególnie?

— Mnie się zawsze zdaje — dokończyła żywo, jakby się lękała żeby jej kto nie przerwał — mnie się zdaje, że w panu jest dwóch ludzi — jeden zabawny, trzpiotowaty, udający gorszego niż jest, a drugi dobry i cichy... ale schowany za tamtym.

Oleś się zaczerwienił i twarz mu rozpromieniała...

— Czemu pani, co tak pięknie mówić umiesz... nie odzywasz się nigdy... przy mamie. Doprawdy! ja w niej także odkryłem dziś drugą, nie znaną pannę Julię.

Zarumieniło się dziewczę i cicho szepnęło.

— Przy mamie, nam mówić — nie wolno — ale — przyznaj mi się pan, jak mu się druga podobała?

— Bardzo! — zawołał Oleś.

Spojrzeli sobie w oczy, długo jakoś, i Julka w końcu spuścić je musiała. Oleś patrzył aż do głębi jej serca, zdawało się jej że z niej wszystko wyczyta, i zlekła się.

— Dziękuję panu — zaczęła po chwili — ja bo nie mam szczęścia do ludzi. Dobrze to choć na chwilę na kims lepsze uczynić wrażenie.

— Dla czegoż na chwilę? — przerwał mocno zajęty Oleś...

— Bo — bo — pan jutro myśleć o tem nie możesz...

— Pani mnie nie znasz — przerwał obrażony Aleksander albo raczej znasz tego gorszego... Ten drugi lepszy jest, stały, i co raz mu się podobało, to zamyka w sercu i nosi.

— Bo proszę pana! w tem sercu tak być musi pełno.. i tyle tam spoczywa... nieboszczyków... że mi by tam przebywać było straszno...

Rozśmiał się słysząc to Oleś, ale go rozmowa w istocie tak oczarowała — bo się w tej milczącej i zaspanej Julce, nigdy tyle życia nie spodziewał — że się żywo do niej zbliżył.

— Panie Aleksandrze... zawołała... proszę zdale, bo ja za pana burę dostanę...

I spowaźniała.

— Jakto? czyżby St. Flour miała ją zdradzić?...

— O, nie ona! to moja dobra przyjaciółka—szepnęła Julia, i wskazała oczyma na ks. Maryana. St. Flour mnie kocha trochę — wyjątkowo... i zdaje mi się—dodała może nie bez pewnej intencji, że dla mnie gotową by była... nawet się na burkę narazić... Ja w niej mam zupełną ufność.

Te słowa poparte wejrzeniem, były jakby skazówką drogi, którą można się było udać... gdyby... gdyby ktoś życzył sobie!! Olesz to zrozumiał...

Zawiażywał się w ten sposób jakiś stosunek... który mógł sięgnąć daleko. Julia oddawna milcząc kochała się w Olesiu... byłaby może pozostała ze swą dziewczęcą miłością w sercu zamkniętą, gdyby wiadomość o przeznaczeniu ją do klasztoru, nie doprowadziła do rodzaju rozpacz. Ratowała się ostatnim środkiem, na jaki instynkt i niedoświadczenie naprowadzić ją mogło.

Gotowa była na wszystko— dla — Olesia — i dla uniknięcia wiekuistego więzienia. Olesz, który pobudek widzieć nie mógł, przypisywał to troszeczkę załotności, a wreszcie własnym przymiotom...

Od niejakiego czasu dawszy za wygraną miłościom, których wiele przebrnął takich, że tylko niesmak zostawiły mu po sobie, mając się za wystygłego i rozczarowanego, zdziwił się niesłuchanie, gdy mu serce zabiło, i w piersi rozbudziła się znowu... ta szczęścia nadzieja, która sama jest już szczęściem... St. Flour zadługo się zagadawszy z księdzem, wróciła właśnie do stolika. Julka poszła patrzeć w okno, — potrzebowała ostygnąć, tak była rozgorączkowaną — powtarzała sobie ciągle. — A! czy też on mnie zrozumie?

Olesz tak dobrze chwycił ostatnią aluzję, iż natychmiast przystąpił do pani St. Flour, i począł z nią rozmowę bardzo żywą.

— Nie bierz mi pani tego za złe i nie tłumacz fałszywie — odezwał się tajemniczo — ja potrzebuję

z nią pomówić na osobności i mam się jej z czegoś zwierzyć.

Żartobliwa francuzka pokręciła główką.

— Zmiłuj się pan! czyżbyś się miał we mnie zakochać?—zawołała wesoło... A! to by mnie niesłychanie uradowało...

— Rzecz jest bardzo seryo... ale...

— Ale czyż pan seryo być umiesz?

— Umieć, gdy seryo coś czuję — dodał Oleś; — daj mi pani jakie rendez-vous... na miłość Bożką...

— Żegnaj się pan—przeprowadzę go do krzyża... śmiejąc się i żartując...

Rozkaz został spełniony. Oleś wyszedł, pożegnawszy szczególnież Julię, którą znalazł jeszcze stojącą w oknie, i ścisnąwszy jej rękę, szepnął śmiało...

— Mogę mówić z St. Flour... o... o pani?...

Julia wzrokiem i skinieniem głowy odpowiedziała...

Zaciekawiona francuzka czekała w ganku.

— Spalę się z ciekawości!—wołała.

— Zapobiegając tej combustion spontannée—roześmiał się Oleś — zaczynam natychmiast. Powiedz mi pani, proszę, jakiej osobliwej matamorfosie uległa panna Julia?—z tej poczwarki motyl się rozwinął.

— A! pan to znajdujesz!

— Tak jest—i zajęła mnie tak żywo, że—że...

St. Flour w ręce aż uderzyła...

— Ale czyż to być może, czy to być może?

— Przysięgam pani, że w niej zakochany. Zbierało się na to długo — i miłość jak pożar co tli nim wybuchnie nagle objęła mnie...

— Mówisz pan jak stary romans XVIII-go wieku—odezwała się francuzka - c'est mauvais genre, c'est usé.

— Słów nie dobieram.

— Zatem jeżeli to jest miłość, a pan mnie zaszczycasz swem zaufaniem... muszę mu smutną zwiastować wiadomość, że... że z tego nic nie będzie!

Posmutniała St. Flour, i mówiła dalej seryo bardzo.

— Biedną hrabiankę matka przeznaczą do klasztoru... Ja, ksiądz Maryan, i wszyscy co ją otaczają, mają polecenie namawiać, skłaniać, a raczej wmawiać w nią, że powinna zostać zakonnicą; ona zaś, wołała-by śmierć niż wieczne więzienie. Dodajmy, nie mając potrzeby tać tego, że pan u hrabiny nie jesteś w szczególnych względach.

— A! to wiem.

— Że pannę Julię chcą wykwitować z posagu szczęśliwością kontenplacyjną, że pan...

— Że ja jestem zrujnowany—wtrącił Oles.

Coś podobnego musiałas pani chcieć powiedzieć, obwinawszy w bawelnę? nieprawdaż, to logicznie tu musiało przyjść.

— Mniejsza o to — kończyła francuzka — ale to najgorzej, że gdybyś pan się szalenie zakochał, a panna Julia była mu wzajemną przypadkiem...

— Tak! przypadkiem!—rozśmiał się Oles—było-by to chyba—przypadkiem—ale—kończ pani...

— Musielibyscie chyba chwycić się ostatecznych środków, bo inaczej...

Aleksander z głową spuszczoną szedł przez chwilę milczący.

— Kto to może przewidzieć jak się tam sercowe sprawy złożą — rzekł; — ja ufam że pani jesteś dobrą, litościwą, szlachetną... przyjaciółką, i że — a u *risque et peril* narażenia się tej nieznośnej hrabiny (bo ja jej uczucia jakie ma dla mnie z nawiązką oddaję) pani—byś nam dopomogła.

St. Flour głową potrząsała...

— Zobaczemy — rzekła — ależ najprzód trzeba żebyście się szalenie kochali, tobym przynajmniej miała przyjemność ogrzać się przy ogniu waszym... a Julka... Julka... jest miłą, dobrą... ale chłodną i nie rozbudzoną...

Oles podał jej rękę, unikając odpowiedzi, własnie się zbliżyli do krzyża...

— Bądź pani dla nas... dobrą!—rzekł.

— Jakto już—dla nas?—spytała francuzka—dla nas?...

— Przypuśćmy że ja się mylę... no — bądź pani dla mnie—dobrą... i nie odmawiaj mi.

— Zgoda, ale trzeba żebyś się szalenie kochał! ja tak dawno nie widziałam szalonego kochania—a to mnie odmładza!—śmiejąc się rzekła St. Flour.

Oleś cały poruszony siadł do idącego za nim powoziku... Francuzka zdziwiona, roztargniona, powoli do pałacu. Hrabina miała migrenę, ks. Maryan poszedł był szukać Emila, który bodaj czy się nie puścił do pięknej córki leśniczego... Julia sama była w salonie. Widocznie oczekiwała poruszona, niespokojna, na powrót francuzki, która zmierzyła ją wzrokiem ciekawym, niedowierzającym, zdziwionym..

— Zagadałam się z tym zabawnym panem Oleśm—odezwiała się francuzka, i anim się spostrzegła jak zawędrowałam z nim do stóp krzyża... Co to za miły człowiek, gdyby miał statek...

— Ja znajduję — szepnęła Julka — że on i bez statka jest miły...

— Podoba ci się?

Hrabianka nie zawahała się chwili, rzuciła się na szyję francuzce, z prawdziwie dziecinną otwartością, szepcząc jej do ucha...

— Ja go kocham!!

St. Flour, która miała się zawsze za nadzwyczaj przenikliwą, dowiadując się o tej miłości, która jej z pod nóg wystrzeliła nagle... uczuła się upokorzoną, zawstydzoną... osłupiała...

Załamano ręce, podniosła głowę...

— Dzieją się rzeczy! — zawołała — o których człowiek nie marzył... Jakże się to stało? Ależ — ja cię z oka nie spuszczałam na chwilę, ja słyszałam bicie twego serca? Zkąd? kiedy to przyszło? gdzieżście się spotykali? na Boga! ja drzę.

— W salonie! — odparła Julka — nigdzie więcej — miłość zbudziła się we mnie dawno... ale on! on! trzpiot!

— On się w tobie kocha! sam mi wyznał! — krzyknęła francuzka.

Julka rzuciła się jej powtórnie na szyję — i — osłabła...

Przestraszona St. Flour głowę zupełnie straciła, lecz to pół-omdlenie trwało też pół chwili. Julia obudziła się płacząc i szczęśliwa...

— Chodźmy na górę, moja St. Flour... chodźmy na górę — ja potrzebuję ochłonać...

I obejrzawszy się ostrożnie, czy ich kto nie podsłuchiwał, wymknęły się do swoich pokojów.

Kora Bismarck 92

IX.

Tak zwany Micio—ów obywatel osiadły na kraju Parzygłowów. i czatujący w swym dworku na przejeżdżających. aby dzionek zabić jakkolwiek — stał właśnie w ganku, podparłszy się w boki, i podśpiewując starego, bardzo starego mazurka, rozglądał się po wesołej okolicy. Zdaleka można było pana Mieczysława Abdanka wziąć za młodego jeszcze człowieka. Trzymał się bardzo prosto, nosił bardzo starannie, włosy farbował regularnie na barwę ciemno-kasztanową, z połyskiem rudawym, wąs mn zakrywał dosyć zręcznie niedostatek zębów, i niedostateczność wprawionych za tanie pieniądze surrogatów, twarz miał rumianą, oko wesołe, humor dobry, okrągły, pię-

kny brzuszek dodawał mu powagi, nie ujmując rzężwości i nie psując bardzo talii, którą zachować się starał...

Miał przytem pan Mieczysław Abdank ten przymiot, konserwujący znakomicie, że z siebie był zawsze ostatecznie rad, choćby największe popełnił głupstwo. Po zaledwie chwilowem namaszczeniu, do którego czoło nawet nie było nawykłe, rozchmurzał się wnet, podśpiewywał... i puszczał w niepamięć przy czynę niepotrzebnej zgryzoty.

Jakeśmy mówili, żył Micio na ostatkach straconej fortuny, ale wesoło i pańsko — kobiety go jeszcze animowały — nie mógł, ani myślał się żenić, lecz gdyby go która była zechciała pochwycić, gdyby się nastreczała okoliczność, ręczyć nawet za to nie było można. Tymczasem, miło mu było popatrzeć w oczy, piękną rączkę ucałować, i choć udawać młodego...

Tego dnia Micio spodziewał się na wieczornego wisieczka, ksiedza kanonika Hamerskiego, obiecał mu się Oleś wesoły... myślał a nuż kto się trafi niespodziany? Zawsze wist we trzech, z dziadkiem, był już zapewniony...

W kredensie nastawiono samowar—lada chwilę, kanonik powinien był nadejść... W niedostatku innego zajęcia, Micio śpiewając mazurka, ołowianym grzebykiem, który miał własność włosy czernić, pracował około pozostałości wegetacyi na głowie i wąsach... Myśl jego błąkała się po „niwach“ przeszłości! ..

Gdy zdaleka pokazał się oczekiwany Oleś. Micio mu ręce wyciągnął i zawołał.

— A bywajże—bywaj—miły gospodynie!

Ale ów Oleś włókł się jakby nie swój, szedł z głową spuszczoną, kwaśny.

— Co ci to jest? złoty chłopcze, co ci jest? czy nagniotki?

— Gdzie tam—życie mnie nudzi — począł witając się gość i siadł rozparłszy się na ławie w ganku...

życie mnie okrutnie nudzi... Czegoś mi brak. jakiegoś żywiołu do egzystencji?

— Naprzykład?... czyżby pieniędzy?—spytał gospodarz—to głupia rzecz w sobie, ale bez nich...

— To podrzędna rzecz—rzekł Oleś—pieniądze, kto ma rozum, zawsze mieć będzie. Ja ich mam mało, ale mi starczy... Długi nie drapieżne... a wierzyć cięsom się zdaje, że ja dla nich powinienem się ożenić bogato.. Wszystko to znośne, ale sam proces życia jest smutny.

— Bo—moja duszo—odezwał się przekwitły Micio,—bez kobiet życia nie ma, a ty skazany jesteś patrzeć na starą ochmistrzynię, i na wiejskie dziewczęta, które tylko Fryderykowi II mogły się znośne wydawać.

Oleś ziewnął i popatrzał na mówiącego.

— Wiesz, że może masz słuszność—pismo święte powiedziało. Vae soli! to prawda.

Micio westchnął mocno.

— Gdybym był w twoim wieku! — rzekł krótko. Ta przegrywka do rozmowy, nie doprowadziła jednak do rozwinięcia tematu w ten sposób, jak się obiecywał.

Od kobiet w ogólności, względem których każdy z nich miał teorię oddzielną. przeszli do pojedynczych indywidualności Micio, który był starszy niż się przyznawał. wspomniał o zmarłej pani Wilskiej. dobrej, cichej kobiecie, która miała być z mężem bardzo szczęśliwą, a była tylko spokojną.

— Szanuję waszego kuzyna, kochanego Adzia, ale to był bałamut całe życie. Szczęściem żona tego nie przypuszczała...

Zniżył się do ucha Olesiowi.

— Ty tam częściej bywasz i stosunki te znasz lepiej—rzekł mu na ucho, ale, wszak to stary romans jego z hrabiną?... Cóż teraz będzie? jak ci się zdaje?

— Mnie się zdaje, że teraz, gdy romans powinienby się skończyć Sakramentem... właśnie się rozerwie—rzekł Oleś;—Adzio ma słabości ludzkie... zechce

się ożenić z osobą młodą i puści na nowe szczęścia experymenta, zamiast staremi zadowolić. Zresztą i hrabina...

— Nieodgadniona to istota — rzekł Micio — tak świętobliwa, skromna, dla drugich surowa, tak w salonie pilnująca, aby dwuznacznego przy niej nie wymówiono słowa... a... dużo by o jej przeszłości powiedzieć można... ho! ho!

— Ale — ale — przerwał Oles — zdaje mi się, że oprócz słabości dla Wilskiego... która, zresztą, mogła być w gruncie najniewinniejszym stosunkiem przyjacielskim.

Micio począł się śmiać w głos, ale tak, że się wziął za boki... i Oles popatrzywszy nań zamilkł...

— Ja pamiętam jeszcze te czasy — począł, gdy się śmiech uśmierzył, kiedy panna Marya była w domu rodziców... a nikomu się ani śniło, by córka ubożego szlachcica, który z biedy rzucił się do służby — mogła wyjść za hrabiego. Była cudownie piękną, bo i do dziś dnia jeszcze, można powiedzieć, że u nas piękności gasi wszystkie... Naówczas, naówczas... aleście pewno o tem słyszeli.

— Nic a nic! mozem zresztą i słyszał, a tak mnie to obchodzi mało. żem zapomniał — rzekł Oles.

— Ojciec wziął do domu ubożego chłopaka dla lekcyi muzyki, niejakiego Zellera. Rodzice jego tu mieszkają, i... ale o tem później powiem. Chłopak związał romans z panienką, a musiało tam zajść coś groźnego, bo go z domu wypędzono; mało kto wiedział o awanturze. Najzabawniejsza rzecz, że rodzice Zeller'a zaparli się go, muzyk w świat powędrował, nie było go lat dwadzieścia i wrócił teraz (ale o tem już wiesz) kupuje tu klucz Owsiański.

Oles słuchał na pozór obojętnie.

— Coś mi o tem mówiono, ale o jego romansie z hrabiną, nie słyszałem. Sądzę, że to ktoś dokomponował, aby powieść zaokręglić.

— Zmiłuj się — wtrącił gospodarz, ale ja przypominam sobie, gdy się to stało... pamiętam jak na

ucho szeptano... jak panna długi czas nawet się w kościele nie ukazywała...

Mówiąc usiadł Micio na ławce obok gościa i zapalili cygara.

— Gdy się tu wieść rozeszła po miasteczku, o cudownem zmartwychwstaniu Zellera i jego milionach, okrutnie byłem zaniepokojony. Żyję tu oddawna, jak wiesz w tej dziurze. w Parzygłowach, o kilkaset kroków od starych Zellerów, ale ich widywałem tylko w kościele i zdaleka, nie szukałem znajomości wcale. Nie można przewidzieć wszystkiego? ktoś się mógł spodziewać tego powrotu syna marnotrawnego z portfelem pod pachą? Dziś wszyscy, co sobie Zellerów lekceważyli, nie mogą się odżalować...

— To zabawne dosyć—rzekł Oleś.

— No ja --jak ja--nie są to ludzie mojego świata—ciągnął Micio,—ale kanonik, pocztalter i tutti quanti zawsze w obawie, aby ci ubodzy ludzie nie potrzebowali jakiej pomocy, stronili od nich—dziś—gdy przyszło dworować im, strasznie nie zżęcznie zmieniać ton i sposób życia. Z Zellerem radbym się poznał, bo juściż gdy się takiej fortuny dorobił, musi być przyzwoity człowiek... ale — nie idzie mi... Brata jego profesora trochę znam... z tym co wrócił jeszcze się nie zetknął...

Ciekawaby jednak rzecz była przypatrzeć się szczęśliwcowi.

Oleś popatrzał na gospodarza, i—ziewnął po raz trzeci czy czwarty.

Kanonik obiecany nie nadchodził: gospodarz, chcąc gościa zabawić, ciągle prawił o Zellerach i zakończył śpiewką zwykłą.

— Otóż to tak, mości dobrodzieju — takie czasy; szlachta i panowie z panów, my, cośmy byli tego kraju jedynymi właścicielami, schodzimy na dworki... jak o to—ja, a mieszczenie i plemię izraela kupuje dobra i rozsiada się szeroko!!

Oleś był w humorze kontradycyi.

— Mój drogi panie—odezwał się —zastanów się proszę, kto temu winien, czy nie my co się dajemy deposedować przez lekkomyślność i nieumiejętność gospodarowania? Cóż tamci winni, że mają więcej rozumu, więcej pieniędzy i statku?

— Ja także jestem na skraju — dodał — i lada chwila mogę się wyprzedzić z musu. Być może. iż mój dawny arendarz kupi ojcowiznę moją, ale nie będę go o to obwiniał. Za stary już jestem, żebym zmienił obyczaj, widzę na czem się to kończy — a n a n k e ! nie ma na to ratunku.

— Et, co to mówić! — odezwał się Micio posepnie gniewny — dla tego żeśmy nadto byli — poczciwi!!

Oleś się śmiać począł.

— I flejtuchy! — dodał.

Kanonik właśnie nadchodził.

Była to postać imponująca, na którą spojrzawszy poznał każdy łatwo, że wysoko się nosił i strzegł pilno, abym takim się okazał, jakim chciał być dla ludzi.

Wyprostowany, ubrany wytwornie prawie, z głową podniesioną do góry. z twarzą poważną i miłościwie uśmiechniętą, ks. Hamerski szedł zwolna, podpierając się piękną laską z główką złoconą. Na nogach miał trzewiki świecące i pończochy fioletowe, u su-tanny guziczki karmazynowe, na szyi, nigdy go nie opuszczającego distinctorium. Twarz dosyć piękna, mało mówiąca, z oczyma nieco przymrużonemi, miała przybrany i nigdy z niej nie zchodzący wyraz tajemniczej wyższości... W ruchach widać było rozmyśl i długoletnie nawyknienie do występowania.

Człowiek był cały kunsztownie wyrzeźbiony z materyału, który już widzieć się nie dawał. Rodzice ks. Hamerskiego musieli być ludzie ubodzy. ojciec rzemieślnikiem, syn właśnie nadawał sobie ton i pozory innego pochodzenia, aby zatrzeć to nieprzyjemne, choć szlachetne wspomnienie.

Ksiądz Hamerski szedł bardzo powoli, jakby czuł i pamiętał że nań ludzie patrzą; zbliżywszy się

do ganku, ujął z lekka ręką kapelusz i z uśmiechem pozdrowił siedzących w ganku. Dobył złoty zegarek z za sukni i pokazując go Miciowi odezwał się

— Wszak nie spóźniłem się?

Abdank wyszedł na powitanie, szyderski Oleś, który nie lubił ludzi zadających sobie pracę wiekuisiego wstępowania; skłonił się zdala, niezbyt okazując radości ze spotkania. Kanonik tymczasem wchodził na ganek, otrzepując chustką pył z trzewików i sukni.

Samowar już był podany, udali się więc wszyscy do jadalnego saloniku, zawieszonego ocalonemi z rozbicia autenatami gospodarza. Cały też sprzęt tak tego pokoju jak domu, był widocznie z dawnych czasów i ze wsi przywieziony. Nadawało to dworkowi fizyognomię poważniejszą i bardziej zajmującą, niż by po jego powierzchowności spodziewać się można.

Z ks. kanonikiem rozmowa łatwą nie była — nie dawał przy sobie mówić o wielu rzeczach, a sam odzywał się z dyplomatyczną oględnością, nigdy żywszym wyrazem nie zdradzając swojego zdania. Oleś zaś, niedobrana para miał naprzód ducha przekory, potem wstrzymywać się nie dał od tego co mu, jak powiadają ślina do ust przyniosła. Na gospodarza więc przypadało posłannictwo nader ciężkie harmonizowania tych dwu dyssonansów. Czuł on to, lecz największą nadzieję pokładał w wiseczku, bo przy kartach milczenie jest naturalnem, a rozmowa ograniczoną atutami i renonsami...

Tymczasem herbatę zapijano. Nie było przedmiotu do rozmowy, oprócz Zellera, o którym kanonik nie chciał wcale się rozgadywać.

— Rodzice starzy — rzekł — ludzie godni, inaczej powiedzieć nie można. Myśmy ich widywali zawsze... Żyli oni dobrowolnie osamotnieni, i tego rodzaju życia zapewne nie zmienią. Rodzina uczciwa, pracowita... Najmłodsza córka guwernantką u baronostwa Z...

— O tę, widywałem tu — odezwał się Micio, — panna bardzo ładna i rezolutna. Znać energię w niej.

— Tak, jak w nich wszystkich—dodał kanonik, inaczej powiedzieć nie można, professor... bardzo, bardzo godny człek... druga siostra za radczą .. też, moiści dobrodzieju—też...

Kiwał głową poważnie.

— Że teraz cała rodzina się wydawać będzie wzorem cnoty i że w niej dziwnych się przymiotów ludzie dopatrzą — wtrącił Oleś, o tem na chwilę nie wątpiłem.

Kanonik się zarumienił.

— Ja nigdy, nigdy inaczej nie utrzymywałem—dodał. — Ludzie bogobojni—staruszka, choć chora na nogi, w święta się kazała wozić do kościoła, to też Bóg jej to nagroził.

Od Zellerów przeszła rozmowa na Wilskich, kanonik począł wynosić cnoty nieboszczki; a że się wyczerpywał przedmiot, schylił się nieco ku gospodarzowi i z namaszczeniem odezwał się głós zniżając.

— Wielką to jest pociechą w tych czasach niewiary i zepsucia, gdy widzimy w niektórych rodzinach przykłady krzewiącego się religijnego ducha. Niech to zostanie między nami... serce się moje rozradowało niewymownie, gdy mi ksiądz Maryan się zwierzył, że jedyna córka hrabiny Maryi... hrabianka Julia ma dziwne, nadzwyczajne powołanie do zakonu, i matka się jej nie sprzeciwia.

Oleś, który właśnie herbatę dopijał, zachłysnął się, zdumione oczy zwrócił na kanonika z natężeniem i ramionami ruszył. Postrzegł to ks. Hamerski.

— Czy waćpan dobrodziej, co w tym domu bywasz, nie uważałeś tego?

— Ja? — rzekł Oleś—nietylko żem tego nie widział. ale jestem prawie pewny, że to się chyba ks. Maryanowi przyśniło.

Kanonik z politowaniem pewnem uśmiechnął się.

— Z tego co mi szanowny kapelan hrabiny mówił, wnoszę—dodał—że rzecz jest pewną i opartą na faktach.

— Przed faktami — rzekł Oleś szydersko trochę — nie pozostaje mi jak skłonić głowę i milczeć.

W istocie skłonił ją, podniósł, zaczął patrzeć w sufit, i poprosiwszy o pozwolenie zapalenia cygara, wstał przechadzać się po pokojach.

Kanonik pozostawszy z Miciem, począł obszerniej rozpowiadać, o wyszpiegowanych nowych modlitwach hrabianki, o jej mortyfikacyach, o klęczeniu w kaplicy, postach i t. p. Gospodarz słuchał milcząco. Tym czasem Oleś kwaśny, szukając roztargnienia ze swobodą sobie właściwą, puścił się z cygarem od dworku ulicą, która wiodła do szosy, tuż przechodzącej.

Wieczór już był — w oddaleniu turkotał i dźwięczał powóz; przechadzającemu zachciało się zobaczyć, kto też jechał. Zdala już poznał powóz i konie Wilskiego i stanął na przesmyku. Gdy się zbliżył kocz, krzyknął — Stój! i podszedł do kuzyna.

W istocie on to był, w grubej żałobie i zamysleńniu powracający do domu. Zobaczywszy Olesia wychylił się pytając.

— Co ty tu robisz?

— Piję herbatę tu u Abdanka i za nią się wyplacając, będę musiał z nim i z kanonikiem grać w wista z dziadkiem. Herbata na stole — wstąp.

Wilski się zamyślił.

— Na prawdę — rzekł — winienem Miciowi nawet odwiedziny i podziękowanie, że zjechał na ten smutny obrzęd.

— Wstąp — że na chwilę!

Kazano koniom pozostać na szosie, a Wilski dał się namówić i poszedł do dworku. Radość była wielka, gospodarz ścisnął niezmiernie gościa tak miłego, posadzono go do herbaty.

— Wiesz, że i ja ci bardzo dziś tu rad jestem — odezwał się Oleś po pierwszych kilku obojętnych frazesach. — Proszę cię, wszak to nagle jak ospa, okazało się u hrabianki Julii (tak utrzymuje ks. Maryan i ks. kanonik tu przytomny), powołanie gwałtowne do sta-

nu zakonnego. Ty, jako opiekun długoletni, coś byś przecie o tem wiedzieć powinien.

Wszyscy mieli oczy zwrócone na Wilskiego. który, przypominając sobie zwierzenie hrabiny. zmieszał się nieco i potrzebował namyśleć z odpowiedzią.

— Coś—o tem słyszałem już — rzekł nieśmiało. ale uważam to za — zbytnią może matki obawę. Zresztą, nie wiem jeszcze... Od śmierci żony mojej, z którą bywałem u hrabiny — co mi bolesne przywodzi wspomnienia—nie byłem teraz jeszcze u niej. Nic nie wiem.

Oleś coś zanucił.

— Słyszałeś jednak...

— Coś, głucho...

— A mnie mówił o tem ze szczegółami ks. Mar-ryan, który słyszał o tem od matki, zatem z najlepszego źródła—rzekł pośpiesznie ksiądz Hamerski.

Nikt się nie sprzeciwiał, Wilski pił herbatę.

— Dla czegoż by to albo dziwić miało, lub wydawać się nie właściwem? nalegał kanonik.

— Nikt z nas nie utrzymuje—z lekką ironią odpowiedział Oleś, ażeby to niewłaściwem było, jeżeli jest istotne powołanie. Klasztor ma swe przyczyny bytu, rodzą się doń ludzie w pewnych danych stosunkach społecznych... i ci go potrzebują. Lecz, przyznasz księżu kanoniku, że gdyby kogo chciano przymuszać aby wstąpił do zakonu, ani on by z niego nie miał pociechy, ani skazanemu nie wyszłoby to na dobre...

— A któżby przymuszał? przecież nie matka córkę!—zawołał kanonik.

— Ja też o to nikogo nie posądzam — mówił Oleś — myślę że to chyba chwilowa fantazya. kaprys lub nieporozumienie, które się wyjaśni. W każdym razie, możemy być spokojni, mając oto opiekuna przed sobą, który nad tem czuwać będzie.

Oleś spojrzał na Wilskiego, ale ten nikał dalszej rozmowy, kanonik tylko ujmował się w ogóle za klasztorami, bo mu się zdawało, że je atakowano; po

chwili jednak widząc, że o tem nikt nie myśli — zamilkł, otrzymawszy łatwe zwycięstwo. Wtem Micio począł nalegać, aby złożyć choć jeden tur wista we czterech. Słabo się temu opierał gość, konie mogły postać na szosie. przeniesiono się więc do drugiego pokoju, gdzie już stolik, świece, karty i kredka leżała nagotowana. Służący gospodarza pilno zawsze czuwał nad tem i nad nową talią do gry, od której podatek pobierał.

Zaczęto przy grze o czem innem. Wiski oświadczył, że się spotkał wypadkiem w austeryi z Zellerem, który wracał z nowo nabytego majątku — i sam szukał znajomości z tak interesującym ze wszech miar człowiekiem. Ciekawość odmalowała się w oczach wszystkich, i poczęty wist o mało na tem nie szwankował.

— Zmiłuj się. toś szczęśliwszy od nas wszystkich! jakżeś go znalazł? jak wygląda?

— Powierzchnowość bardzo prosta — rzekł Wilski — twarz podstarzała i zmęczona, nieco z cudzoziemska wygląda i znać w nim kogoś. co za biurkiem spędził życia część znaczną...

Zresztą... bardzo miły, bardzo przyzwoity, bardzo słuszny człowiek!

— A byłem tego pewny — skonkludował Micio stary — kto się majątku takiego dorobił. musi w sobie mieć coś niepospolitego.

Oleś wybuchnął śmiechem i przepuścił renons.

— Kochany gospodarzu — zawołał — hołdniej przesądom, ja utrzymuję. że kto majątek traci, ten coś niepospolitego ma w sobie, choćby odwagę pojsć z torbami i umrzeć pod płotem.

Kanonik ze swojego stanowiska. zapatrując się na kwestyę, wszystko odniósł do Boga i Opatrzności.

Jakoś i gra i rozmowa i humory osób dnia tego, nie mogły się rozwinąć swobodniej i weselej. Oleś, zwykle wesół. coraz był kwaśniejszy i bardziej podrażniony, bił swoje własne lewy i skarżył się na ból głowy. Ziewał spazmatycznie, co kanonika nabawiało także ziewaniem nieprzyjemnem. Gdy Wilski się ru-

szyl do odjazdu, Oleś posunął się za nim i oświadczył, iż musi spocząć, bo czuje nadchodzącą migrenę. Kanonikowi z gospodarzem radził staropolskiego maryasza do puli. Napróżno starano się go powstrzymać, nie dał się, wyszli razem z Wilskim. a zaledwie kilkanaście kroków odeszli, Oleś zagadnął kuzyna.

— Nagłe powołanie panny Julii jest zagadką, którą zły stan interesów hrabiny i jej miłość dla tego pocziwego dudka Emila, przyszłego dziedzica imienia hrabiowskiego — tłumaczą — ale ty jesteś opiekunem, i—spodziewam się. że zapobiegiesz, aby się nie stała ofiarą.

— Wszystko to jeszcze... niepewne, niejasne — odparł Wilski zmieszany.

— Jedź do hrabiny — nalegał Oleś — nie byłeś u niej oddawna—rozpatrz się...

— Zbieram się jechać ciągle, mówił opiekun spiesząc do powozu... ale nie wiesz (tu westchnął) jak mi ciężko teraz .. tam bywać, gdzie niedawno z moją biedną zmarłą uczęszczałem...

Westchnął, Oleś nic nie odpowiedział... długo.

— Masz obowiązki — dodał — przemożesz się. Dobranoc.

To mówiąc pożegnał go. ręce włożył w kieszenie i wolnym krokiem pociągnął ku miasteczku. Towarzystwo Micia i wist wcale go nie rozbawiły, podrażnionym się czuł i złym prawie... myślał o Julii i sam się gniewał na siebie.

Dałem bo się wziąć takiemu podlotkowi! — mówił w duszy.

Lecz wnet to usposobienie ustępowało innemu. czulszemu, i pan Aleksander, jak gdyby dziesięć lat miał mniej, rozmarzał się, rozpamiętywając wdziek młodej dziewczki, z całą naiwnością dziecięcą, pierwszą miłością serca zaledwie rozkwitującego, rzucając się ku niemu... — Wyżyty, znudzony, nie jestem go-dzien—myślał.

Kłócił się tak z sobą wracając do miasteczka, gdzie u Kurzej-piętki stały jego konie, gdy niespodzianie:

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór! — dwoma głosami wyrzeczone, prawie go przestraszyło. Stał jak ze snu przebudzony. Znajdował się właśnie naprzeciw poczty, i na ławce zobaczył siedzących, używających wieczora i pyłu z gościńca, państwa Paździerskich oboje... Poczthalter jak zawsze strojony był i zamaszysto wyglądał, a pani, choć nieubrana i w wieczornym mroku, świeciła przesłicznymi czarnymi oczyma. Były to oczy, jakich Oles nigdy nie widział w życiu, godne studium psychologa, oczy ogromne, błyszczące, jasne, osadzone w powiekach rzeźbionych cudnie, z rzęsami tak długimi, że cień rzucały na nie; oczy hurysy, orientalne jakieś — wyjątkowe... przepyszne, a nieme... Ile razy się z nimi spotykał pan Aleksander, zawsze sobie zadawał pytanie, czy one nie były szklane, kamienne... lub z jakiegoś kruszczu nadziemskiego...

Paździerscy oboje, o ile wysoko się nosili względem passażerów pocztowych i obchodzili z nimi ostro, a nielitościwie, o tyle znowu z obywatelstwem sąsiedzkiem starali się być grzeczni. aby stanąć na stopie przyjacielskiej. Paździerski zapraszał chętnie na cygaro i herbatę, a ona sama, choć najczęściej nieubrana i zmuszona chować rączki, których nmywać bardzo nie lubiła, wychodziła też do gości, szczególnie skłonnych do uwielbiania jej wdzięków.

Była to osoba, mimo swych oczu czarnych, charakteru flegmatycznego, małomówna, wejrzeniami zastępująca rozmowę — i nie lubiąca żadnego zajęcia, którego, jak ntrzymywała, niepotrzebowała też, bo do tego miała przecie sługi. Oboje starali się zawsze okazać zamożność swą, i blizkie przejście do stanu obywateli wiejskich, do którego wzdychali.

— Już choćby z listem na dzierżawę — mówiła mężowi poczthalterowa — a to na tej poczcie, z tem tałaajstwem... w tym niepokoju... to choć umierać...

Życzeniem dobrego wieczoru pochwycony pan Aleksander — stanął.

— Pan dobrodziej pewnie od sędziego?

— A tak — rzekł Oleś — głowa mi się u wista rozboleła.

— Możeby herbaty z cytryną — odezwała się słodkim głosem pani Paździerska... jest bo gotowa...

Oleś się zawahał.

— Niech pan spróbuje — dodał poczthalter — szelma jestem, że moja żona robi tak herbatę jak nikt... A już... jak ono jest tak jest, popatrzeć też na moją żonkę — rzekł figlarnie — i to coś warto...

Żona mu dała klapsa...

— Dajże bo głupstwu pokój.

— Od wpatżenia się w oczy pani — rzekł rozdobruchany jakoś Oleś — głowa się jeszcze gorzej może rozboleć...

Pani Paździerska poprawiła się na ławce, mąż rozśmiał serdecznie... Oleś dał się wciągnąć na herbatę, z cytryną i z czarnymi oczami.

Starął się o to poczthalter, żeby salon jego i dom, na obywatelski wyglądał, żona też lubiła elegancję, oboje nieszczęściem mieli gust bardzo osobliwy... i niewybredny...

Na licytacji kupione meble okryte aksamitem, trochę spłowiałym, zawsze w miasteczku równych sobie nie miały. Na ścianach były rozmaite obrazy, wizerunki i fotografie, a zwierciadło nad kanapą rozmiarami swemi obudzało w pocztylionach zdumienie. Dla upiększenia go u góry była muslinowa draperya, ktorej piękne fałdy, pył postarał się uwydatnić. Nie mówię nic o firankach, na złocistych kijach i złotem świecących rączkach, stoliki, etażerki, konsola. — tak były zastawione porcelaną, iż zdawały się uginać pod ciężarem jej. Była tam owa słynna osóbką płci pięknej, w chwili, gdy zabierając się do snu, zabezpiecza

się od napaści zdradliwej stworzeń natrętnych i—pod kloszem — piesek szklanny, i maseczka w kształcie ananasa, i baranek, który na wielkanoc prznosił się do święconego, i różne artystyczne motywa, najrozmaitej wykonane...

Pani Paździerska słusznie chlubiła się przyozdobieniem tego pokoju—miała bowiem w urządzeniu go udział największy. Ona z Warszawy przywiozła dwa bukiety kwiatów robionych, stojące na kominie pod kloszami, jej gustem był wybrany zegar bronzowy, na którego szczycie pasterz i pasterka, odegrywali scenę z jakiejś sielanki.

Dywan leżał na podłodze. Zwykle zakładano go, aby się nie pylił, i aby nogi profanów nie ścierały barw jego świeżych. Paździerski jednak wszedłszy, natychmiast go powyciągał, bez względu na stan butów gościa, którego przyjmował...

Sama pani siadła na kanapie, przy haftowanej poduszce, koniecznie wymagając od Olesia, aby zajął przy niej miejsce... Pocztalter huknął przezedrzwi o herbatę, gdyż żony z młodym jeszcze człowiekiem zostawiać sam na sam, nie uważał za właściwe. Był tego przekonania, że jej piękność mogła najstateczniejszego z ludzi obalamucić.

Gdy dwie świece stearynowe, poubierane w kółnierzyki zielone, stanęły na stoliku, Paździerska oczy melancholiczne zwróciła na pana Aleksandra, założyła ręce tak, aby część ich najbielsza tylko oczom była dostępna, zwróciła nań wejrzenie zabójcze i—pozostała milczącą.

Pocztalter siadł w fotelu, okazując iż umie się w nim rozłożyć po pańsku... i zabrał się do rozmowy za dwoje.

— No, co, panowie obywatele—mówicie na tych Zellerów...

— Ale prawda, Zellerów!—powtórzyła żona.

— My, nie mówimy nic, bo nie wiemy tak jak nic—rzekł Oleś.

— To prawda—ciągnął Paździerski—bo my, co tu mieszkamy niemal przez ulicę od nich—a żeby powiedzieć że ich znaleźliśmy. albo że nam się kiedy zamarzyło, iż to tak wyrosnie!—jak Boga kocham. szelma jestem... nigdy!...

— Słowo honoru, nigdy—dodała pani z czarnemi oczyma—nigdy.

— Jednakże państwu oni trochę bliżej być musieli znajomi—rzekł gość.

— Toć. zapewne - mówił poczthalter. czuprynę rozgartując.

Nie można powiedzieć, żeby nie byli ludzie uczciwi, owszem, długów żadnych, zawsze kupowali za gotowy grosz. ale ubogo... Mięso tam rzadko widywało się na stole. W sklepie jak cukru funt wzięli to starczył bodaj miesiąc...

Nikogo nie przyjmowali, nikogo...

— Nikogo!—powtórzyła cicho z czarnemi oczyma—nikogo.

— Ale — choć to tu nikt ich lepiej nie znał z przeszłości—ciągnął Paździerski—ale nikt. nie wyjmując ks. kanonika i jego siostry... to ja, naturalnie z mojego położenia i stosunków - wiedziałem wszystko.

— Wszyscyuteńko!—potwierdziła żona. O już to Karolek... to taki sprytny...

— Nie chwaląc się, proszę pana dobrodzieja, bo cóż to? głupstwo, szelma jestem, chwalić się tam nie byłoby znowu czem—mówił poczthalter — ale tu nikt i nie domyslał się ich historii.

— Więc — jest historia?—zapytał Oleś.

— A jakże... jakże — i ciekawa — uśmiechając się mówił poczthalter... O tem już ludzie zapomnieli dziś, że Zeller służył u hrabiów Z... Miał doskonałe miejsce... Tymczasem, że to był, słyszę, człek do rzeczy i przystojny mężczyzna—tak się zakochał w kuzynce hrabiny, a ona w nim...

W tem miejscu pani Paździerska, ponieważ o kochaniu była mowa, uznała stosownem się uśmiechnąć ku Olesiewi... oczów z niego nie spuszczaając. Poczthal-

ter zaś widząc jak żona bombarduje nieszczęśliwego obywatela, mówił sobie w duchu: — Gotów oszaleć!

Oleś wszakże bynajmniej wzruszonym się nie czuł.

— Słowem — kończył Paździerski — że do tego przyszło. iż hrabstwo go odprawili, kuzynka za niego poszła i tak musieli za tę miłość całe życie biedę klepać. Ot tobie miłość! — dodał Paździerski.

— A już też wygadujesz! — szepnęła żona ujmując się za miłość (co było jej obowiązkiem).

— Trzeba znowu im to przyznać, szelma jestem — mówił gospodarz, iż z sobą na dziś dzień żyli przykładnie i święcie... Więc co ludzie nieświadomi plotą: Zellerowie tacy owacy — a przecież młodych rodzi osoba z wysokiego domu... a no, o tem nikt nie wiedział.

Podano herbatę z cytryną. Przyniosła ją służąca, nie zalecająca się elegancją ubioru, ani staraniem o zbytnią czystość około siebie. Poczthalterowa widząc fartuch zakasany, łokcie obnażone, bose nogi w przydeptanych trzewikach (do których sama słabość miała) dała jej znak aby się wyniosła, co najprędzej... Nastąpiło też to z ogromnem rzuceniem drzwiami.

— Klempa! — odezwała się cicho pocztmajstrowa — ale pozostała spokojną.

Poczthalter, pełen wiadomości, ciągnął dalej nauczające opowiadanie.

— Dzieci, panie dobrodzieju — nie ma co powiedzieć że im się, okrom jednego, udały... ale, właśnie ten wisus ostatni, po którym się nikt nigdy nie spodziewał, aby co z tego było — ten pan Alfred wyszedł na milionera!! Ale się to poczęło okropnie, rodzice mało z desperacyi nie pomarli — ona sama odchorowała i po dziś dzień kawęczy... Chłopiec był zdatny do muzyki aż strach... Myśleli że z niego wirtuoz wyrośnie. Młody jeszcze był gdy lekcye począł dawać... Ojciec hrabiny Maryi — pan wie... chcąc córecę dać edukację osobliwą; wziął go do domu... Co się

tam stało—różnie mówiono—tego już nikt nie dojdzie, czy może co skradł. czy coś popełnił takiego, że go wypędzili... Rodzice go na oczy, szczególnie ojciec, widzieć nie chcieli...

— Nie słyszałeś pan co zbroił? spytał Oles ciekawie. W tem pocztmajstrowa chrząknęła, on sam, ruszył ramionami.

— Co to tam mówić, kiedy nikt nie wie... Znać było że się wstrzymywano—a pan Aleksander nie nalegał.

— Jak poszedł—mówił dalej Paździerski—gdyby w wodę wpadł, ani listu, ani wiadomości. Myśleli że zmarł... Dwadzieścia lat czy coś.

— A pewnie?—wtrąciła pani.

— A tu nagle... wynika jak z pod ziemi... i—bogaczem całą gębą. Co pan na to mówi?

— Dziwuję się—wtrącił Oles, którego paplanie to bawiło.

— I jest czemu kończył pocztalter—bo, szelma jestem—na stu jeden ma takie szelmowskie szczęście.

A no—mówią, że na hamburskiej loteryi wygrał—co najprędzej być może... Pan myśli że bardzo koło niego paradnie? jak Boga kocham, nie. No, pówóz, co się zowie... takiego tu niema...

Osie nalewane oliwą, pakowny... tylko ciężki—ale, sługa jeden, ubranie niepozorne, a on sam... jakby powiedzieć? przypomina zakrystyana od ks. dominikanów w Lublinie. Błady, mizerny. Teraz ciekawość, jak się urządzają. Starzy, słyszę, o ruszeniu się ze dworku i mówić sobie nie dają. Brat profesor powiada, że obowiązku swego nie rzuci. Jest na mieście pogłoska, jakoby siostra najmłodsza, co guwer-nantkuje, ma jechać do milionera na gospodarstwo... a no i to—niepewno.

Dziewczyna roztropna i piękna...

— Jaka ona tam piękna—oburzyła się pocztalterowa—cóż za piękna?

— Ależ przystojna i hoża...

— Gdzie zaś... wcale nie ma nic... tyle że młoda!

Ruszyła ramionami pani Paździerska.

— Pewnie jej do ciebie, żonko kochana porównywać nie będę—odezwał się pocztalter... ale brzydka nie jest.

W czasie opowiadania dopił herbaty pan Aleksander, kilka słów jeszcze zamieniono, piękna pani uśmiechnęła mu się wdzięcznie na dobranoc, i gość, trochę rozerwawszy się widokiem tego szczęścia domowego, zadumany pociągnął do Kurzejpiętki... Wchodził właśnie do zajazdu, gdy się do niego wtoczył powóz, a gospodarz pospiesznie przyszedł mu na ucho zwiastować, że przyjechał ów będący przedmiotem powszechnej ciekawości, bogaty Zeller. Oleś się zatrzymał i zobaczył go wysiadającego... Brała go chęć wielka zabrania znajomości, ale do tej nie było najmniejszego pozoru nawet, a narzucać się komuś z prostą i niedorzeczną ciekawością—pan Aleksander sobie nie życzył.. Pokoje, które zajmowali, przedzielało tylko cienkie przeforsztowanie. Dawny i dobry znajomy pan Henryk zaszedł do Olesia na gawędkę, powtórzył mu raz jeszcze o Zellerze to, co on już z kilku ust słyszał, a że się pan Aleksander trochę wydał z tem, iż radby zrobić znajomość, żyd zaręczył, iż nie ma nic łatwiejszego. Nazajutrz podpisywać miano u p. Zellera dokumenta jakieś tyczące się nabycia i przedłużenia dzierżawy dwóch folwarków, pan Henryk ofiarował się zalecić Olesia, który zgodził się na to...

Zatrzymał się nawet nazajutrz trochę dłużej w miasteczku, niżeli miał zamiar w początku, i około dziesiątej ujrzał wchodzącego do swojego pokoju, surowego dosyć oblicza mężczyznę. prosząc go czyby nie był łaskaw, podpisać mu się jako świadek.

Oleś prosił go siedzieć - i ze zwykłą otwartością zagaił rozmowę.

— Miło mi jest pana poznać—rzekł. Słyszałem o jego losach, bo, domysleć się łatwo, iż jesteś tu

przedmiotem ciekawości powszechnej. Kto tyle doznał i przeszedł, pracował tak szczęśliwie... obudza naturalnie zajęcie. Nasze żywoty wiejskie są jednostajne wszystkie... rodzim się, ziewamy, tracim majtki, narzekamy na ludzi i idziemy spać.

Zeller, któremu i głos i mowa były sympatyczne, uśmiechnął się.

— W mojem życiu—rzekł—jakkolwiek ono zdała się wydaje może awanturniczem, nic nie ma w istocie ciekawego. Z domu uciekłem muzykiem, marłem trochę głodem, pracowałem długo i nudnie, wróciłem dorobiwszy się czegoś i — zostawiwszy za sobą wiek, w którym człowiek szczęśliwym być może; tyle mam pociechy, iż tu rodzinę znalazłem.

To mówiąc uśmiechnął się boleśnie. Oleś wlepił w niego oczy badające...

— Uwielbiam w panu tę cnotę, na której nam zbywa wszystkim—wytrwałość. Tyle lat... Potrzeba było jakiegoś uczucia, celu jakiegoś, idei wielkiej, aby jej najlepsze lata życia poświęcić.

Zellerowi błysnęły oczy, jakby chciał wyrozumieć z mówiącego: czy odgadł co, czy słyszał? lecz Olesia twarz nie wydawała tajemnicy...

— Tak się to może zdawać zdaleka — odparł Zeller—takby być mogło zapewne—ale dla czegoż nie przypuszczasz pan że i nałóg, ta druga natura, mogła mnie przykuć bezmyślnego do tej taczki, którą ciągnąłem. Tłómaczyć się trudno. Pieniądz nagromadzony czyni chciwym.

— Tak, ale ta namiętność raz rozbudzona nie ostyga—odezwał się Oleś.

— W końcu stęschnięm—rzekł odwracając rozmowę Zeller—za domem, za rodziną, za młodością i jej wspomnieniami... Przychodzi chwila takiej tęsknicy ludziom, jak ptakom niepokój, gdy w cieplejsze mają lecieć strony... tak ja tu przywłókłem się, i...

— Myślisz pan zamieszkać na wsi?—spytał Oleś przeciągając rozmowę.

— Prawdopodobnie — rzekł Zeller — pieniądze w ziemi są bezpieczniejsze niż na papierze — cóż robić zresztą? Nie mając celu lepszego, trzeba choć rozrywać się tworząc sobie sztuczne... Starzy naturalnie zbierają muchy i motyle... W Hollandyi widziałem kogoś, co z zapalem kolekcjonował stare obuwie... człowiek coś robić musi.

— Ale wiek pana, nie skazuje go jeszcze na szukanie tego rodzaju rozrywek.

— Jestem bardzo stary — westchnął Zeller — a co gorzej, starym być nie umiem

Prowadząc tę rozmowę, oba nieznajomi badali się wzajemnie i pragnęli poznać. Zellerowi chodziło może o zawiązanie jakiejś znajomości... wśród tej pustyni. Była mu ona potrzebną; chciał się zbliżyć do towarzystwa, wśród którego miał pozostać. Oleś, z całą swą lekkomyślnością był — ciekawym. Dla niego każdy człowiek nowy, przedstawiał się jak zajmujący problemat do rozwiązania. To co słyszał o Zellerze, pociągało go ku niemu. w istocie nie był to człowiek pospolity. miał siłę życie sobie stworzyć wedle jakichś własnych danych. Lecz Oleś lękał się zbliżając nadto do niego, być posądzonym o hołdowanie temu groszowi, którego blask otaczał przybysze.

W ciągu rozmowy, z otwartością rubaszną powiedział mu to.

— Bardzoby mi było przyjemnie zabrać z nim bliższą znajomość — rzekł — ale się lękam, abys mnie nie wziął za jednego z tych, dla których grosz ma urok, i którzy się złotemu cielcowi kłaniają.

— Bądź pan spokojnym — odezwał się Alfred — życie mnie nauczyło wiele, znam ludzi i nigdybym pana o to nie podejrzewał...

Oleś zaproszony został na śniadanie, przy którym zrazu zaważając nieco był dzierżawca, ale ten napiwszy się, zjadłszy, skończywszy interes szczęśliwie, nie łaknął rozmowy i prędko ich pożegnał.

Dwaj nowi znajomi pozostali sami. Zeller choć dosyć długo miał do czynienia więcej z interesami niż

z ludźmi. właśnie u tego kamienia probierczego nauczył się ich oceniać. Oleś mu się podobał swą otwartością—zrozumiał go od razu, bo w nim nie było kryjówek i tajemnic.

Przeciwnie, chociaż Zeller na oko był otwartym, poza pewną granicę w duszę jego dostać się nie było podobna... Coś mówiło, że po za nią leżał kraj nieznany, a ciekawy.

Oleś po kilku wina kieliszkach. stał się rozmownym, szyderskim, zabawnym, i wygadał się, co najmniej zbytecznie, przed Zellerem ze swych nudów, znużenia i poglądów na świat i życie.

— Znajdziesz mnie pan trywialnym — nieprawdaż?—odezwał się w końcu..- Typ takich jak ja ludzi, co się przeżyli i nie wiedzą co robić z sobą. zbyt jest pospolity. Na nieszczęście ja innym być nie umiem.

— Pan powiedziałeś mi —rzekł Zeller—że w moim wieku zawczasie jest zostać kolekcjonistą śmiecia—a ja mu powiem, że w jego latach, możliwą jest jeszcze metamorfoza... Nil desperandum!

— A! ja też, nie rozpaczam bynajmniej—roześmiał się Oleś, chciałbym tylko jakimś haczykiem przyczepić się na nowo do „nawy żywota“ i nie płynąć tak samopas, rzucany bałwanami.

Bardzo zręcznie wszedł Zeller na przedmiot, który go podobno najwięcej obchodził — na społeczność, do której i Oleś należał..

— Ja, chociaż los mnie wśród niej postawił—odezwał się Aleksander—nie poślubiłem jej przekonania, anim się zaślepił na błędy. Śmieję się z moich braci i to mi u nich miru nie daje. Dobre ludziska zresztą, ale my we krwi mamy, żeśmy słabi, siedzimy pod pantoflami naszych pań, naszych wad. naszych, nałogów i lenistwa... Nic tak bardzo ciekawego...

Sąsiedztwo, bądź pan pewien, przyjmie otwarte-mi rękoma tego, który miał za co kupić klucz Owsiniński.

— Znasz pan pana Wilskiego? — zapytał Zeller.

— Jest to mój kuzyn blizki — odparł Oleś. Świeżo stracił żonę... Człowiek dobry, ale nie mocniejszy od innych... ani od innych gorszy...

Po Wilskim w lekkich zarysach przeszli znaczniejsze osoby, i domy... zgadzało się i o hrabinie, o której Oleś zamilczał, aby nie powiedzieć mimowoli zanadto.

W końcu Zeller zapytał otwarcie nowego znajomego. czy mu wypadało oddać wizyty sąsiadom.

— To zupełnie od was zależy — rzekł Oleś. Chcesz żyć z nimi? czy nie?

— Nie myślę się wyłączać — odpowiedział Zeller — ale nie chciałbym się narażać na ukaranie za zbytnią grzeczność.

— Oto możesz pan być zupełnie spokojnym — mówił Oleś. — wszyscy niemal przyjmą go rękoma otwartymi, a ponieważ ja pierwszy miałem przyjemność się z nim zetknąć, jeśli mi pozwolisz sobie służyć. Przyjmę chętnie obowiązki introdyktora. Nie mam co robić!

— Przyjmuję chętnie jego pomoc — podziękował Zeller, ale gdy, choć cokolwiek dom urządzię...

— Szczęśliwy człowiecze! — rzekł Oleś, — masz dom do urządzania! To tak jakby artysta miał obraz do malowania... Co za wysmienita rozrywka...

Strona artystyczna, strona utylitarna, strona zwyczajowa, i wybryki fantazyi... rachunki kieszeni, wszystko to może zająć, zaprzętnąć, rozgrzać — a czegoż człowiekowi trzeba więcej nad to, by mu życie się stało znośnem...

Zeller był dosyć milczący, choć ta rozmowa jednostronna; podsycana głównie przez Olesia, trwała dosyć długo; rozstali się wreszcie, najlepszymi — znajomymi i z obustronną skłonnością do przedłużenia stosunków... Aleksander musiał wreszcie jechać do domu... miał też więcej do mówienia z samym sobą, niż z Zellerem. Od ostatniej bytności u hrabiny,

zblizenia się do Julii i do francuzki, był jakby w niezgodzie z samym sobą... Stary człowiek walczył w nim z chcącym się odrodzić.

Od lat kilku, po niefortunnym romansie z pewną panią, który się skończył jakimś okropnym zawodem, Oleś życie brał po desperacku. rujnował się zimną krwią, do niczego nie przywiązywał wagi, wałęsał się—nie żył. Julia go rozbudziła z tej odrętwiałości, potrzebował się skupić w sobie, zbadać serce i zapytać samego siebie: czy na nowo życie rozpoczynać będzie zdolnym... Lenistwo jego odciągało—urok miłości młodej dodawał odwagi, ale szala się na żadną jeszcze stronę nie przechyliła. Chciał ratować Julię i ostudzał się tą myślą, że ona aby być uratowaną tylko, rzucała się ku niemu.

Wierzył i wątpił. Tak młoda istota, mogłaż być tak przebiegłą?

Stało się z nim w końcu, co się dzieje zwykle, gdy dla człowieka co się wyrzekł sercowych dramatów, nadzieja przeżycia jeszcze jednego się otworzy... Im więcej myślał, tem się silniej czuł pociągnioutym ku Julii.

Trzeba było plan ułożyć, starać się poznać ją bliżej, przedsięwziąć pewne kroki... Potrzebował Wilskiego, i trochę ufał jego pomocy. Nie życzył sobie tłuc okien bez potrzeby, gdyby się drzwiami wejść udało. Postanowił więc poznać Julię, starać się o nią otwarcie, prosić o jej rękę, a gdyby mu ona, wbrew jej skłonności i jego, odmówioną została—naówczas—lecz dopiero naówczas rzucić się, bodaj do najostateczniejszych środków...

W tym stanie całkiem nowym, od którego był odwykł dawno.—Oleś znalazł się w swoim pustym domu, sam jeden, mając czas dobrze określić i obmyśleć program przyszłego postępowania.

XI.

O małą milę od Parzygłowów, w dębowym lesie, rosnącym na wzgórzu gliniastym, które się spuszczało ku zielonej łące, nadrzecznej, na skraju malowniczej dąbrowy. podszytej miejscami gęstą leszczyną i kaliną—stał wśród ogrodzenia porządnego stary domek. otoczony prostymi gospodarskimi zabudowaniami.. i patrzył ztąd na piękny krajobraz żyznej okolicy. Przedzieloną tylko łąką, płynęła u stóp jego rzeczka spora. która się dalej z Wieprzem łączyła... Drngi brzeg, mniej od pierwszego wzniesiony, lecz niezbyt jednostajnie płaski, zamykał horyzont widokiem na wsie. ogrody i dwory .. Z pośrodku starych lip widać było starszy jeszcze od nich kościółek...

Patrząc na ten domek zdala. nie jeden pomyślał, że nie wiele pragnącemu człowiekowi otulonemu lasem w téj zagrodzie. żyć mogło być bardzo miło, cicho... spokojuie, szczęśliwie.

Zdala obok dworku z gankiem o dwóch białych słupkach. widać było stodółkę, stajnię, i ku słońcu obróconą, a ocienioną od północy pasieczkę.. Wrota stały zaparte, a od nich żółta dróżyna po nad łąką biegła biegiem kiedyś do wielkiego gościńca.

W Parzygłowach wiedzieli wszyscy. że na tej ustroni mieszkał dziwak, rodzaj dobrowolnego pustelnika, stary łowczy Okoszek... Mało go kto widywał. chyba na wielkie uroczystości w kościele. albo zdala. z książką wygrzywającego się na słońcu, przed swoją chatą, której broniły dwa. lepiej od Okoszki znane okolicy, ogromne psy, złe i napastujące ludzi. do wilków sierścią podobne. Były to stróże tej ustronnej

chaty, w której z jednym parobkiem i jedną starą służką zamieszkiwał pan łowczy.

Nikt tak od życia ogólnego okolicy, od wszystkich klass społeczeństwa nie był oddzielonym, tak obcym światu, jak ten człowiek.

Zdawał się zupełnie ludzi nie potrzebować i nie wiele ich cenić, co tem było dziwniejszem, iż z tradycji wiadano, że w stolicy dawniej mieszkał, czynnym był w wielu sprawach publicznych, ocierał się o ludzi wysoko stojących, a potem nagle, jakby do rozpaczy jakiejś milczącej przywiedzony, knpił sobie kawał gruntu i na nim się zamknął, dając światu za waletę...

Świat też, który łatwo zapomina o tych co mu służyć przestają—obszedłszy się bez pana łowczego Okoszki, nie wdzierał się do pustelni jego. Od kilkudziesięciu lat trwała ta rekluzja z psami, starą gospodynią, rodzajem automatu, i parobkiem, którego głupota, ociężałość i ślepe posłuszeństwo, nigdzieby tak jak tu cenione nie zostały. Nie wiele było roboty... dopatrzyć parę koni, zajrzeć do pasieki, trawy ukosić, na jednym z podjazdów tłustych oklep pojechać do Parzygłowów po sprawunki, wody przynieść i wyklócić się z głuchą gospodynią...

To były zatrudnienia Bartka..

Łowczy Okoszko. prowadził życie bardzo regularne... Wstawał rano, odbywał ablucye staropolskie, jadł śniadanie, jedną ze starych swych ksiąg czytał... wychodził na przechadzkę w las z jednym z psów, lub do pasieki... jadł obiad uwarzony dla ich trojga przez starą Kachnę... przechadzał się jeszcze, czytał znowu, patrzył z ławy na okolicę... a wieczorem w milczeniu przesiedziawszy jakie parę godzin, szedł na spoczynek.

Było to życie kontemplacyjne, w ciągu którego mógł Okoszko zapomnieć mowy, bo się rzadko do Bartka odzywał, nigdy do gospodyni, z tą mówiąc na migi, najwięcej rozmawiał ze psami swemi—Żmiją i Zbójem... Zwykle ci dwaj wierni jego towarzysze,

siedzieli przy nim w ganku, chodzili z nim na przemiany w las.. i zdawali się go doskonale rozumieć. Gdy do nich mówił, patrzyły mu w oczy, niekiedy pomrukując, jakby dawały poznać że go rozumiały.

Jeżeli zrana wziął z sobą do lasu Żmiję, Zbój wiedział, że kolej jego po obiedzie nastąpi. Mieniali się nie potrzebując oznajmienia — a nocą oba byli na czatach...

Nie wybiegały one poza ogrodzenie nigdy. lecz ktoby się bez pozwolenia miejscowej zwierzchności, chciał wdrzeć w ich dominium, nie wygodną by z nimi musiał mieć rozprawę. Jak tylko podróżny zbliżał się do płotu, były już na czatach, i warcząc zęby pokazywały.

Poza domem, na przechadzce, Żmija i Zbój były łagodne. nie zaczepiały nikogo, ale do pana zbliżyć się nie dawały, chyba by na to dał wyraźne pozwolenie. Z jednym z nich mógł bezpiecznie Okoszek wędrować po lesie, lepiej jak ze strzelbą.

W domu było czysto — ale niezbyt zapaśno... Sprzęty chłopskie. wśród nich para tylko wytworniejszych z dawnych czasów. kilkadziesiąt ksiąg starych... trochę powszednich rupieci, para sepetów i szaf... Ściany wybielone. podłogi myte. piece proste — i całego państwa dwie izby z alkierzem do spania, a naprzeciwko kuchnia, czeladnia i spiżarnia.

Nie będąc bezbożnym, bo do kościoła jeździł w święta. łowczy nabożeństwem się samem w swej pustelni nie zabawiał.— Krótką z rana i wieczorem odpawiwszy modlitwę. czytał w swych księgach albo medytował. Rzadko kiedy na parę dni udawał się do Lublina.

Oprócz ksiąg w sypialni, były stosy papierów powiązanych sznurkami, które czasem wertował pilnie.

Człowiek tak oryginalny, nie mógł ujść ciekawych oczu ludzkich.—Mówiono o nim i jego przeszłości wiele, lecz podania były sprzeczne. Jedni utrzymywali. że coś zbroił i pokutował, drudzy, że ludzie

mu tak za skórę zależli, iż ich znienawidził; inni kiwali głowami i dawali poznać, że w tem była jakaś tajemnica, o której albo nikt lub oni tylko sami, jedni w świecie wiedzieli.

W tych czasach, gdy ojciec hrabiny Maryi mieszkał jeszcze w okolicy — bardzo często bywał on u Okoszki, gdyż rodzoną siostrę jego miał za sobą. Jedynym wyjątkiem nawet był ten szwagier — mający pozwolenie mu się naprzykrzeć, a Okoszek siostrę i nim tak się zajmował, że w pewnych wielkich jakichś potrzebach, dla narady — sam u nich bywał... Od czasu jednak jak z muzykiem stała się historia — a potem pannę Maryę cudem za hrabiego wydano... Stosunki się zerwały zupełnie.

Hrabina nie tylko że nie bywała u wuja, ale nie wspominała o nim, jakby się go zupełnie wyparła. On też nie znał jej wcale. Trwało to już bardzo długo.

Ludzie od niepamiętnych czasów mieli pustelnika za bogatego i skąpego człowieka. Najprzód psy w tem przekonaniu utwierdzały, które tylko dla obrony skarbów mogły być utrzymywane, powtórę Okoszek za wszystko płacił gotówką, i nigdy nic od nikogo nie potrzebował. Sprzedaż miodu, jakkolwiek pszczoły się wiodły, wiele czynić nie mogła, innych zaś dochodów nie miał z gruntu.

Życie było ubogie, proste, ale wygodne. Żyd powiadał, że wino nawet sobie stary kupował. Dla ludzi było zawsze mięso, a dla psów nogi baranie u rzeźnika w Parzygłowach, raz na zawsze zamówione. Konie spaśle ledwie chodziły... zwłaszcza że ich nie bardzo nżywano.

Na wielkanoc ksiądz kanonik, u którego bywało święcone dla szlachty okolicznej, bo ciasto siostra mu piekła, a mięsiwa i zwierzyny dostarczali parafianie, zwykle zapraszał na jajko i pana Okoszkę... Łowczy się nie wymawiał, spędzał tam pół godziny, rozmowę prowadził tak jak inni ludzie, można go było wziąć za cale pospolitego człeka — nie dziczył się, nie spierał

o nic. od ludzi nie odwracał, ale—byle kto tknął jego sposobu życia... i t. p., wynosił się milczący.

Ci co go u proboszcza widywali, opisywali starca jako krzepkiego. więcej niż średniego wzrostu mężczyznę, osiwałego, z twarzą kościstą i pomarszczoną, ze spływającym wąsem... z oczyma siwemi, wpadłemi pod kości... poważnego obyczaju, wcale nie uniżającego się i trzymającego zdala o ile możliwości. Na święconem, ledwie kanonik z nim coś więcej mógł pomówić. zwykle go dopytując o pasiekę... inni nie wiedzieli jak go zaczepiać.

Przez bardzo długie lata zerwane stosunki z hrabiną Maryą, siostrzenicą rodzoną—ludziom tak z pamięci wygluzowały pokrewieństwo, iż nikt go się nie zdawał ani domyslać... Bardzo już dawno, ktoś niezręcznie raz o tem był napomknął hrabinie, która się mocno zarumieniła i zaparła wszelkiego powinowactwa. W jej własnym domu, dzieci nie wiedziały o tem. Można się z tego było domysleć, że pochodzenie owego łowczego, zbyt skromne, domowi hrabiów zaszczytu by nie przyniosło.

W czasie swoich wycieczek do Lublina. ci co śledzili przez ciekawość Okoszkę, nie mogli się dobrać, co się tam z nim działo. Zostawił konie w gospodzie, sam wychodził na miasto i ginał w niem. włócząc się gdzieś po kątach; wycieczki te prawie regularnie raz co miesiąc się odbywały. Bryczkę zaprzęgano do dnia. psy już wiedziały o co idzie i nie napierały się towarzyszyć panu... przeprowadzały go tylko do bramy. Nazajutrz siedziały przeciwko wiatru pociągając nosami, i wiedziały na pewno, o której wróci godzinie.

Stara Kachna i Żmija z Zbójem starczyły na dopilnowanie dworku.

Po powrocie Zellera młodego—właśnie wypadła jedna z tych wycieczek panu Okoszcze, który z niej wrócił chmurniejszy niż zazwyczaj i przez cały dzień następny chodził niespokojny, dopóki się nie ukołysał, wracając dopiero drugiego dnia do swoich książek

i rozmowy z psami, oglądania pszczół i przechadzki w lesie.

Szło tu życie trybem zwyczajnym. gdy jednego wieczora, powóz małą drożyną nadciągnął przed sam dworek i tu się zatrzymał, w pewnem od niego oddaleniu... nie zwracając do wrótek. Psy, które w ganku leżały, natychmiast się porwały i ujadać zaczęły okrutnie. Z powozu wysiadła zakwefiona kobieta i, zawahawszy się nieco, powolnym krokiem zaczęła się zbliżać ku dworkowi. Tu się tak żadnych odwiedzin nie spodziewano, że Bartek się nie ruszył z drewni, aby psy pohamować i o gościu się dowiedzieć.

Szczęściem w ganku siedział sam Okoszek. i dojrawszy że ktoś idzie drożyną, zszedł powoli ku wrotom,— oparł się na nich, a psom nakazał milczenie. Siadły po obu jego bokach, oczekując i mrużąc.

Kobieta zbliżyła się aż pod wrota same—spojrzała i odezwała głosem nieśmiałym.

— Pan łowczy?

— Ja nim jestem... do usług — rzekł sucho Okoszek.

— Prosiłabym o chwilę rozmowy?

— Jeśli wolno wiedzieć w jakim przedmiocie? — spytał pustelnik — bo ja interesów nie mam, a w cudze się nie wdaję.

— Jestem Marya. hrabina Turska.

Łowczy zdjął z głowy kapelusz słomiany.

— Cóż tu panią hrabinę sprowadza? po latach dwudziestu i kilku... zupełnej indyferencji...

— Nie z mej winy... pan łowczy pragnie samotności...

— A tak! alem jej i w tej chwili nie przestał pragnąć.

— Przyjęcie nie zachęcające — odezwała się hrabina nieco szydersko — byłam go pewna...

— Po cóż było jechać? — spytał Okoszek.

— Bo pan łowczy jeden poradzić mi możesz?

— Przepraszam, ja radzić nie myślę... i — nescio vos! waszego hrabstwa, waszych interesów... wszyst-

kiego co wasze jest—nie znam i znać nie chcę. tak jak wyście mnie nie znali i nie słuchali.

Psy słysząc głos podniesiony gospodarza. mrućce zaczęły, nakazał im groźne milczenie.

Nie zniższana przyjęciem tem hrabina... pomilczała chwilę...

— Człowiek—rzekła—który był przyczyną nie-szczęścia w domu moich rodziców, powrócił po latach dwudziestu w te strony... Pan wiesz o kim mówię.

— Domyślam się—spokojnie odparł Okoszek.

— Ośmielił się być u mnie... dwa razy... prawie z groźbami—dodała hrabina. w której głowie guńew znać było. Ja się go boję.

— A—i ja—i ja!—rzekł łowczy.

— Ale pan. lubiłeś go dawniej—wstawiałeś się za nim, masz u niego zaufanie... mógłbyś.

— Daj mi pani hrabina pokój—przerwał łowczy. Dla czego ja miałbym sobie spokój truć, aby wam interesa naprawiać? Między mną a wami nie ma oddawna żadnego stosunku. Jam się za nim nie upędział. a wyście go zerwali. Ja należę do świata pospolitych ludzi, jakich pan Bóg stworzył. wy do tych, których wyrobiła wasza cywilizya. co się sądzą czemś lepszem. wyższem, doskonalszem.

Dawajcież sobie rady bez nas, moja pani...

Hrabina słuchała stojąc, widocznie oburzona na gbura, który najmniejszej do tego nie przywiązywał wagi. Mówił dalej tak. jakby sam do siebie, albo do Żmii i Zbója.

— Wy macie swoje osobne prawa exystencyi. swój obyczaj. serca osobne,— wy nie chcecie być ludźmi, tylko arystokracją, kwiatem... a my jesteśmy według was, łodygą podłą... choć ta łodyga was wydała. Nie uciekajcież się do niej ani po soki żywotne. ani podporę. Ja jestem prosty człek, dla którego nie istnieją tylko ludzie jednakowi... Uchowaj Boże stosunku. nie uszanowałbym ani waszego hrabstwa. ani tych sentymentów, z jakimi chama byście bili w skórę, a wisielca tytułowanego bronili. Dajcie mi pokój.

— Pan łowczy jesteś na nas — na mnie zagniewany—odezwała się hrabina—ale ja, wszedłszy w dom i towarzystwo, wymagające pewnych ofiar. musiałam je uczynić... Czyż to wina? ja...

— Ja się na asanię, moja pani hrabino—odparł łowczy—nie gniewam. Mylisz się... bo ja się gniewu w samotności odczyłem, gniew jest zawsze głupi...

Ja się lituję nad wami... A tak jak, z pozwoleniem, w smrodzie nie mogę siedzieć, tak z wami życia unikam... i po wszystkim.

— Przyjemne rzeczy przyjechałam tu słyszeć—szepnęła powoli hrabina. czyniąc ruch jakby odchodzić chciała.

— Nie można się było niczego innego spodziewać od takiego gbura jak ja—odezwał się Okoszek.— Człowiek jestem prosty. bez wykwintnego wychowania, zdziczały, satyra rodzaj, co z lasu wyszedłszy nie umie tylko prawdę obrzydlą w oczy rzucać. Pochlebiać nie mam powodu. kłamać tem mniej. Byłoby grzechem.

— Przecież pan łowczy, widząc się z tym człowiekiem—hrabina widocznie unikała jego nazwiska—możesz mu powiedzieć, że nic nie zyszcze prześladować mnie... możesz go zreflektować.

— Nie mam zwyczaju ludźmi chcieć kierować. nie mam tego zwyczaju—rzekł Okoszek.—każdy idzie jak chce i odpowiada za to co robi, każdemu należy wolną wolę zostawić. Ja gdy idę do lasu. nie lubię żeby mi Żmij lub Zbój pokazywał kędy mam iść.—Ja nikim nie kieruję, i dla tego nie pozwalam aby mną kierowano...

Hrabina wzburzona coraz bardziej, odwróciła się.

— Prawdziwie—zawołała—że podobnego przyjęcia... godną byłam, udając się tu. nie wiedzieć po co, z przekonaniem że obudzę jakieś zajęcie i zyskam współczucie!!!

— Czem, dla czego?—spokojnie rzekł łowczy, ciągle oparty o wrotka i niezmieniający swobodnej postawy.

Dla tego że nosisz tytuł hrabiny? że dwadzieścia lat zostawiłaś mnie w spokoju? że ja jestem kapotowy biedak, a ty pałacowa jasnie wielmożna? Cóż tu może obudzić współczucie? stary romans, któryby się rado ukryło? czy niewinność wasza, w którą ja nie wierzę?

— Choćby sława moja dobra — i dzieci moich przyszłość — wyrwało się hrabinie, w której głosie czuć było płacz gniewny.

— Na dobrą sławę trzeba pracować—a dzieci za rodziców nie odpowiadają — rzekł nienubłagany łowczy... Co mnie do was? co wam do mnie? Jakeście sobie ślali, tak się wypijcie.

Na te słowa nie odpowiedziała już oburzona w najwyższym stopniu kobieta, rzuciła się gwałtownie i nie żegnając nawet, śpiesznie zaczęła iść ku powozowi. który czekał na nią opodal na drodze. Siadła do niego i potoczył się szybko.

Łowczy stał jeszcze wsparty na wrotach długo, spoglądając spokojnie na okolicę, nie poruszony bynajmniej, zamyślony tak, jakby go nic nadzwyczajnego nie spotkało. Przynajmniej na jego twarzy nie widać było najmniejszej oznaki wzburzenia. ożywienia większego jak zwykle... Żmij i Zbój patrzyły mu w oczy pilno, czekając rychło się ruszy ku gankowi, bo nie nawykły były widzieć go na wrotach stojącego tak długo... Zbój nawet pozwolił sobie parę razy szczerknąć niewinnie, jakby go chciał obudzić z zadumy i przypomnieć, że miejsce jego wieczorem gdzieindziej było. Już powóz znikł i mrok padać zaczynał, gdy Okoszek poruszył się z miejsca wolno i począł iść ku gankowi. Żmij i Zbój w tejże chwili podniosły się znowu, aby go wyprzedzić, skoczyły wesoło, po drodze parę razy chwyciły się za karki swawoląc, i gdy łowczy doszedł pod ganek, czekały nań na górnym wschodku łaszcząc się oba, każdy do innej ręki. Poglądził ich po czołach i psy po-

szły na legowiska, a on siadł na swej ławie, tam gdzie wyslizgane dobrze miejsce, długoletnich chwil spoczynku było pamiątką.

Bartek milczący ukazał się w sieni z miską— i stanąwszy w progu—dał znak do wieczerzy.

Okoszek, jak gdyby nic wcale nadzwyczajnego w życiu jego nie zaszło, poszedł za przewodnikiem do pierwszej izby, gdzie, na grubej serwetce... leżał chleb razowy i sól—stała woda... Miska jakiejś potrawy i czarny chleb, stanowiły całą wieczerzę.

XII.

Przez dni parę pan Aleksander pozostał w domu, ciągle się bijąc z myślami i uczuciami, gdy jednego rana odebrał kartkę od Wilskiego, zapraszającą go do siebie. Pojechał natychmiast.

W domu okrytym żałobą, cicho było i smutno, dzieci powierzone ochmistrzyni nie pokazywały się; Wilski był w swoich pokojach, z których nie wychodził. Oleś znalazł go mocno czemś zaprzątniętym, niespokojnym, roztargnionym, ale kuzyn mu się nie wypowiadał z tego co go trapiło, ani po co go wezwał. Wilski nie był otwartym z zasady... dyplomatyzował życie całe, choć mu to na dobre nie wychodziło. Było w naturze jego nikać szczerych wywnętrzeń i spowiadać się z prawdziwych do czynu pobudek. Oleś, znając go, wiedział, że dopiero „w przypisku“ dowie się po co go zawołano.

Wilski tłómaczył się naprzód tęsknotą jakiej doznawał, potrzebą rozrywki, towarzystwa.

— Nie uwierzysz, jak mi w domu teraz pusto i tęskno.

Prawda to wielka, choć spowszedniała, że się nie ceni dobra, aż się je utraci. Moja nieboszczka, tak cicho siedziała w swoim kąciku, tak mało ją slychać było w domu—a przecież—tak jej tu teraz brak!

Oleś zmilczał, pocieszanie zupełnie mu było wstrętliwem—nie umiał tego... Wiedział, że to na nic się nie zdało... a zmuszało, najczęściej do kłamstwa.

— Ponieważ, kochany mój Oleszku — kończył Wilski—sam się powinienes był tego domysleć, żeś ty mi potrzebny i sercu najbliższy.. powinienes był u mnie siąść i siedzieć —przez miłosierdzie.

— Ale ja ci się, do licha na nic nie zdałem—odparł Oleś,—najprzód zem sam w humorze piekielnym, nie wiem czy z gorąca, czy z golizny, powtóre—ty wiesz—ja nie mam ducha kondolencyjnego, a język mam niepocziwy.

— I to właśnie by mnie od tych dum moich oderwało!

To mówiąc uściskał go.

— Powinienes mnie żałować—bom doprawdy—bardzo biedny—dodał.

— Wierz—że mi, że ja szczerze boleję nad twoim stanem—odezwał się Aleksander... ale gdzie ratunku niema... trzeba mieć mężtwo... Na tem kończę...

W istocie rozmowa się zerwała i przeszła, na inne powszedniejsze przedmioty... Dano do stołu... jedli osobno w pokoju Wilskiego, mogli mówić swobodnie, nie było nikogo więcej.

— Byłeś n hrabiny?—zapytał Oleś.—Wilski zakłopotany zmilczał—ręką postukiwał o stół i patrzył przed siebie bezmyślnie...

— Otóż nie byłem — odezwał się. Wiem że to złe... ale—nie mogłem...

Milczeli jakiś czas...

— Powinienem być być u niej — dodał — a przyznaję ci się — odkładam, zwłóczę... tak mi to ciężko...

Wstał od stołu Wilski, i zbierając się widać na szczerze wyznania, długo ociągał z niemi. Coś go od nich wstrzymywało, choć duszenie potrzebował się wypowiadać.

Stanął potem przed Olesiem i popatrzawszy nań, rękę mu podał do uścisku.

— Ja cię kocham i ufam ci — odezwał się. Między nami mówiąc... to stosunki moje z hrabiną, dziś, więcej niż kiedy, wymagają oględności...

En tout bien. tout honneur (tu się mocno zakrztusił) — byłem zawsze grzecznym i czułym dla pięknej hrabiny, za życia kochanego mojego hrabiego, i po jego śmierci, ale — nie myślałem o żadnej konkiecie..

Oleś uśmiechnął się, począł bębnić palcami po stoliku i wtrącił.

— Przedmowa mi nie potrzebna — mów odrazu... o co idzie.

— Boję się czy hrabina nie wyobraża sobie że ja.. jestem w niej zakochany...

Oleś kiwał głową — Wilski zmilczał trochę.

— Mów dalej — rzekł a bądź szczerzym... słowo ci daję, że ślepy nie jestem, a no gdzie trzeba udawać ślepego — umiem... Mów, jakbyś z sobą mówił, nie ze mną.

Wilski się zarumienił.

— Vous êtes méchant — rzekł.. tegom się po tobie nie spodziewałem.

— A ja po tobie. takich kołowań. gdy sami z sobą mówimy na osobności.. ale — kończ... Czy chciałbyś uniknąć spotykania z hrabiną? trochę ostudzić dawne stosunki?

— Coś nakształt tego — przebaknął nareszcie Wilski — ale mnie dobrze nie rozumiałeś. Hrabina jest ładna, jest na swój wiek, bardzo nawet piękna, miła, ujmująca, niebezpieczna... Łatwo teraz, owdowiawszy, mógłbym się dać wzięść za serce i...

— I ożenić?—dodał Oles, patrząc mu w oczy.

— A, między nami mówiąc—kończył kuzyn—mam dzieci, obowiązki... i nie chciałbym, ratując ją zgubić siebie. Jej interesa są wstanie oplakany,—wiele już dla utrzymania ich od ruiny zrobiłem, tak wiele, że więcej mi nie podobna. Rozumiesz mnie?

— Chciałbyś się wycofać—mruknął Oles.

— Jeżeli nie wycofać—to przynajmniej nie iść dalej.

— Więc coś zamierzasz?—pytał Aleksander...

— Przynajmniej trochę unikać zbytelnego zbliżania.

Tu westchnął.

— Widzisz, mój Olesiu, mój drogi Olesiu, dawniej bywałem często, nadto może, nie zwracałem uwagi na to, byłem żonaty, dziś, rzeczy się zmieniły —muszę baczyć na każdy krok mój.

Oles, który jeszcze siedział u stołu, nalał sobie kieliszek wina, wypił go, dobył cygaro, poczał około niego gospodarzyć, dłużyć, obcinać — głowę kręcić, i zwlekał z odpowiedzią. Wilski czekał na nią milczący.

— Cóż ty na to?

Nie było jeszcze odpowiedzi.

— Cóż ja mogę powiedzieć—wyrwało się narazcie spytanemu—na to co jest ze wszech miar rozsądnie i politycznie obmyślane? Czyń jak uważasz lepiej...

— Znajdujesz że moje uwagi...

— Zupełnie są—correctes — dodał Oles,—mówi przez ciebie zdrowy rozum i bardzo piękna kalkulacya —której ci zazdroszczę. A że serce jest osądzone jako najnieodolniejszy z rachmistrzów, i że ludzie poważni do czynienia z tym dudkiem mieć nie powinni—pochwalam, że się go w tym wypadku wyrzekasz i zarzucić...

— Serce —mój drogi, ustąpić musi, gdzie są obowiązki—sentencyonalnie—rzekł Wilski.

— Ale — ani słowa... Jeżeli o tem niema nic w Mejdingerze, to chyba się zapomniał — rzekł Oleś, — stara prawda.

— Nie żartuj, proszę cię! — niecierpliwie zawołał Wilski, którego spoważniałe nadmiarę oblicze Olesia, zaczynało drażnić, — mów seryo i otwarcie.

— Ale kochany mój — odparł Oleś — nie mogę otwarciej być z tobą jak ty ze mną. Mierzę ci miarką, jaką mi ty odmierzyłeś.

Wilski potarł włosy i począł chodzić milczący ręce włożywszy w kieszenie...

— Jeżeli ci o to szło — odezwał się w końcu Aleksander — ażebym ja twoje postępowanie aprobował, przyciskam na niem pieczęć mojego uznania... Masz słusność! Stój z dala od hrabiny, znając swą słabość — to najbezpieczniej.

Wilski nie był konkluzją zadowolony.

— Gdybyśmy na pierwszy raz pojechali do hrabiny? bąknął cicho, stojąc u stołu, o który Oleś oparł ty oburącz, palił cygaro...

Roześmiał się dobrodusznie pan Aleksander i głową potrząsnął.

— Myślisz w zasadzie dobra — rzekł — ale w wykonaniu znać nowicyusza... Nie. — Trzeba to inaczej ułożyć, chceszli aby przezroczystem nie było. Ty jedź do hrabiny, .. umówmy się o godzinę — a ja daję ci słowo, że nadjadę nie dalej jak w kwadrans. nic o tobie nie wiedząc. Będiesz niewinny, nic ci to u niej nie zaszkodzi, na barki natręta zrzucić wszystko... a ja — choćby mi nosem krzywiono najwyraziściej, dosiedzę do twego odjazdu...

Nie chciało się zrazu Wilskiemu przyjąć wniosku, w którym czuć było, że został odgadnięty aż nadto, ale był mu bardzo dogodny...

Pomyślał niby chwilę i rzekł.

A no — kiedy chcesz — to dobrze.

— Jutro?

— Zgoda, o której?

— Czekam byś naznaczył, zastosuję się.

Umówiono się na godzinę poobiednią... Oleś odjechał, rozstali się serdecznie. Wilskiemu już może nie szło o to, że był zrozumianym, byle nie potrzebował się przyznawać.

Nazajutrz hrabina siedziała w tym samym fotelu w salonie, sama jedna z książką, podparta na rękę, stokroć smutniejsza niż wprzód, gdy stary kamerdyner, wiedząc jaką jej tam uczynił przyjemność, po cichu wszedł oznajmując, iż — zdawało mu się, że powóz pana Wilskiego i jego konie poznał w alei.

Hrabina się zarumieniła nieco. zerwała z krzesła. i pobiegła do swego pokoju, zobaczyć w zwierciadle, przygotować na przyjęcie tak długo oczekiwanego gościa.

— A! nareszcie! — mówiła do siebie poruszona. Nareszcie!... Włosy przyczesła gładko, przybrała fizygnomię smutną, poważną... wróciła raz i drugi do zwierciadła, jak do doradcy, i ściągnęła nieco wyjszcie do salonu, choć Wilski już w nim czekał na nią.

Naostatek wysunęła się z bijącym sercem, ale krokiem powolnym, z półśmiechem melancholicznym, i otworzywszy drzwi. ujrawszy stojącego Wilskiego, na którego twarzy malowało się pomieszanie, żywo wyciągnęła mu rączki obie, patrząc natarczywie w oczy.

— Mój drogi... przyjacielu! mój biedny przyjacielu... W milczeniu przeszli tak trzymając się za ręce do krzesła. Hrabina siadła pochylona ku niemu... rozczulona... On — milczał... Położenie było tak drażliwe, iż bodaj w tej chwili nie liczył minut, które pozostawały do przebycia, nimby się Oleś obiecany zjawił.

Lecz — cicho było dokoła. Hrabianka Julia... z St. Flour — znajdowały się na górze. Ks. Maryan spał w krześle w pokoju w oficynach, a hrabia Emil prowadził w stajni zajmującą rozmowę z fornałem o wiejskich pięknościach, których przymioty były Maćkowi doskonale znane.

Hrabiance Julii dostarczała teraz matka. także mnóstwo ascetycznych książek, dogadzając jej mniemanemu usposobieniu, iż całe stoliki zarzucone niemi były. Odprawiała ją ciągle do tej upodobanej lektury...

— Ale—proszę cię—ja wiem że ci to robi przyjemność... możesz się niekryć przedemną. Hrabianka Julia żadnej z tych książek nie otwierała nawet, lecz na górze z niemi znaczniejszą część dnia trawić musiała.

Bez obawy więc, aby im ktoś rychło przerwał to. upragnione „w cztery oczy,“ hrabina mogła rozłożyć zawczasu rozmyślaną akcyę swą. na ofiarę, której się doczekała. według pewnego stopniowego systemu. Milczenie poprzedzić miało pierwsze wylanie serc.. Wzdychała patrząc na Wilskiego, który się zmieszał widocznie, przysłuchując czy Oleś nie jedzie. Obračował że roztargniony, mógł się o godzinę omylić, mogły go ponosić konie, złamać się bryczka.

Ja tak dawno, dawno, czekałam na ciebie — wyglądałam stęskniona. Wiedziałam że serce twoje potrzebuje pociechy... chciałam z nią pośpieszyć... Po całych dniach wyglądałam... liczyłam godziny...

— Byłem tak zajęty, związany...

— A! ja to pojmuję... ja tego za złe nie mam, żeś się nie uciekał do mnie... ale byłam tak niespokojną... Wilski też zaczynał być niezmiernie niespokojnym, Olesia ani było słyhać, rozmowa przybierała zwrot niebezpieczny.

Szczerściem, pan Aleksander był słowny, oprócz tego własny interes pędził go tutaj, i lekki tentent zdaleka... poczynął rosnąć. Na twarzy hrabiny odmalowywał się coraz większy niepokój, brwi się marszczyły, łagodny wyraz zmienił się na usposobienie gniewliwe.

— A! mój Boże!—zawołała—otóż w takiej chwili dla mnie drogiej. jakiś natręt...

Scisnęła ręce Wilskiego naprędcę. Oleś już był we drzwiach.

Hrabina nie lubiła go nigdy, ale w tej chwili, byłaby... rzuciła się nań, gdyby mogła. Oleś wchodził z tą fizyognomią flegmatycznie znudzoną, obojętną, jak zawsze; przyszedł powitać hrabinę. zdziwił się niezmiernie, zastawszy tu Wilskiego. i siadł, przysuwając się blisko, z wielką troskliwością wypytując o zdrowie pani.

Tymczasem z okna pokoju St. Flour dostrzegła ona i poznała konie Olesia, i pędem wbiegła do Julii, która siedziała zadumana w kątku.

— Oleś przyjechał! — szepnęła.

Dosyć było tych słów, aby w uśpioną istotę wlać życie. I ona pobiegła do zwierciadła.

St. Flour, dobra droga moja! Idziemy na dół do salonu! W tej chwili!

— A cóż powie mama?

— Niech mówi co chce. Zaklinam cię, schodźmy natychmiast. Na dole już jest Wilski... oto jego konie stoją...

Ale mama...

— St. Flour, życie moje — ja muszę zejść? bądź co bądź! — powtórzyła Julia, nie słucham nic. Idziemy.

Francuzka opierać się nie mogła, nie miała serca. Wyjście to trochę zawczesne, nie zupełnie było prawidłowem... mogło być nieprzyjemnem hrabinie, ale ta biedna Julia! musiała ją ratować!

Spuściły się więc ze wschodów, i hrabianka przededrzwiami przybrała swą powszednią, skromną, sztywną, prawie zakonną postawę. St. Flour nie wiedziała, że na ten raz, ona i Julia były hrabinie pożądanymi, bo mogły zabawić nieznosnego Olesia, a dozwolić jej na osobności naradzać się z opiekunem. Wzrok więc, którym matka powitała córkę i guwernantkę, nie był gniewnym. i owszem... Zdało jej się, że nadchodziło ocalenie.

Oleś wstał zaraz na powitanie panny Julii i St. Flour zwrócił się ku nim.

Obrót ten rzeczy, dozwolił hrabinie szepnąć Wilskiemu, że radaby z nim pomówić choć chwilę na

osobności. Nie było sposobu odrzucenia. Był opiekunem.

Obok salonu znajdował się pokój jadalny, od którego drzwi hrabina otworzyła pod pozorem gorąca. Wilemu dała znak oczyma i poszła z nim przechadzać się.

Olesiowi było to jak najpomyślniejszem. St. Flour nie mogła mu przeszkadzać. Szło tylko o to, aby rozmowa z Julią nie zwróciła oczów matki. ale guwernantka ustawiła tak jakoś grupę, której składała straż przednią. że z sali jadalnej wcale być widzianą nie mogła. Oles się zbliżył do hrabianki. której twarzyczka, przed chwilą martwa, ożywiła się i do nie poznania zmieniła.

— Bardzo pana dawno u nas nie było—szepnęła pierwsza Julia.

— Obawiam się być natrętnym — odpowiedział Oles. — Pani aż nadto jesteś łaskawą dla mnie. za co nieskończoną jej mam wdzięczność, ale hrabina... nie bardzo mnie lubi.

— To się panu tak zdaje.

— Instynkt nigdy nie zawodzi, nie pani, czujemy komu jesteśmy znośni, a komu wstrętliwi.

— To by była okropna rzecz, gdyby nas tak zdradzała mimowolnie powierzchowność nasza.

— Tak dalece—mówił Oles wesoło. — że gdyby kto zmarszczywszy się chciał udawać natrętnego, nie potrafiłby.

Julia się mocno zarumieniła.

— Można się w tłumaczeniu tych hieroglifyów omylić—zamknęła po cichu.

— St. Flour wmieszała się wesoło do rozmowy.

— Pan jesteś bardzo blizkim sąsiadem naszym a zapominasz o nas—rzekła.

— Wbijasz mnie pani w pychę! doprawdy — śmiał się Oles — ja jestem taki nndny i znn dzony. że boję się jechać, aby zaraźliwej tej choroby nie przynosić z sobą.

— Jeżeli homeopatya jest rzeczywistym systemem, a nie fantazyą — szepnęła St. Flour, to właśnie możesz pan nas swoją nudą z naszych nudów uleczyć.

— Nie wiedziałem, że się panie nudzić możecie — śmiał się Oleś, oczyma prowadząc z Julią rozmowę, choć się niby ku francuzce zwracał. — Jakto? mając muzykę, malarstwo, książki.

— Ale pan masz też samo — odezwała się Julia.

— Tak pani, tylko nie młodości pani, i świętego ognia do sztuki. Niesłuchanie lubię piękne obrazy, dobrą muzykę, zajmującą książkę, ale samemu malować, grać i pisać. O! okropności!

— My się możemy tem pochwalić — dodała francuzka — my, to jest hrabianka Julia, że pracujemy ogromnie, a nie możemy jednak nudów rozpędzić. Panna Julia ślicznie maluje z natury.

— I nigdy nie pokazuje nic co zrobi! — z wymówką rzekł Oleś.

— Ja mogę ją zdradzić — zniżając trochę głos, dodała St. Flour, gdy tymczasem Julia, dyplomatycznie zdając się nie słuchać, patrzyła w drugą stronę. — Mogę ją zdradzić... tuż za parkiem, jest bardzo ładny widok na okolicę, około którego pracujemy z natury...

Oleś się zarumienił mocno.

— Z rana, czy wieczorem?

— Z rana! — szepnęła francuzka. Tamtędy niedaleko przechodzi droga, może nią ktoś przejeżdżać — przypadkiem Pan Aleksander ścisnął tłustą rączkę francuzki, która się śmiała uradowana; panna Julia o tem wszystkiem nie wiedziała nic a nic.

Zacząto mówić o muzyce; od muzyki do sentymentu krok jest tylko. wmieszały się do tego różne uczucia, które muzyka wyrażać ma pretensyę, choć — naprawdę wyraża ona to, czego słowem powiedzieć niepodobna, cały szereg idei niedostępnych tej formie, której posługuje słowo. Zadraśnięto o uczucia, a że one wszystkie płyną z tego jednego głównego... którym jest miłość... są jego parafrazą, rozgałęzieniem lub przeciwieństwem, mimowolnie jakaś miłość się

znalazła na ustach... St. Flour przyznała po cichu, że, choć hrabina żadnych ksiązek, oprócz pobożnych córce nie dozwala, panna Julia czytała wiele i czytać lubiła. Hrabianka się słabo wypierała. Na ostatek St. Flour swoją interwencją ośmieliwszy oboje, odegrałszy preludia, które się zdawały potrzebne, odstąpiła nieco i dozwoliła im śpiewać samym, *un duo d'amore!* Oles, w którego spopieliałem sercu ogień się rozniecał coraz gorętszy, dostrzegał co chwila nowego wdzięku w młodziuchnej twarzyczce, która dla niego umiała się rozpromieniać, aż do piękności.

— Całe życie obawiałem się—szeptał Oles—zakochać, aby nie stracić mocy nad sobą, i nie zdać się na łaskę i nie łaskę, ale nigdy nie tak nie lękał tej katastrofy. jak teraz, gdym zestarzał, i jeszcze słabszym się czuję niż dawniej. Straciłbym głowę...

— Mnie się zdaje — odparła Julia — że panu to niebezpieczeństwo nie grozi.

— Dla czego się pani tak zdaje?

— Nie wiem—zmieszana mówiła Julia... Jesteś pan złośliwy, dowcipny... ale czułym...

— Kryję się właśnie z tem, co moją słabą stronę stanowi.

Tu oczy kilku frazami dopełniły rozmowy.

— Pan byś mógł chcieć się rozerwać, zabawić — ale zakochać...

— Pani sądzisz mnie nie zdolnym?

Znowu spojrzenia mówiły...

— Spróbuj pani tylko mnie trochę ośmielić?

— W jaki sposób?

— Trochę dobroci...

Tu rozmowa poczęła być coraz cichszą... Julia wysunęła rękę drżącą, Oles ją uściskał...

— Miłość czasem potrzebuje ofiar i odwagi — szeptała hrabianka.

— Nie czasem ale zawsze — przerwał Oles; — kto się puszcza na to morze, powinien od razu życie dać..

— A na cóż życie?

— Choćby życie...

Plotła się w ten sposób, ta znana przegrywka miłości, co się kończy... wyznaniem... i chwilą szczęścia...

St. Flonr ani nikt nie mógł odgadnąć, jak daleko zaszli dnia tego. Wilski z hrabiną chodzili ciągle po salonie, guwernantka. spoglądając w tamtą stronę, widziała tylko wypalone rumieńce hrabiny, i niezmierne zakłopotanie na twarzy Wilskiego.

Gdy w salonach dwu odegrywały się te dwa duety, w oficynie obudził się ks. Maryan, zobaczył konie w dziedzińcu. poznał ekwipaż opiekuna i miał sobie za obowiązek przyprowadzić swojego elewa. Poszedł go szukać w sąsiednim pokoju nad książką. Znalazł książkę rozłożoną, ale Emila nie było. Pobiegł więc za nim do ogrodu, i aż wracając dopiero znalazł go w stajni siedzącego na starym żłobie, i zabawiającego się z Maćkiem. Zszedł go tak niespodzianie, iż uszu jego doleciało imię — Marysi! Przestraszył się i wyrwał co najprędzej Emila z niebezpiecznego towarzystwa. Imię to w nstach hrabiego było całą rewelacją! Ks. Maryan wrócił przełęczniony i posępny.

Obiecywał sobie teraz pilniej daleko cznwać nad Emilem, w którego niedojrzałości zbytnie pokładał zaufanie.

Nie mu nie mówiąc, porwał go z sobą do salonu, Weszli, i przerwali rozmowę pannie Jnlili z Olesiem. bo Emil natychmiast zbliżył się do gościa, kn któremu pociąg czuł szczególnie, i korzystając z niebytności mamy, męczyć go począł pytaniami i zwierzeniami.

Gdy nareszcie podano herbatę, i całe towarzystwo usiadło do stołu, pilny badacz, byłby mógł po twarzach czytać niemal wrażenia tylko co ukończonych rozmów.

Hrabina była smutna, roztargniona. ukrywała gniew wymarzoną łagodnością i rezygnacją. Wilski osłupianemi oczyma, znnżony jak atleta po walce cyrkowej, patrzył w talerz. St. Flour biegła oczyma po wszystkich. Oleś był wesół niby, ale zadumany nad swój zwyczaj. Julia, choć chciała wrócić do uspienia,

strzelała wzrokiem. jakiego u niej domowi nie znali. Na białych policzkach, różowiał zaledwie dostrzeżony rumieniec. Emil był straszliwie wesół i rad z naucającej rozmowy z Maćkiem, młodzieńcem doświadczonym w wielu sprawach, w których on był nowicyszem. nie wiedział on, że ks. Maryan dosłyszał wyraz tak wiele mówiący, mimo pospolitości swej i prostoty.

Na ostatek ks. Maryan siedział pochmurny, zasepiony, nie dając się rozweselić oczom St. Flonr. często go wyzywającym; a myśląc ciągle jak ma postępować z Emilem. aby go uchować od zbyt popieranego rozwinięcia i badania tajemnic. zostawionych późniejszemu wiekowi.

Rozmowa ogólna traktowała ten miły przedmiot meteorologii, niewyczerpany, nigdy, wszystkim dostępną, dostarczający tak obfitego materiału każdemu do popisu z erudycją, z pamięcią i darem postrzegania.

XIII.

W dniu nroczyście całe sąsiedztwo zwykło się było zjeżdżać do kościoła w Parzygłowach. i dnia 2 Sierpnia też zawczasu, przed summą, powozy wszystkimi traktami zmierzały ku naszej mieściźnie. W zajązdach wrota stały otworem. Pan Henryk w cylindrze i nowym surducie, przed swoim domem oczekiwał na gości.

Dzwoniono już we wszystkie dzwony z sygnaturką; cmentarz przed kościołem napełniać się zaczynał... Z jednej strony nadciągnął już był Wilski. z całym dworem w grubej żałobie, z drugiej kareta hrabiny. którą ks. Maryan poprzedził, bo miał udział w celebrze. Odpust zgromadził pobożnych z daleka.

Pan Aleksander. często zapominający o dniach uroczystych na ten raz przybył także, i we drzwiach czekał na hrabinę.

Z dworku Zellerów wyszedł właśnie stary ojciec, Alfred z nim. i przybyła. po uwolnieniu się z obowiązków panna Konstancya Zellerówna.

Cała ta rodzina teraz. szczególną na siebie zwracała uwagę. Dawniej stary przechodził niepostrzeżony. nikt mu się ani nie uklonił; wdzięki panny Konstancyi. nie zbyt ochodziły młodzież. — teraz i starszka znajdowano bardzo poważnym, i córkę jego nadzwyczaj piękną.

Była nią w istocie. Czarne oczy wielkie i śmiałe. piękny owal twarzy. rysy regularne, usta małe i wielce wdzięczne. ale snrowego trochę wyrazu. mimo że się śmiechać zdawały; — postać choć niewielka. ale zręczna i kształtna — na pierwszy rzut oka może nie odróżniały ją od innych panienek jej wieku. ale na przypatrzeniu się zyskiwała. W oczach połyskiwało pojęcie bystre, w ustach słodycz z energią się łączyły. Na licu jej doświadczenie. praca, doznane zawody. oznaczały. że młodość spędziła o swych siłach i w walce. Nie było to dziewczę nieśmiałe i trwożliwe. ale niewiasta pewna siebie. i śmiało już idąca drogą życia.

Miała lat dwadzieścia kilka. a od osiemnastu była na swoim chlebie wśród obcych ludzi.

Napróżno by kto był szukał w niej lub w starym ojcu. najmniejszego zewnętrznego śladu zmiany szczęśliwej. która rodzinę bogą. obdarzyła takim opiekunem jak Alfred.

Sam on ubrany skromnie. zdawał się smutny i zawstydzony raczej. niż dumny ze swego szczęścia.

Ojciec nie śmiał oczu podnosić, panna Konstancja ubrana była tak bardzo skromnie i ubogo, jakby o strój wcale nie dbała.

Jednakże wszystko co miała na sobie, dowodziło smaku i instynktu piękna. Paweł, który się był pozostał z chorą matką, nadciągał za rodziną, z wesołą twarzą, ale ani o włos nie jaśniejszą jak za dawnych czasów, gdy na żydowskiej bryce, razem z różną gawiedzią ciągnął na jaki dzień do starego dworku.

Teraz wszyscy spieszyli się witać, zaczepiać i dobre słowo zyskać od panów Zellerów.

Pocztalter, który szedł z panią Paździerską z drugiej strony, i miał czas się przypatrzeć wszystkim, naprzeciw ciągnącym do kościoła, był zdziwiony i oburzony tem, iż Zellerowie wcale się do nowego położenia nie stosowali.

— Uważasz kochanie moje — szeptał do ucha pięknej towarzyszce — chcą nam dać naukę. Szelma jestem, że to impozycya swego rodzaju, umyślnie się poodziewali w stare suknie, niebyli tacy skromni, a to jest finfa dla nas, co sobie pozwalamy lepiej chodzić. — O! ja to rozumiem! Finesy są! Żeby też ten bogacz choć nie wystąpił.

— Cóż bo ty chcesz, jeśli gustu do tego nie mają! — mówiła Paździerska — zwyczajnie ludzie ze stanu ordynaryjnego.

— Nie — ale, szelma jestem — impozycya. a dla tego, jakem ich parę dni temu po ludzku zaczął, chcąc się zbliżyć, jak z kamienia, albo ja tam o to dbam.

Do innych pobożnych, należał dnia tego i łowczy Okoszek. Przybył parą swoich tłustych koni, które postawił w gospodzie, a sam, szedł do kościoła. Wy różniał się zdala tak w tłumie, że niepodobna było nie spojrzeć na niego. Słusznego wzrostu, w butach do kolan, ubrał się był dla gorącego dnia w nankinową katankę, która nie była ani kurtką, ani spencerem, ale czems pośrednim. Długie nogi wystające z pod niej, wydawały się cienkie... na głowie, ponieważ kapelus

słomiany nie uchodził, miał czapeczkę aksamitną przestarzałego kroju, trochę zbladłą. z kutasem, na rękach wyprane świeżo łosiowe rękawice, a w bocznej kieszeni chustkę kolorową, której końce wystawały.

Ten ubiór zwracający oczy, jemu się musiał wydawać bardzo zwyczajnym, bo go bynajmniej nie kłopotał. choć ludzie sobie idący palcami go pokazywali.

— Bocion! — mówili parobczaki przy furach.

— Rinaldo-Rinaldini! — szeptały ekonomówny.

— Cudak — mówił poczthalter, żeby się tak ubrać do kościoła.

Okoszko szedł nie bardzo patrząc na to co go otaczało; z ukosa właśnie nadchodzili Zellerowie, dostrzegł ich, zatrzymał się nieco i poszukawszy oczyma, łatwo się domyslił Alfreda. W istocie domyslać się go mnsiał, bo poznaćby był nie mógł. Dawniej go dosyć lnbiał. Namyslać się zdawał chwilę, potem wprost na niego skierował, i z uśmiechem do idącego przystąpił.

Alfred dopiero teraz go spostrzegłszy, stanął. Rodzina nie zatrzymując się, rzuciwszy okiem na dziwaka, szła dalej.

Łowczy za obie ręce chwycił Alfreda, i postawiwszy go naprzeciw siebie, a sam stanął z założonymi rękami.

— A cóż? niepoznajesz mnie? ty! niewdzięczniku?

Zeller poznał go odrazu, ale scena odbywała się wśród rynku, na co Okoszko najmniej zważał.

— Uciśnijmyż się! — zawołał stary, ręce zostawiwszy — jak się masz? cieszę się. Tyle na tę chwilę. Dzwonią na sumnę. pójdziemy do kościoła jak i drudzy. na gawędy, czasu niema. Godzina to Boża, ale po sumnie, zrób że mi tę łaskę, chcę z tobą pogadać.

— Wstąpisz łowczy do rodziców?

— Gdzie zaś? ja nie bywam nigdzie. a przy ludziach wielu gadać nie umiem. Na pojedynka, to jeszcze. Odwykłem, widzisz, od ludzi i rozmowy. Najczęściej z psami gadam, a to są monologi. Po mszy na

przyźbie u Hersza siądziemy. Nie strzymam długo. Dokończywszy wszedł łowczy do kościoła. poszukał swojego miejsca w rogu kruchty, oparł się o ścianę, ręce założył, i w zadumaniu mszy słuchał.

Niejednemu niepospolitą dystrakcyę zrobili Zellerowie, szczególnie Alfred. Wskazywano ich sobie palcami. Poczthalter i tu znalazł impozycyę, że siedzi w ostatniej ławce. Po skończonem nabożeństwie, gdy się wszyscy wytaczali z kościoła, łowczy nie czekając na Zellerów, poszedł sam na przyźbę do Hersza. Jakoż i Alfred nadszedł wkrótce, zabrać miejsce koło niego. ale nadto się ludzi kręciło.

— Gdybyśmy się gdzie przeszli? — wtrącił łowczy, straszny tumult, ja tego nie lubię.

Wyszli sami w samotną uliczkę między płotami, dzielącą ogrody mieszczańskie. Nikogo tu nie było.

— Gadaj że mi — odezwał się Okoszek, — co się z tobą działo? coś robił i jakim wróciłeś? Nadewszystko czy człowieka w sobie przywiozłeś, czy może jakie dzieło nowego kunsztu, w którem tylko twarz jest ludzka.

Alfred go uściskał.

— Kochany łowczy — rzekł — jedno ci powiem, wróciłem takim niedorzecznym jak wyjechałem. Nie wiem czy we mnie już był człowiek, ale ten sam coście go oplakali wypędzonego, przyszedł do domu.

— Jak żywo nie oplakiwałem! nie myślałem płakać! — zawołał Okoszek — albo ja nie wiem, że zła dola najlepszą piastunką! Jam się cieszył, że cię los wyrwał ze szpon tej kobiety. Jestto rodzona moja siostrzenica, ale to Machiavel w spódnicy!

— A ja z tą miłością dla niej, którą z sobą poniosłem, wróciłem — rzekł Alfred.

Łowczy się począł śmiać, stanął, wziął się w boki. odrzucił głowę na ramiona, patrzył i śmiał się ciągle...

— Pleciesz — rzekł — to nie ma sensu. Krewkość młoda może istotę najpospolitszą w oczach wyrostka uczynić boginią, ale po dwudziestu latach...

— Ja ją widziałem teraz, po latach dwudziestu, jest czarnjącą!

Okoszek ze śmiechu przeszedł do gniewu.

— Dajże ty mi pokój! to już — z pozwoleniem fikscacya. Ta kobieta nie warta. chyba takiej lalki drewnianej, pozłacanej, wśród jakich obcnje. Człowiek zdrow, przy pięciu zmysłach nie ślepy — nie powinien mieć takich fantazyi.

— Tak — nie powinien, a gdy je ma?

— To go do czubków — rzekł łowczy. — O tem mi nie mów. Tfu! — splunął. Powiedz mi co o sobie. Plotąż się dorobił fortuny.

— To prawda?

— Tak? uczciwie...

— Nie mam niczyjej krzywdy na sumieniu.

— Hm? a jakże u licha mogłeś tyle nagromadzić przez czas, gdy inni zarabiając w pocie czoła, i dziesiętej może części nie zyskali.

— Tak? ja stałem u źródła.

Łowczy się zamyślił.

— Tak i asindziej łowiłeś sakiem, a oni przeta-kiem. Może to być! Cóż się ty tam zrobił parę kroc?

Zeller się rozśmiał.

— Tak — dochodu.

Łowczy za głowę się wziął.

— Nie — to coś już szatańskiego w tem jest.

— Najprostsza to była rzecz w świecie. Handel pieniędzmi jednych bogaci, drugich niweczy, mnie się udało.

— Tak — to coś jak na loteryi?

— Prawie.

Poszli dalej ulicą.

— Co myślisz robić? — spytał Okoszek — to ciężar, tyle majątku — człowiek ma jedną gębę i jeden żołądek, po co mu tyle?

— Kupiłem tu już majątek.

— A! to dobrze — rozśmiał się Okoszek, to już możesz być pewny, że cię fortuna nie zwycięży, będziesz sobie powoli ją tracił, bawiąc się w obywatel-

la. A no—słuchaj—dodał obracając się ku niemu. Kto wie, gdzie, jak? kiedy? a nawet czy się zobaczymy? — powiem ci co mam na sercu. Nie przestań że ty być człowiekiem! A tak — powtórzył Okoszek, widząc uśmiech Alfreda — pieniądze mają to do siebie, że ludzi ogłupiają, i robię z nich stworzenia sni generis, którym zdaje się, że się wyłamały z ogólnych praw i obowiązków. Zmiłuj się, nie zrób się i ty bałwanem takim, nie zdumniej, nie zgłupiej. Masz rodzinę, dziel się z nią.

— Gdyby ona udziału chciała — przerwał Alfred. — Ojciec i matka ani myślą się wynieść z dworku, i nie chcą nic przyjąć odemnie. Paweł, brat mój, uparł się professorstwa nie porzucać; nie wiem czy potrafię uprosić Konstancję, aby u mnie gospodynią być chciała.

— A to, jak Boga kocham, rozum mają — rzekł Okoszek—z respektem dla nich jestem.

Uchylił czapkę aksamitną.

Szli tak gawędząc wąską nliczką, pomiędzy ogródkami i płotami, wijącą się poza miasteczką, nie wiedząc dobrze dokąd ona prowadziła, ciesząc się tem że byli tu sami, i że ich palcami nie wytykano. Łowczy—w ogóle tłumu i zgłętku nie cierpiał, raził go hałas, nowych ludzi nie był ciekawym wcale.

Zagadnął jeszcze Alfreda, o jego przeszłość i życie więcej dopytując niż o plany przeszłości, o których wzmianki już unikał. Nareszcie gdy rozmowa przeciągnęła się dość długo, i Okoszek się chciał zabrać do odwrotu, okazało się, że byli wyszli poza domostwa, szopy i stodoły. i znaleźli się też około dworku pana Mieczysława Abdanka. Najkrótszą teraz drogę napowrót była szosa, do której inaczej dojść nie mogli, jak tuż około podwórka „Abdanówki.“

Właśnie z nabożeństwa powracający obywatele byli tu zebrani na ganku i bałaśliwie rozprawiali, gdy tymczasem w dworku dla nich przekąskę przysposobiano. Pomiedzy innymi był i Oleś, który postrzegł Alfreda Zellera i szepnął bliżej stojącym o nim. Go-

spodarz palił się żądzą bliższego z nim poznania. Atrakcyą jaką wywiera na otaczających pieniądź, ciągnęła go ku bogaczowi a może i coś więcej. Panna Konstancya, jakkolwiek córką, a może i wnuczką jego być mogła, wydawała mu się nader ponętną, a teraz... nie sposób, aby tak bogaty brat nie chciał jej wyposażyć i nie sposób aby taka panna Zeller, ubożuchne stworzenie, nie miała sobie za największe szczęście podać rękę Abdankowi,—staremu szlachcicowi, który mógł nawet do arystokracji się liczyć. Było to najdziecinniejsze. powiedzmy szczerze najniedorzeczniejsze marzenie, pan Mieczysław nie śmiał by się do niego być przyznać—a jednak zabawiał się niem, czesząc ołowianym grzebykiem i patrząc w zwierciadło.

Życia jeszcze miał za mało i zdało mu się, że godziło się jeszcze raz go próbować.

Zobaczywszy Zellera i oryginalną postać. która mu towarzyszyła, stojących blisko i zdających się naradzać co począć z sobą — Abdank przyskoczył do Olesia, zaklinając go na wszystko co miał na świecie najdroższego, aby Zellera do niego zaprosił, bodaj z tym drugim w nankinach. — P. Aleksander na długo się wahał i zbiegł z ganku, ale Okoszko tymczasem dostrzegłszy ruch, skrył się z towarzyszem za płotem. Oles dopadł ich tu zdyszany, sądząc, że mu już uciekli.

— Szanowny panie — zawołał wesoło chwytając pod rękę Alfreda—przepraszam że go. jak rozbójnik, napastuję, ale powszechnej prośbie oprzeć się nie mogłem. P. Mieczysław Abdank i kilku obywateli zebranych u niego, radzi są pana poznać. Mam missyę prosić go na śniadanie. Nie odmawiaj pan. Wszedłes nabyciem majątku w obywatelstwo, powinienes znosić jego ciężary.

— A ponieważ pan dobrodziej—dodał zwracając się ku Okoszce — towarzyszy panu Zellerowi... chcesz także zaszczyścić...

Okoszko usta wydał i głowę pokiwał.

— JMPana Alfreda żądają, mnie zaś — rzekł — zniosą w dodatku, jako malum necessarium, chociaż im na nic nie jestem potrzebny, ani oni też mnie, kłaniam uniżenie! a mnie to na co? Wódkę i zakąskę znajdę u Herna, towarzystwa zaś nie łaknę, nie łaknę...

Jeżeli Zeller chce się poznawać, niech idzie — słuszną rzecz. ale mnie pokój dajcie — ja ciągnę do domu. Konie popaszą pewnie.

To mówiąc, ścisnął rękę Alfreda.

— Sługa uniżony! — skłonił się Olesiowi... kłaniam! i już się nazad pustą drogą wybierał. Zeller się wahał... Okoszek to postrzegł.

— Jak skoro masz z tymi ludźmi żyć — a no! hul w wodę! ruszaj! nie ma się co drożyć. Ja i tak gębie muszę dać spocząć, bo mi się wystrzępiła.

Skłonił się i poszedł nie oglądając, Zeller stał milczący i trochę zafrasowany.

— Daj się pan namówić — rzekł Oleś — bądź co bądź, znajomości nie unikniesz. Zręczność się nastrecza, tem lepsza że nie pan nam się narzucasz, ale my go łapiemy.

I wzięwszy go pod rękę, poprowadził do dworku.

Mówiliśmy już jaka była powierzchowność Alfreda. Długie życie poza krajem, nadało mu charakter obcy, cudzoziemski — każdy stan też wypiętnuje się powoli na człowieku. Jest to skutkiem nieuniknionym codziennego bytu i pewnych czynności powtarzających się ciągle. Biurokrata, bankier, jak żołnierz i literat, mają oblicza swojego stanu, choćby ich przybrać nie chcieli. Zellera czuć było bankierem, a do szlachty nie był nic a nic podobny. Szlachta nasza zawsze wygląda jakby tylko co z konia zsiadła i jutro na niego sięś musiała; przez najzardzewiałszego hreczkosieja, żołnierza czuć... choć może tylko prapradziad nim był... ostatni...

Tak samo jak Zellera musiały teraz razić te resztki pradziadowskiej kurdegardy i obozu we wnu-kach, tak tych panów w nim uderzała sztywność pe-

wna, uieszykowność, ciężkość w obrotach człowieka, który długie lata zgarbiony stał nad biurkiem. Taż sama różnica jaką powierzchowność cechowała, musiała się znaleźć w charakterach i pojęciach, bo—prawdą jest niezaprzeczoną, że o uaturze, zewnętrzne oznaki... są istotnie znakami tego co się dzieje we wnętrzu.

Można się zamaskować na chwilę, ale dla anatora—maski nie ma, bo on ją zedrzeć musi.

Zellera prowadził Oles pod rękę powoli, a goście na ganku zebrali, przez lornetki i golemi oczyma, ciekawie się przypatrywali i robili zawczasu postrzeżenia.

— Wygląda po niemiecku—rzekł jeden.

— Mnie przypomina wekslarza z Senatorskiej ulicy, jak Boga kocham—mówił drugi.

— Zeller? Zeller? — toż nazwisko niemieckie... mruczał trzeci.

— Fizyognomia myśląca — gadajcie sobie co chcecie!—szeptał Micio, który sposobił się go przyjąć na gaukn najserdeczniej, jako dziedzica Owsińskiego klucza.

Inni szeptali ciszej... uśmiechali się i drwili. Niektórym się zdawało, że biedne człeczko nagle olśniewione blaskiem owej buty szlacheckiej zmiesza się i znualeje. Wilski zdala pilno się przypatrywał.

Zawiedziono się wielce w przypuszczeniach. Zeller wszedł spokojny, z wejrzeniem śmiałym, krokiem pewnym, jak człowiek czujący się zupełnie równym towarzystwu w które wchodzi; nie był skorym do mówienia, ale odpowiadał śmiało — słowem szlachta go nie zdetonowała. Ich zaś to zdziwiło tylko, że zewnętrznie zbogacony tak bajecznie jegomość, niczem nie afiszował swojego dostatku. Suknie miał aż nadto skromne, błyskotek żadnych, a w obejściu wielką prostotę.

Pan Mieczysław z natarczywością, z komplementami, zapoznał go z kółkiem obywateli, dziękując za zaszczyt jaki mu czynił.

Zbliżył się i Wilski milczący, dla obserwowania go — i w krótkim czasie przekonać się mógł, że gdyby do walki z tym człowiekiem przyjść miało, nie byłaby ona łatwą. Tembardziej i on, i inni, starali się go sobie pozyskać. Zeller więcej słuchał niż mówił. Rozmowa, z powodu nabycia majątności, wpadła zaraz na nieszczęśliwe czasy i stosunki rolnicze, na ruiny majątków, na trudności administrowania i t. p.

Postrachy te jednak nie zdawały się czynić najmniejszego wrażenia na dorobkowiczu. Przyznawał, że mało mu były znane stosunki majątkowe, że się lękał dosyć nabycia, ale zarazem pocieszał się tem, że w każdym położeniu są jakieś środki wyjścia. Dodał, że w jego początkowaniu wiejskie gospodarstwo podnieść się tylko może i prowadzić pomyślnie, gdy kapitał obrotowy, prawie dorównywa włożonemu w nabycie.

Kilku obywateli westchnęło tylko. W istocie u nas najczęściej się trafia, że gdy kto ma sto, zamiast nabywać za pięćdziesiąt, kupuje za dwakroć; i w ten sposób sam dobrowolnie skazuje się na ten stan chorobliwy, z którego wyjść szczęśliwie udaje się jednemu na dziesięciu. a największa liczba kona długie lata, nie mogąc ani żyć prawdziwie, ani umrzeć i skończyć. Tą uwagą zamknęły się rozprawy gospodarskie. Inni informowali nabywcę o historycznej przeszłości klucza, którego się stał dziedzicem; inni poczęli mu malować życie społeczne i stosunki w różnych barwach, z których ogólna nie dawała się wyciągnąć. Wszyscy mniej więcej z tą uprzejmością, do jakiej skłania zamożność przybysza, starali się doń zbliżyć, spoufalić z nim, zaskarbić sobie względy. Wielu aż nadto pośpiesznie ofiarowało swe usługi i pomoc, bo u nas gościnność i braterstwo są w obyczaju i we krwi. Zeller dziękował i wymawiał się od przyjęcia.

Z godzinę przebywszy w Abdankówce, zostawiając wszystkich niemal jeszcze, bo niektórzy się do wista zabierali, Zeller pożegnał gospodarza i powrócił do miasta.

Zaraz po odejściu jego, posypały się sądy, domysły i żarciki, lecz wrażenie było powszechne, że miano do czynienia z „wygą“, z człowiekiem nie łatwym, „kutym“ i wytrawnym. Wilski unikał wydawania dekretu, ale i z jego twarzy widać było, że mu dał do zrozumienia ten człowiek, i że go sobie zapewne wpzród wcale inaczej wystawiał.

Gdy się to działo na Abdankówce, Zeller wracał do dworku rodziców, wiedząc że go tam rodzeństwo, zapewne z niepokojem, oczekiwało na obiad. Po drodze musiał jeszcze minąć pocztaltera, który zobaczywszy go przechodzącego wybiegł z żoną i sztabem swym, aby mu się choć z daleka przypatrzeć, dalej zbliżył się doń pan Henryk z ukłonem, i zaczępił kilku słowy, aby pokazać miasteczku, iż do niego miał poufały przystęp.

W rynku, gdzie jeszcze było gwarno, koło miejskiej miary i kramów, złapał go nareszcie Paweł, niepokojny co się z nim stało i wysłany na zwiady. Krupnik już dwa razy wracał do kuchni. Kanonik sam przychodził chcąc ua obiad zaprosić Zellera do siebie.

Paweł śmiał się.

— Bodaj to mieć pieniądze — zawołał — nigdy Zellerowie w takiej modzie nie byli jak teraz, z łaski twojej! Lat wiele nikt na nas nie spojrzał.. teraz... nagle otoczyła nas aureola złota... i — dodał — mam prawdziwą obrzydliwość do ludzi... bo większa ich część... podła!

XIV.

Kto by był w tych dniach widział hrabinę Maryę, nie w salonie, do którego miała twarz osobną, ale w jej gabinecie gdy sama jedna, rozmyślała nad sobą, rodziną i położeniem, nie poznałby może w zamięszonej obliczu, tej piękności tak jeszcze świetnej, takim otoczonej nrokiem, tak cudownie świeżo zachowanej. Znikał ów uśmiech wiekuisty, łagodny, miły, zrezygnowany, czoło jasne powlekało się chmurami, nawet kibić smukła i prosta, ugiwała się jak pod ciężarem trosk i myśli. Siedziała godzinami całemi studniąc swe położenie, obrachowując wszelkie ewentualności, szukając drogi wyjścia bezpiecznej.

Szło jej nadewszystko o zachowanie w całym niepokalanym blasku tej sławy domu, tego rozgłosu jaki on zyskał, licząc się do najdostojniejszych w okolicy. Dla tej purpurzy zwierzchniej, gotową była poświęcić samą istotę tak jak pewnego rodzaju eleganterki obchodzą się bez kosztu, aby mieć świeże rękawiczki i pióro u kapelusika.

Zadanie dla niej ograniczało się zachowaniem stanowiska, wybiciem się na wyższe. Emila należało ożenić bogato i świetnie... Julię poświęcając dla niego.

Nie łudziła się tem hrabina, że kochany Milek nie posiadał nadzwyczajnych zdolności, że natura nie wyposażyla go zbyt bogato, ale w tym świecie, o który chodziło — nie wymaga się nic oprócz bardzo wykwintnych pozorów i oglady, która przy miernych bardzo zdolnościach, wprawą, obyciem się nabywa. Emil miał z ks. Maryanem odbyć podróż dla otarcia się — nie wątpiła hrabina, iż go ona dostatecznie do

świata wykształcić miała... Aż do ożenienia Emila. ochronić majątek od ruiny, osłonić szczyrby w tym budyuku. podpieranym staraunie — było drugim zadaniem. Do tego potrzebnym był Wilski.

Wyjść za niego! byłoby arcydziełem kuusztu niewieściego. lecz dziś okazywało się to utrudnionem, tem właśnie, co zdawało się najnaturalniej prowadzić do celu. Dawne stosunki zawadzały raczej niż służyły.

Hrabina z urokiem jaki miała, byłaby wdowca pochwyciła w swe sieci, gdyby ten urok nie został wprzód nieopatrznie wyszafowany. Wzdychała myśląc o tem. Ale któż mógł przewidzieć zgon pani Wilskiej?

W czasie rozmowy ostatniej z nim, hrabina miała się na ostrożności. nie poruszyła wcale struny uczuciowej. zostawiając ją — jemu. Mówiła o swoich interesach, położeniu, troskach, znużeniu i t. p.—unikając wszelkiego upominania się o jakieś prawa. jakkolwiek czuła że je miała.

Wilski także z wielką zręcznością cały się osłonił swą żalobą, wspomnieniem „najlepszej żony“, obowiązkami dla dzieci. Manewr ten jego, który nie rzeczywiście nie orzekał stanowczo i był tylko przejściem z jednego tonu do drugiego, jakkolwiek łagodny—stworzył nieco hrabinę. Uczuła, zrozumiała w nim chęć wycofania się jakąs.

Musiała jednak nie dać bynajmniej poznać po sobie, że się czegoś podobnego domyslała. Wchodziło w rachubę nie wierzyć do końca w zmianę, ufać ślepo. być niewiastą słabą. nie posądzającą nawet. nie umiejącą przypuścić, aby ją zdradzono. Zachowała więc dawny ton najczulszy dla przyjaciela i opiekuna, więcej się nim zajmując niż sobą. pocieszając jego a poświęcając siebie. Wilski widocznie był jak na mękach — hrabina czytała to z niego, ale przypisywała to zawsze niby stracie żony... i t. d. Że Wilski mógł, winnym się czując względem nieboszczki, cierpieć przez wyrzuty sumienia, to było naturalnem. Nie

szczędzono mu pociech. W rozmowie żadna struna drażliwa. z obu stron nie była poruszana, obserwowano się nawzajem... bacznie... zimno, grając wielkie sentymenta.

Wymęczyli się tak oboje — i skutkiem bytności Wilskiego. dla niego było wyniesione ztąd przekonanie. iż musiał nader zręcznie stopniować wycofanie się. które zamierzał; dla niej, iż powinna była z wielką umiejętnością zarzucić pęta na człowieka, który już o zerwaniu ich zamyślał.

Hrabina nie rozpaczała, że go utrzymać może. Względ, który zrazu ją uderzył, iż ożenienie z nią Wilskiego dawne posądzenia mogło potwierdzić — trzeba było usunąć. bo bez niego... ruina stawała się nieuchronną. Pewne ignorowanie opinii stawało się koniecznością... Wilskiego pochwycić musiała... Czy serce miało w tem udział jaki? osądzić było trudno. W wieku do którego doszła hrabina, nawet uczucia biorą się pod ręce z rachubami, i same nie chodzą.

Całe dnie teraz spędzała nad planami, jak Wilskiego utrzymać, jak go przyciągnąć, jak mu nie dopuścić wyswobodzenia się. Zdawało się jej że chłód, zimna krew, pozorna ufność, a postępowanie powolne bardzo, nie dające zręczności do zerwania, do katastrofy, były najlepszą ze strategii. Wszystko co do tego mogło służyć i pomagać, wydawało się dobrem. Hrabina która nie lubiła Olesia, a znała słabość Wilskiego dla niego, gotową była trochę się zbliżyć do nieznosnego szydery, aby go sobie pozyskać. W rachubę wchodziło także częste posyłanie Emila do opiekuna i narzucanie mu go nawet na pobyt dłuższy, pod różnemi pozorami.

Wszystkie szczegóły tej przyszłej walki zostały tak przewidziane i obmyślane, jak Moltkego plan kampanii przeciwko Francyi, czasu niczem nie zamąconego pokoju, i najlepszych z nią stosunków.

Nieraz w tych długich rozmyśleniach, które ją napadały nawet w salonie, rozważała hrabina, czyby kogo sobie dobrać do pomocy, zwierzyć się komuś nie

mogła, lecz czuła zawsze wstręt do odkrywania się zupełnego i zdawania na łaskę sprzymierzeńca. Wołała więc bezwiedne narzędzia.

Jedyny wyjątek stanowiła osoba, którą hrabina rzadko widywać mogła, zamieszkała w Warszawie, z którą ją najściślej łączyły stosunki. Była to przyjaciółka niemal przymusowa, z tych lat, w których się nie ma sekretów. Przez wyłom w sercu zrobiony, gdy się lat miało osiemnaście, weszły później tajemnice lat późniejszych.

Gdy piękna jak anioł Marya, kochała się jeszcze w biednym muzyku, w sąsiedniej wsi. o pół mili tylko, mieszkała wdowa pani Kolembrodzka z córką Ireną... na resztach fortuny znacznej bardzo.. Dom pani podczaszyny Kolembrodzkiej świetnością swą i elegancją. nęcił naówczas i Maryę i jej ojca. Dwie panienki były jednego wieku, — panna Irena mniej daleko piękna, ale żywszego temperamentu. swobodniejsza u matki. która sama do wielkiej nawykła była swobody, pierwsza wtajemniczyła w życie przyjaciółkę Maryę. Ona ją wciągnęła niemal, pobudziła — zajmując się tem wielce — do romansu z Zellerem.

Miedzy dziewczętami nie było tajemnic. Z nieopatrznością wiekowi właściwą, dzieliły się wszystkim co czuły i myślały. Panna Irena była świadkiem katastrofy, pocieszycielką, doradczynią — i, lżej daleko biorąc sercowe dzieje od przyjaciółki — skłoniła ją do przezwyciężenia bólu, do zapomnienia, do zrzucenia winy własnej na współwinowajcę. W oczach tej przyjaciółki poczęło się staranie hrabiego, odbyło z nim wesele..

Prawie współwłaściwie panna Irena, bardzo praktyczna wyszła za niemłodego już pułkownika, który wkrótce został generałem, osierocił ją, i zapisał jej co miał, chociaż związek ten potomstwem pogłosławiony nie został. Generałowa pojechała mieszkać w Warszawie. latem czyniąc do wód wycieczki. Chociaż młoda i bardzo zalotna, ale nadewszystko miłując swobodę. nie wyszła już za męż... i — po swo-

jemu była, jak mówiła, bardzo szczęśliwą. Jenerałowa miała po rodzicach wieś o dwie mile od rezydencji hrabiny, zjeżdżała do niej zwykle na wiosnę, czasem jesienią. Naówczas dwie panie nierozłączne z sobą były.

Najczęściej hrabina jechała do Uznowa, i tam po kilka dni przemieszkiwała, później jenerałowa gościła za nią i osiadała u niej. Stosunki serdeczne z Wilskim, majątkowe, wszystko przyjaciółce wiadome było.

Jenerałowa Irena nie będąc nigdy piękną, miała jedną z tych twarzyczek szczęśliwie ukształtowanych, które wytrzymują najlepiej lat próbę. Para oczów czarnych, stanowiła całą ozdobę jej. Usta nieco szerokie ściągała umiejętnie, a gdy się otworzyły, mogła pokazać jeszcze rząd tak pięknych, białych ząbków, że się o rozmiarach tego co je przysłaniać miało—zapominało. Nie wielkiego wzrostu, pulchna i tłuszcuchna, dosyć biała, żywa i zręczna, mimo wieku, grała rolę młodszej niż była. Przy hrabinie, która miała więcej blasku młodego i świeżości, nieledwie za młodszą od niej uchodzić mogła.

Charakter to był—nadewszystko niewieści; nieopatrzny na oko, a zawsze, tak ostrożny, że lecąc na oślep, nigdy dalej nie zaszedł, niż mu było potrzeba dla własnego bezpieczeństwa. Jenerałowa trzpiotała się całe życie, nie kompromitując nigdy na serio. Kochano się w niej, przyjmowała hołdy, dopuszczała do poufałości, a mimo to, ci co byli pewni że im rękę odda, poodchodzili z kosztami.

Umysł był rozbudzony, żywy, wesoły,—pragnienie życia wielkie... dużo egoizmu przyzwoitego, dobroci wiele, a w towarzystwie przynioty rzadko chodzące w parze, najlepszego wychowania, form nieposzlakowanych i—pewnej oryginalności.

W tym roku jenerałowa nie przybyła do Uznowa, spodziewać się kazała się już ku jesieni, po powrocie z Karlsbadu. Hrabina wyglądała jej z najżywszą niecierpliwością, rachując na to, że w niej znajdzie

podporę, pomoc, radę. nawet pośredniczkę potrzebną. Wilski był z nią bardzo dobrze.

Jenerałowa kłóciła się z nim grzecznie, kokietowała go niewinnie i służyła umięjętnie w jej stosunkach przyjaciółce. Nigdy przybycie jej pożądańszem być nie mogło.

Nadzwyczajna więc była radość hrabiny, gdy wśród tych rozmyślań smutnych, odebrała bilecik umyślnym posłem wyprawiony, oznajmujący, że na nią czekano w Uznowie. Kazano natychmiast konie zaprzęgać. St. Flour zbiegła po rozkazy, hrabina oświadczyła że wyjedzie na dni kilka zapewne. Każde oddalenie się jej było tu witane z nadzwyczajną radością.

St. Flour mogła swobodnie zabawiać się rozmową z ks. Maryanem, w niedostatku świeckiego adoratora. Emil latał konno do leśnikowej i — gdzie mu się zamarzyło, Julia robiła co chciała. Wszyscy byli szczęśliwi aż do rządcy, który w takie dni przyjmował gości na folwarku — aż do starego kamerdynera, który, jeśli pani nie towarzyszył, mógł się ulubionemu oddawać polowaniu i szedł w las z psami.

W kilka godzin konie stały przed gankiem, zegnano się czule bardzo, a w kilka potem jeszcze, hrabina padała w objęcia jenerałowej.

Uznów puszczony był dzierzawą, ubogiej szlachczycie, która dziedzicze winna była być swój cały. Jenerałowa miała ekscypowany stary dwór rodziców i piękny przy nim ogród który lubiła. Wszystko to, choć trochę puste i niezamieszkałe, starannie było utrzymywane.

Dzierżawca i jego kobiety były na usługi dobrej pani. Jenerałowa mogła kiedy chciała spaść niespodzianie na wieś, pewną będąc, że znajdzie wszystko co do życia wygodnego potrzebowała.

Tym razem, zaraz na wstępie oświadczyła hrabinie całując ją.

— Moja droga, nie gorsz się i nie posądzaj — straciłam wzrok; w drodze sobie dać nie mogę rady,

musiałam wziąć sekretarza. Dobry. skromny, ubogi chłopak — zobaczysz...

Spojrzały sobie w oczy, hrabina z lekka ramionami ruszyła.

— Ale nie imaginuj że sobie nic. Jestem stara i obchodzę się z nim jak z dzieckiem. Honni soit qui mal y pense. Tyle tylko że siada do stołu. bo dość dobrze wychowany chłopak.

I pociągnęła przyjaciółkę do środka. Podano zaraz herbatę. do której w istocie stawił się przystojny, słuszny, wyprostowany, bojaźliwej miny, skromny pan Witalis Bończa. Hrabina zmierzyła go tylko oczyma. Gospodyni posługiwała się nim nieustannie. gderała na niego, śmiała się. a chłopak latał jak oparzony. Służył niemal za zabawkę. Odprawiono go po herbatcie, a przyjaciółki poszły do ogrodu, dla wypowiedania się wzajemnego. Jenerałowa nie miała nic tak dalece ciekawego do opowiadania — za to Marya, raz rozpoczawszy swe dzieje, skończyć ich nie mogła.

Śluchała ich przyjaciółka z wielką i spokojną uwagą .. zamyślona...

Gdy przyszło do rady i wynurzenia zdania — nadzwyczaj okazała się powściągliwą i małowówną. Nie było to w jej charakterze i niezapokoiło Maryę.

— Dziś, nic ci powiedzieć nie nmiem — odezwiała się jenerałowa — potrzebuję namysłu... położenie ani łatwe, ani miłe nie jest. Ufam tylko, że ty, przy twoim takcie, potrafisz wyjść z niego zwycięzko. Co do Wilskiego — dodała — nic ci się nie dziwuję — ja dla niego miałem zawsze słabość także. Z niego byłby mąż najlepszy w świecie, gdyby się umieć wziąć tylko... Człowiek miły — de la tenue; rozsądny.

Zamyśliła się głęboko jenerałowa... Wieczera przerwała nieskończone zwierzenia — pokazał się znówu przy niej pan Bończa, i dowiódł że umie prowadzić zajmującą rozmowę, choć hrabina z pewną wyższością i zimno go traktowała.

Rozmowa trwała potem do północy. a jenerałowa starannie bardzo dopytywała o szczegóły rozmowy

wy, znalezienie się Wilskiego, ostatnie... i nie wiele umiała pociechy wlać w serce przyjaciółki.

Nazajutrz rano, do śniadania, nie przyszedł pan Witalis.

— Cóżś z sekretarzem zrobiła? — spytała hrabina.

— Rozmyśliłam się wczoraj — rzekła generałowa; — na prowincyi, ils sont prudes aż do śmieszności... Choćby chłopak mógłby być prawie moim synem, posądzanoby mnie złośliwie... Wyprawiłam go dziś rano do Warszawy. Chłopcu się strasznie jechać nie chciało, bo myślał sobie polować i latać swobodnie — ale... musiał. Żal mi go! Co chcesz? My biedne kobieciska bacznie na siebie uważać musimy...

Hrabina przyznała słuszność przyjaciółce. Cały ten dzień znówu mówiły najwięcej o Wilskim.

— Ja pojedę do ciebie na dni kilka — odezwała się Irena — będziesz miała, przyjmując mnie, wyborny pretekst do zaproszenia jego. Ja z nim pomówię, wybadam go. Potrafię się mu zaprosić do jego domu... wciągniemy go, zobaczysz...

To mówiąc, serdecznie się nściskały.

Niezmiernie zdziwioną była generałowa, dowiadując się o powołaniu zakonnem panny Julii. Znała ją od dziecka i nigdy w niej skłonności tej nie postrzegала.

Hrabina, nawet przed przyjaciółką, nie mogła się wydać z rachubą, starała się wmówić w nią, że powołanie było rzeczywiste, że się jej serce krajało, ale oprzeć mu się nie dozwalało sumienie.

Krócej więc niż zamierzała, zabawiwszy w Uznowie, hrabina posłała oznajmić o swoim powrocie i o generałowej pani St. Flour, i obie przybyły trzeciego dnia wieczorem, zmęczone jedna opowiadaniem, druga cierpliwem wysłuchiowaniem dziejów serca i planów przyszłości.

W ganku oczekiwali już na przybycie ks. Maryan. hrabia Emil, hrabianka, St. Flour i całe nie spodziewany Oleś, który trafił się tu — przypadkiem.

W tych dniach jakoś pan Aleksander, ciągle przypadkiem kręcił się tak po okolicy, iż go niemal codzień za parkiem widywano przejeżdżającego. Panna Julia malowała tam widok z natury, a sama grzeszność nakazywała w przejeździe zatrzymać się, przemówić słów kilka i podziwiać prawdziwy talent, z jakim młoda artystka charakter krajobrazu naszego chwycić umiała, i nie idealizując go, samą prawdą uczynić idealnym. Nie wszystkim się to nawet artystom udaje—cóż dopiero dillettantom? Hrabianka Julia malowała naiwnie—jak widziała, nie miała odwagi poprawiać natury, zaczesywać drzew, zamiatać dróg, elegantować chat, — i jakoś to mówiło do serca, niezmierną prostotą swoją.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



Biblioteka Raczyńskich

JK 929



JK0929